Marek A. Koprowski

WOŁYŃ

Mówią świadkowie ludobójstwa

Replika

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

WOŁYŃ

Inne książki Marka A. Koprowskiego w Wydawnictwie REPLIKA:

Wołyń. Epopeja polskich losów 1939–2013. Akt I

Wołyń. Epopeja polskich losów 1939–2013. Akt II

Wołyń. Epopeja polskich losów 1939–2013. Akt III

Wołyń. 27 Wołyńska Dywizja Piechoty Armii Krajowej

Wołyń. Prześladowania Polaków na sowieckiej Ukrainie. Część 1

Wołyń. Prześladowania Polaków na sowieckiej Ukrainie. Część 2

Żołnierze Wyklęci. Przecież to dziecko bandyty!

Żołnierze Wyklęci. I znów za kraty

Inna Ukraina. Zakarpacie — tu się zaczyna i kończy Europa

Śmierć za Sienkiewicza! Prześladowania Polaków na Podolu 1918–1991

Kobiety kresowe

Wierzę, że nie zginie! Mniejszość polska na Zaolziu 1870–2015

Zginęli za polską sprawę. Mniejszość polska na Zaolziu 1870–2015

Marek A. Koprowski

WOŁYŃ

Mówią świadkowie ludobójstwa

Replika

Copyright: © Marek Koprowski, 2016
Copyright: © Wydawnictwo Replika, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:
Marta Akuszewska

Korekta:
Karolina Hamkało

Skład i łamanie:
Mateusz Czekała

Projekt okładki:
Mikołaj Piotrowicz

Zdjęcia w książce i na okładce pochodzą ze zbiorów autora.

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej
Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2016

ISBN 978-83-7674-378-3

Wydawnictwo Replika
ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo
tel./faks 061 868 25 37
replika@replika.eu
www.replika.eu

Pamięci
Stanisława Łozińskiego
ppłka Wojska Polskiego i obrońcy Przebraża

Spis treści

Zygmunt Mogiła-Lisowski
Jan Niewiński
Franciszek Leszczyński
Dyoniza Szwed
Wacława Borucińska
Tadeusz Wolak
Bogusław Rosiński
Lista obrońców Przebraża
Fotografie

Zygmunt Mogiła-Lisowski

Z ziemiańskiej rodziny

Zygmunt Mogiła-Lisowski to postać niezwykła. Ziemianin urodzony w Romanówce na Wołyniu. Żołnierz 27 Wołyńskiej Dywizji AK i WiN-u. Poseł na Sejm I kadencji, wiceprzewodniczący Sejmowej Komisji Obrony Narodowej, członek Naczelnej Rady Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, Zarządu Krajowej Rady Lotnictwa, ekspert Polskiego Lobby Przemysłowego, prezes Towarzystwa Miłośników Wołynia i Polesia oraz wiceprezes Krajowego Ruchu Patriotycznego. Ukończył Wydział Chemii na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Mąż, ojciec i dziadek.

— Moje życie było burzliwe, jak wiek dwudziesty, i pełne niezwykłych zdarzeń — wspomina. — Ostatni raz widziałem swój dom rodzinny w październiku 1939 r. Miałem wówczas 11 lat. Wtedy też skończyło się moje dzieciństwo. Musiałem szybko dorosnąć, myśleć i działać jak dorosły. Zanim zdałem maturę, zdążyłem już być partyzantem, żołnierzem i więźniem Urzędu Bezpieczeństwa. Urodziłem się w Romanówce k. Łucka na Wołyniu w 1928 r. Stanowiła ona majątek Rodziewiczów, rodziny mojej matki. Jak wynika z dokumentów, pozostawał w rękach rodziny od co najmniej dwustu lat. Z przekazów rodzinnych wynika jednak, że mógł do niej należeć znacznie dłużej. Świadczyły o tym stare dokumenty pisane ręcznie na zwojach pergaminu. Pokazywała mi je moja matka, traktując jako skarb rodzinny. Owe dokumenty wraz z innymi najcenniejszymi

przedmiotami matka zakopała na początku II wojny światowej. Do dziś ich nie odnalazłem. Wynikało z nich, że nasz praprzodek był dworzaninem księcia Lubarta w Łucku. Jego potomkowie osiedlili się na Wołyniu i Polesiu, tworząc dwie linie Rodziewiczów: wołyńsko-poleską i litewską. Litewska linia Rodziewiczów rozrodziła się i przerzuciła przez Nowogródczyznę na Wileńszczyznę. Znamienne jest, że herb Polesia i Rodziewiczów jest taki sam — napięty łuk z dwiema strzałami. W latach siedemdziesiątych XIX wieku podzielono cały majątek Rodziewiczów z linii wołyńskiej między dwóch synów: Kazimierza i Romana. Kazimierz został w Niemirze. Był, jak to mówiono, lekkoduchem uwielbiającym rozrywki. Dziś uważam, że dobrze zrobił, bo przynajmniej coś z tego miał. Mój ojciec przed wojną wykupywał jego weksle i przejął część Niemiru. Matka natomiast marzyła o wykupieniu rodowej siedziby, pałacyku liczącego 150 lat. Notabene pałacyk stał jeszcze 15 lat temu, ale gdy przyjechałem tam w 2007 roku, już nic z niego nie zostało. Natomiast mój dziadek Roman Rodziewicz otrzymał liczący 600 ha ziemi folwark. Wybudował tam ładny 12-pokojowy, bardzo wygodny dom, przebudowany później przez mojego ojca. Wchodziło się do niego z różnych stron: od frontu, od folwarku, czyli całego gospodarstwa i przez kuchnię. Od frontu wchodziło się do bardzo dużego przedpokoju o powierzchni ponad 20 metrów kwadratowych, z którego trzy pary drzwi prowadziły do dalszych pomieszczeń. Na lewo znajdował się salon z ogromnym czarnym biurkiem ojca. Trzymał w nim pieczątki i dokumenty rodzinne. Ponadto były tam dwie otomany, a na czterech oknach stało bardzo dużo kwiatów, bo mama się w nich kochała.

W salonie odbywały się wszystkie rodzinne uroczystości. Na wprost wchodziło się do dużej jadalni, z której wejście prowadziło do salonu, werandy i sypialni. Stał w niej przepiękny duży kredens z białego drewna brzozowego, rzeźbionego w ornamenty kwiatowe.

Ogromnie go lubiłem. Będąc niedawno w Romanówce, pytałem, czy choć fragmenty się u kogoś nie zachowały. Niestety, nic nie udało się odzyskać. W jadalni stał też duży rozsuwany stół. Na lewo od jadalni była mała łazienka i wejście do pokoju cioci. Wodę do łazienki przynosiło się z kuchni i nalewało do dużego baniaka z kranem, gdyż brakowało kanalizacji. Oświetlenie dzienne, a wieczorami zapalało się lampę naftową. W Romanówce nie było elektryczności, ojciec zamierzał kupić własny generator, ale plany te pokrzyżowała II wojna światowa. Obok łazienki w małych pokojach mieszkała moja nauczycielka, pani Kołowska (jej brat, który zawsze przyjeżdżał do nas na wakacje, został później moim szwagrem) oraz ciotka. Dalej znajdowała się duża sypialnia moich rodziców, z której było również wejście do pokoju kredensowego — mama mogła tamtędy przedostać się bezpośrednio do kuchni. W sypialni stały dwa metalowe, ozdobne łóżka, po lewej mamy, po prawej taty.

Tak jak w każdym kresowym domu, ważną rolę odgrywała w naszym dworze babcia, Bronisława Rodziewicz. Po śmierci dziadka w 1910 r. sama wychowywała czworo dzieci: moją mamę, urodzoną w 1900 r., i o rok od niej starszą Anielę oraz dwóch synów. Jeden zmarł na tyfus w 1917 r., natomiast drugi po wypadku w dzieciństwie był niepełnosprawny umysłowo i zmarł w czasie wojny.

Podczas I wojny światowej przez Romanówkę przechodził front. Byli u nas Niemcy, Rosjanie, a w końcu w 1916 r. stanęli Austriacy. W naszym domu był sztab. Całą ziemię pokryto okopami. Pola na przestrzeni wielu kilometrów były zryte. Co 200–300 metrów wykopano rowy i ustawiono druciane transzeje. Babcia robiła wszystko, żeby uratować nasz majątek. Ze wszystkimi potrafiła rozmawiać, zarówno z szeregowcami, jak i oficerami czy generałami. Gdy nadchodzili bolszewicy, zabrała kilkadziesiąt krów oraz koni i uciekła aż pod Rzeszów. Wracała potem z tym wszystkim do Romanówki. Mówiła zawsze do mnie „synuś, synuś”, bo miałem się

nazywać Rodziewicz, jako jedyny potomek z tej linii. Przed moim urodzeniem ojciec się na to zgadzał, ale potem kategorycznie odmówił.

Babcia umarła w 1936 r. Miałem wtedy 8 lat. Bardzo to przeżyłem, byłem do niej mocno przywiązany. Wkrótce okazało się, że nawet po śmierci nadal czuwała nad swoją rodziną. Miałem z nią kontakt jeszcze kilkakrotnie. W 1939 r. pojawiła się w nocy w salonie naszego domu. Spali tam: mój późniejszy szwagier, Sławek Kozłowski (ożenił się z moją siostrą Marią w 1949 r.) i brat cioteczny, Jurek Paszkowski. Podeszła najpierw do Sławka, potem do Jurka, westchnęła, popatrzyła na nich i wyszła. Chłopcy się zerwali i ze strachu pouciekali. Ojciec później śmiał się z nich.

Niedługo potem przyszedł telegram z Tarnowa. Podczas prowokacji niemieckiej na stacji kolejowej wybuchła bomba i zginęła matka Sławka, która prowadziła tam przechowalnię bagażu. Niecały tydzień później przyszedł kolejny telegram. Brat Jurka, Tadek Paszkowski (wychowanek ojca), pilot, podchorąży, zginął w Dęblinie, prowadząc ćwiczenia. Leciał w kluczu samolotów pilotowanych przez rezerwistów. Jeden z nich wpadł mu na stery.

Moja mama, Aleksandra z Rodziewiczów, Mogiła-Lisowska, urodzona w 1900 r., po wojnie i ślubie z ojcem przejęła rządy „kobiecą stroną” Romanówki. Miała dobre pensjonarskie wykształcenie. Była bardzo pracowita i zajmowała się gospodarstwem. Wstawała o piątej rano razem z ojcem. Typowa matrona. Nadawała styl dobrego, zasobnego domu (choć nie zawsze był taki naprawdę). Świetnie gospodarowała i potrafiła utrzymać doskonałe stosunki z wszystkimi wokół. Potwierdza to chociażby sytuacja podczas rozruchów spowodowanych przez ukraińskich komunistów.

Przyjechała wówczas do nas kawaleria. Ukraińcy z Tychotyna przyszli do matki z prośbą o wstawiennictwo i nikomu z nich włos

z głowy nie spadł. Byli jej bardzo wdzięczni. Zresztą Tychotyn do końca zachowywał się przyzwoicie.

Natomiast sąsiedni Niemir to była wieś nacjonalistyczna. Stryj nie dbał o majątek, za co nie był szanowany przez mieszkańców, bo widzieli, że go trwoni. Stale były konflikty.

Mój ojciec, Stanisław Mogiła-Lisowski, urodził się w 1894 r. w Radomiu. Ukończył w 1916 r. szkołę pilotów w Odessie i był w carskiej armii, gdzie służył podczas I wojny światowej jako pilot bojowy. Został dwukrotnie ranny, a w 1917 r., strącony pod Stanisławowem, dostał się do niewoli austriackiej. Od 1918 r. służył w Legionach jako pilot i kurier Piłsudskiego. Po wojnie polsko-rosyjskiej Piłsudski, wiedząc, że ważne stanowiska trzeba obsadzić swoimi ludźmi, mianował go z ramienia rządu inspektorem lasów państwowych na Wołyniu. Taki dowód zaufania. Nasza rodzina była spokrewniona z Piłsudskimi.

Mój pradziad Lisowski, herbu „Jeż", w 1848 r., po powrocie z wojen, chciał się ożenić z Billewiczówną. Billewicz, który nie miał synów, oświadczył, że nie odda mu córki za żonę, jeśli mój pradziad nie przyjmie do nazwiska herbu ich rodziny — „Mogiła" (Lisowscy mają herb „Jeż"). Nasza rodzina uczciwie przyjęła herb Billewiczów i od tego czasu zawsze nazywamy się Mogiła-Lisowscy herbu „Jeż". Nigdyśmy tego nie zdradzili. Żoną mego pradziadka była rodzona siostra matki Piłsudskiego. Mój dziad, Kazimierz Mogiła-Lisowski, doskonale znał Józefa Piłsudskiego, razem walczyli w 1905 r. przeciwko caratowi.

Mój ojciec był zawsze przystojny i towarzyski. Mieszkając w Łucku, chodził grać w brydża u doktorostwa Żytyńskich, spokrewnionych z Rodziewiczami. Poznał u nich moją matkę i ożenił się z nią w 1921 r. Był bardzo operatywny, rozpoczął odbudowę Romanówki, którą kompletnie zniszczono po I wojnie światowej. Został tylko murowany dom, częściowo zrujnowany, podobnie jak obora. Część

zabudowań była spalona, a sad znacznie wyrąbany. Ojciec opowiadał, że największe kłopoty miał z zasypywaniem okopów i usuwaniem drutu. Dzięki temu, że miał dobrą posadę, było za co żyć, bo przez dwa lata w gospodarstwie nie robił nic innego prócz zasypywania tych rowów i zwijania drutów, które następnie sprzedawał.

Kiedy to wszystko usunął, zaczął hodowlę wołów z przeznaczeniem na mięso. Ponieważ ziemia w posiadłości mojego ojca była wspaniała — czarnoziem, w niektórych miejscach torfowy — ojciec dokupił koni i sprowadził fornali. Zbudował dla nich pomieszczenia, wyremontował dom i zaczął normalnie gospodarować. Doskonale wykorzystał ówczesny duży popyt na zboże i pszenicę, a następnie założył zagrodową hodowlę krów sementalerów. Równocześnie przed 1930 r. rozpoczął hodowlę owiec. Mieliśmy około tysiąca matek kolczykowanych o specjalnej miękkiej wełnie, która trafiała do tkalni w Leszczkowie. Ojciec stale dokupował konie — w 1939 r. mieliśmy już 32 sztuki. Majątek stawał się coraz bardziej zmechanizowany. Ojciec zamierzał nabyć traktory, gdyż do majątku należały duże połacie ziemi. Liczył on około 600 ha, w tym ziemi ornej było 450 ha, resztę stanowiły łąki i las przy folwarku Bronisławka. W 1939 r. majątek był u szczytu swojej wielkości i wydajności.

Mówiąc o mojej rodzinie, muszę też wspomnieć o siostrze, a także dokończyć swoje opowiadanie o domu, z którym czułem się bardzo związany. Moja siostra Marysia była o kilkanaście miesięcy starsza ode mnie. Nazywano ją „Docia” i uważano, ze wdała się się w ojca. Natomiast ja byłem „swój”. Od dziecka mówiłem po ukraińsku, a od kolonistów niemieckich nauczyłem się niemieckiego. Siostra już od czwartej klasy chodziła do szkoły w Łucku i mieszkała tam u wujostwa Żytyńskich. Ja natomiast zostałem w domu. Miałem guwernantkę, a w Łucku na końcu roku szkolnego zdawałem

egzaminy. Nie chciałem wyjeżdżać, ku zadowoleniu moich rodziców, którzy woleli mnie mieć przy sobie.

Byłem bardzo związany emocjonalnie z domem, do dziś stale mam ochotę tam jeździć. Dom był parterowy z werandą. Przed nim znajdowały się: gazon, dwa kasztany, piękna lipa, chyba dwustuletnia, jaśminy, akacje. Dalej stały trzy ule i lodownia, w której cały rok można było kręcić lody. Za nimi tzw. sławojka. Każdego wchodzącego od strony kuchni zawsze uderzał charakterystyczny zapach wędlin, bo obok była spiżarnia, gdzie za siatką wisiały połcie słoniny, uwędzone kiełbasy i szynki, które np. na Wielkanoc, obłożone ciastem, pieczono w piecu chlebowym. Były wspaniałe.

W korytarzu pachniało także ziołami. Moja matka była zwolenniczką leczenia nimi drobnych schorzeń. Nieco poważniejszymi zajmowały się miejscowe znachorki, których kuracje np. palonymi włóknami konopi bywały skuteczne, o czym przekonała się moja babcia. Kuchnia była bardzo duża, 6–7 metrów. Stał w niej olbrzymi stół. Jadali przy nim parobkowie, którzy nie założyli jeszcze własnych rodzin. Bardzo często przychodziłem jeść z nimi śniadanie, bo dostawali zacierki na mleku, takie skubane, które do dziś ubóstwiam, i świetny domowy chleb. Potem do pracy brali ze sobą pajdę z masłem lub smalcem ze skwarkami, a czasem ze słoniną — taką, która nasolona leżała rok w beczce. Była równie wspaniała jak wędliny.

W kuchni z lewej strony stała duża kuchnia z żelaznym blatem, a obok równie duży piec chlebowy. Za kuchnią był tzw. kredens — duży pokój liczący jakieś 6–7 metrów. Mieszkały tam: gospodyni, główna kucharka oraz zaufana służąca mojej mamy, która miała wstęp do wszystkich pokoi. Jedno z wejść do domu znajdowało się od strony gumna, czyli zabudowań folwarcznych. Były tam: magazyn zboża i stara obora, którą ojciec przebudował na wytwórnię

pustaków. Kupił cement, gdyż uważał, że budowanie z własnych materiałów bardziej się opłaci. Dalej stał olbrzymi budynek, którego jedną połowę zajmowała stajnia, natomiast drugą — obora, w środku której była przygotowalnia pasz z sieczkarnią.

Przerwane dzieciństwo

Zygmunt Mogiła-Lisowski zapamiętał wiele szczegółów ze swego szczęśliwego wołyńskiego dzieciństwa.

— Któregoś dnia zasnąłem na sianie, na strychu nad oborą — wspomina. — Podłoga była jeszcze prowizoryczna, coś się obsunęło i spadłem wprost na byka, którego to bardziej przeraziło niż mnie. Ponieważ uderzyłem się dość mocno, na chwilę straciłem przytomność. Pracownicy ojca, którzy to widzieli, narobili alarmu. Było to lato i akurat wypoczywało u nas sporo ciotek. Słysząc, co się stało, każda z nich złapała garnuszek z wodą i biegła w moim kierunku. Ja szybko odzyskałem przytomność i widząc sznurek ciotek biegnących w moją stronę, każda z kubkiem wody, zacząłem się okropnie śmiać. Nigdy nie zapomnę ich widoku… Oczywiście mój śmiech ogromnie je rozzłościł, a moja siostra cioteczna do dziś mi ten śmiech wypomina. W naszym domu, zgodnie z kresową tradycją, mieszkali też tzw. rezydenci. Jedną z takich osób była siostra mojej matki, Aniela Maciejewska, z córeczką urodzoną w 1936 r. Ciotka Aniela pomagała mojej matce w gospodarstwie, ale często wyjeżdżała do rodziny w Warszawie oraz uzdrowisk takich jak Krynica, traktując Romanówkę jako gniazdo rodzinne. Nasz dom był bardzo gościnny, w wakacje zjeżdżała się rodzina z dziećmi z różnych stron Polski.

Słuchając Zygmunta Mogiły-Lisowskiego, można się też dowiedzieć, jak wyglądało ziemiańskie obejście.

— Pamiętam, że w naszym obejściu była też studnia z długim, chyba dwudziestometrowym korytem do pojenia koni — wspomina. — Mieliśmy też w drewnianym budynku owczarnię na tysiąc owiec i piętrową chlewnię. Na dole były świnie, a na górze — magazyn zboża. Kolejny budynek to kuźnia, stolarnia i rymarzownia. Pracował w niej Leon Iwanicki, inwalida z I wojny światowej, złota rączka, który wszystko potrafił zrobić. Były tam też dwa pokoje parobków. Obok znajdował się sześciohektarowy sad, który ojciec wydzierżawił rodzinie żydowskiej. W budynku starej chlewni stała stara kareta. Za moich czasów przesiadywały w niej kury, ale pamiętała jeszcze czasy dawnej świetności, gdy woziła naszą rodzinę Rodziewiczów. Wiązała się z nią anegdota z okresu powstania styczniowego o mojej prababci, która pod krynoliną przewiozła powstańca przez carski kordon. Zdarzenie to stało się potem źródłem wielu żartów na temat tego, w jakim stanie dojechał ów powstaniec.

Mimo ziemiańskiego pochodzenia Zygmunt Mogiła-Lisowski był bardzo zżyty ze swym środowiskiem.

— Cały dzień biegałem po polach i zabudowaniach, wszędzie mnie było pełno — wspomina. — Bawiłem się z chłopcami w moim wieku — synami fornali, z końmi i psami, nigdy się nie nudziłem. Kiedy podrosłem, chodziłem na polowania po polach, łąkach i lasach. Ciągle brakowało mi czasu na naukę i ojciec musiał mnie do niej naganiać. Od małego jeździłem konno, najpierw zresztą wchodziłem na konia po jego nodze. Trochę poduczał mnie jeden z dońskich kozaków, który przeszedł na stronę polską ze swoim oddziałem w wojnie bolszewickiej. W rezultacie jeździłem świetnie i kiedy tylko

się dało, przyprawiając matkę o przerażenie. Przy tej zabawie z rówieśnikami nauczyłem się mówić po ukraińsku i po niemiecku. Niemiecką rodzinę Gaigerów sprowadził mój pradziad Mikołaj, przydzielając im ziemię. Była to liczna rodzina związana z majątkami Niemir i Romanówka. Pierwotne zasiedlenie, zwane potocznie „gaigerówka", zostało zniszczone w trakcie I wojny światowej, ponieważ znalazło się w strefie działania frontu. Po wojnie dwie rodziny — Alberta Gaigera i Oskara Gaigera — bardzo związały się z Romanówką i naszą rodziną. Albert był ekonomem, natomiast Oskar człowiekiem od wszystkiego: stangretem, rzeźnikiem (robił doskonałe wędliny), opiekunem dzieci, doglądał inwentarza. Jednym słowem: człowiek niezastąpiony.

Wybuch wojny w 1939 r. mocno wrył się w pamięć Zygmunta Mogiły-Lisowskiego.

— W 1939 r. ojciec został powołany do wojska i wyruszył bronić ojczyzny, a my w majątku zostaliśmy sami z matką — wspomina. — Przeżyliśmy wtedy wstrząsające zdarzenie. 17 września wycofująca się kompania Wojska Polskiego, prawdopodobnie akademicka, składająca się z młodych chłopców, zatrzymała się w Romanówce na noc. Tego samego dnia Rosjanie przekroczyli naszą granicę. Okazało się, że oprócz wroga z zewnątrz mamy drugiego, wewnętrznego — nacjonalistów i komunistów ukraińskich — wtedy kolaborujących przeciwko Polakom. Nacjonaliści ukraińscy zawarli z Niemcami porozumienie, że gdy wybuchnie wojna polsko-niemiecka, to na Wołyniu i w Galicji zorganizują powstanie przeciwko Polakom. Po wkroczeniu Rosjan nie miało ono sensu. Nacjonaliści ukraińscy mieli wolną rękę w mordowaniu wycofujących się żołnierzy i polskich uciekinierów z zachodniej Polski, którzy zatrzymywali się na noc w stodołach u chłopów. Rabowali wszystko, a następnie mordowali.

Jedna z ich grup zażądała, żeby nocujący w Romanówce żołnierze poddali się. Nasi chłopcy kategorycznie odmówili i stwierdzili, że mogą się poddać najwyżej regularnej armii. Moja mama namawiała ich, żeby uciekali, gdyż wiedzieliśmy już, co im grozi. Część posłuchała, ale 50 czy 60 żołnierzy zostało. Najpierw zostali rozbrojeni przez wojsko rosyjskie, jadące traktem do Kisielina. Podczas strzelaniny, która się przy tym wywiązała, ranny został porucznik, dowódca kompanii. Miał przestrzelone płuca. Leżał około 15 metrów ode mnie. W pewnym momencie nadjechał na koniu rosyjski oficer.

— Co ty? Ranny jesteś? No to nie męcz się — powiedział, po czym wyjął nagana i dobił go.

Tych, których nie zabito w strzelaninie, a się poddali, Rosjanie przekazali nacjonalistom ukraińskim, mówiąc: „Róbcie z nimi, co chcecie. To jest pańskie wojsko". Chłopi ukraińscy rozebrali tych młodych żołnierzy do naga. Pokładali na wozy drabiniaste jak snopki siana i zakłuli widłami. Potem ciała ich wywieźli i potopili w jamach torfowych. Wszystkich wymordowali, a zdarzenie to, ze szczegółami, wryło się boleśnie w moją pamięć na zawsze. Po latach, już w wolnej Polsce, starałem się zwrócić uwagę polskim władzom na to miejsce mordu polskich żołnierzy. Powinno ono zostać upamiętnione. Przecież to był mały Katyń na Wołyniu. Rozmawiałem o tym m.in. z nieżyjącym już ś.p. Andrzejem Przewoźnikiem z Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, ale sprawa po dziś dzień nie została załatwiona. Szkoda, bo za kilka lat umrą ostatni ludzie pamiętający tę tragedię. Ja do końca życia nie zapomnę twarzy ukraińskiego chłopa, który ściągał wtedy buty z nóg mordowanych polskich żołnierzy. Nieopodal Romanówki były dwie ukraińskie wsie, Tychotyn i Niemir. Pierwsza z nich zachowała się lojalnie w stosunku do nas i nie bardzo się angażowała w ten mord. Druga wieś natomiast była absolutnie opanowana przez nacjonalistów ukraińskich, którzy

nazywali siebie Komunistyczną Partią Ukrainy. Odznaczali się czerwonymi opaskami na przedramieniu. 19 września 1939 r. chłopi z Niemira przyszli do naszego majątku. Wyciągnęli nas na zewnątrz. Postawili pod ścianą i zamierzali wszystkich rozstrzelać, tak jak ziemian w innych majątkach. Matkę zaciągnęli do domu, rzekomo szukając broni. Gdy ciotka Aniela spytała, dlaczego nas tam trzymają, jeden z pilnujących nas chłopów odpowiedział: „Jak tylko przyprowadzą z powrotem Lisowską, to razem was wszystkich rozstrzelamy". Nagle coś zawarczało, zahuczało i przez gazon, na którym rosły lipy i kasztany, zajechał przed dom rosyjski czołg. Siedział w nim oficer rosyjski w skórzanej kurtce. Wyszedł, patrzy, a my tak stoimy pod ścianą: moja siostra cioteczna (mała, 4,5-letnia dziewczynka), moja starsza siostra i ja. Oficer spytał, dlaczego tu stoimy.

— To pamieszczyki, my ich zaraz rozstrzelamy — odpowiedział Ukrainiec.

— I te dzieci też? — zapytał oficer.

— No, to szto, eto pamieszczyki — rzucił krótko chłop.

W tym momencie oficer złapał go za kark, wyjął nagan, kopnął w tyłek Ukraińca, który nas pilnował i powiedział, że jesteśmy wolni. Następnie wezwał do siebie któregoś z tych ukraińskich przywódców i powiedział, że jeśli będą tu ludzi mordowali, to sam ich wszystkich rozstrzela.

— Wy nie macie prawa bez sudu. Od tego sowiecka ja własť. — Trochę się przestraszyli, a myśmy się uratowali.

W tym samym 1939 r. zastrzelili naszego zarządcę. Maksymilian Kowalski z Poznania był po studiach rolniczych i przez lata pomagał ojcu w gospodarce. Ci, co go zamordowali, chwalili się potem w okolicy, że błagał ich o życie, klęcząc na kolanach. Opowiadali to zdarzenie jak dobry kawał. Niedługo potem zachorowałem na szkarlatynę. Felczer, który do mnie przyjechał, powiedział do matki:

— Proszę pani, wy stąd uciekajcie, bo was wykończą.

W nocy przyszli nas pilnować Ukraińcy. Nie wiadomo, czy żebyśmy nie uciekli, czy przed mieszkańcami Niemiru, żeby nas nie wymordowali. A jednocześnie bardzo się bali mojego ojca. Wiedzieli, że gdyby nam się coś stało, to by im nie darował. Ktoś ciągle powtarzał plotki, że widzieli Lisowskiego to tu, to tam. W końcu którejś nocy przyjechały wozy zaprzyjaźnionych Ukraińców z Tychotyna. Powiedzieli matce, że już dłużej nas ochraniać nie mogą i wywieźli nas drogą do Łucka, gdzie trafiłem do szpitala, a po wyzdrowieniu zacząłem uczęszczać do szkoły. Jednak pamięć o zdarzeniach w Romanówce nie dawała mi spokoju. Bardzo się bałem milicji sowieckiej i żołnierzy. Ten lęk pozostawał we mnie przez dłuższy czas.

Najpierw przyszli po ojca

— Początkowo we Lwowie żyło się nam bardzo dobrze — wspomina. — Ojciec miał spory zapas polskich złotówek, które miejscowi handlarze brali na pniu. Notabene, jestem pewien, że w piwnicy domu przy ul. Krasińskiego we Lwowie nadal jest paczka zakopanych przedwojennych polskich złotych. Na pewno nic im się nie stało, bo w fabryce świec zostały zabezpieczone stearyną. Po przyjeździe do Lwowa zacząłem nawet chodzić do szkoły, ale Rosjanie nie dali nam spokoju. Najpierw przyszli po ojca. Matka im powiedziała, że pojechał do Mikołowa szukać pracy. Tymczasem on schował się w pobliskich zaroślach na Górze św. Jacka, które często służyły polskim oficerom do tego celu. Rosjanie powiedzieli: „No, dobrze, dobrze, niech szuka”, jednak po paru dniach dowiedzieliśmy się, że wywożą polskie rodziny na Sybir.

Mieliśmy się rozdzielić. Ojciec zamieszkał przy ul. Snopkowskiej we Lwowie, gdzie były cegielnie, i spał tam dosłownie w koziej budce. Ja nocowałem na strychu niewykończonej willi państwa Waszczyszynów przy Górze św. Zofii. Do okien dochodziły tam gałęzie dużych drzew, na które w razie czego miałem wejść i uciekać. Mama zamieszkała w Zamarstynowie u znajomych. Siostrę przechowywali jako swoją córkę państwo Weissowie. Ojciec podał się za tzw. sapożnika (szewca), dostał jakieś zaświadczenie i dowód osobisty. Był na tyle operatywny, że cały czas uciekał i nie dał się złapać na rosyjskie podstępy. Nie kupił od podstawionych przez NKWD pośredników fałszywego paszportu. Mądrze zrobił. Jego koledzy, Witold Przybojewski i Stanisław Pawłowski, którzy kupili, choć im to odradzał, zostali aresztowani, wywiezieni do Katynia i obaj zginęli. W końcu, gdy NKWD za bardzo się już nim interesowało, musiał opuścić Lwów. Pojechał do Kałusza, niedaleko granicy rumuńskiej. Tam, ponieważ był dobrym mechanikiem, dostał pracę w fabryce sadzy, a ja do niego przyjechałem na wakacje. Ojciec jeździł ciężarówką i zbierał zamówienia dla budującej się fabryki. Domyślaliśmy się, że będzie wojna niemiecko-rosyjska. W związku z czym ojciec chciał pojechać po mamę i siostrę do Lwowa, żeby nie zostały tam same. Liczył, że w Kałuszu będzie bezpieczniej i ciągle miał nadzieję, że uda się uciec na Węgry. Zostałem sam pod opieką panów inżynierów, Bezdeka i Podstawskiego. Ludzi bardzo porządnych. Byłem bardzo samodzielnym i odważnym chłopakiem, we wszystko się angażowałem, jednak mocno przeżywałem zaistniałą sytuację. Niedługo po wyjeździe ojca do Lwowa nastąpiło uderzenie Niemców na Rosję. Kto mógł, uciekał, a wycofujący się Rosjanie wszystko niszczyli i podpalali. Wysadzili w powietrze znajdujące się w pobliżu Kałusza magazyny ropy, która spłynęła do pobliskiej rzeki. Do końca życia nie zapomnę tego widoku. Na przestrzeni wielu kilometrów

ropa paliła się, płynąc rzeką Siwką, wzniecając pożar w okolicznych wsiach.

Wieś Ugierształ, w której mieszkałem, również zajął ogień. Za punkt honoru uznałem więc ratowanie ludzi z płonących zabudowań i rzeczywiście udało mi się wyprowadzić z płonącej chałupy małą dziewczynkę. Schroniła się ze strachu na przypiecku i musiałem tam wejść. Wpadłem w ten piec i gdy się wydostałem, już wszystko płonęło. Na szczęście uratowaliśmy się. Pan Bezdek dał mi nawet niezłego klapsa za to, że tak ryzykowałem. Chałupę, w której mieszkaliśmy, wybudował Polak pracujący w Kałuszu. Była pokryta nie strzechą, ale dachówką i przetrwała, bośmy ją od góry polewali wodą.

Tak więc mieliśmy dach nad głową, ale nie było co jeść. Wtedy to po raz pierwszy objawił się mój talent zaopatrzeniowca. W tym całym zamieszaniu ludzie dobrali się do magazynów państwowej fabryki sadzy. Poszedłem tam i ja. Wziąłem dwie skrzynki wina, trzy skrzynki konserw i gulaszu z kluskami, więcej nie dałem rady. Jak to w takich sytuacjach bywa, wybuchła awantura. Inżynierowie Bezdek i Podstawski krzyczeli, jakim prawem biorę się za rabowanie, że to nie wypada i powinienem wszystko zwrócić. Broniłem się, że nie ma gdzie odwieźć, bo tam wszystko się pali, że brałem to, co i tak by się spaliło, a w tym momencie przecież jako państwowe było niczyje. No i stanęło na moim. Obaj panowie w końcu nie tylko chętnie jedli konserwy, ale i z zadowoleniem popijali czerwone wino. Mnie oczywiście nie dawali. Miałem przecież dopiero 13 lat, ale ponieważ byłem dyspozytorem zapasów, sam je sobie przydzielałem. Bardzo mi smakowało. Skrycie wypijałem po pół szklanki. Potem kręciło mi się w głowie, co bardzo mi się podobało.

W taki oto sposób zostałem zaopatrzeniowcem. Codziennie rano chodziłem do odległego o 7 km Kałusza, gdzie zawarłem przyjaźnie z Węgrami, którzy znali trochę rosyjski. Zabierałem ze sobą bańkę,

w którą nalewali mi dwa litry gulaszu i dodawali kluski albo ziemniaki. Z Hucułami, którzy nie byli tak źle do Polaków ustosunkowani jak Ukraińcy, wymieniałem wino na mleko. Jak na ówczesne warunki całkiem nieźle karmiłem panów Bezdeka i Podstawskiego. Któregoś dnia dowiedziałem się, że z kopalni soli potasowej w Kałuszu ma do Lwowa jechać samochód. Była to jedyna szansa na połączenie się z rodziną. Wiedziałem, że nie mogę jej zmarnować. Kierowca zażądał ode mnie pieniędzy, a ponieważ ich nie miałem, sprzedałem ojca kożuch. Zapakowałem do zakupionego z resztek pieniędzy wózka nasze rzeczy: cały garnek masła solonego, słoninę i inną żywność. Jeden z Polaków również chciał dotrzeć do Lwowa, więc miałem nawet dorosłego towarzysza podróży. Wyruszyliśmy. Niestety już w Kałuszu okazało się, że samochód jest przepełniony i kierowca nie może nas zabrać. Zwłaszcza ze względu na mój wózek. Pozostała podróż na piechotę. Razem z moim towarzyszem ciągnęliśmy wózek drogą w kierunku Lwowa. Do Lwowa jednak nie doszliśmy. Jak zwykle okazałem się szczęściarzem. W Czortkowie natknęliśmy się na nasz samochód, który się popsuł. Po naprawie tym razem kierowca nas zabrał i dowiózł do Lwowa. Spotkałem się z rodziną. Najdziwniejsze, że gdy zajechałem pod dom we Lwowie dorożką, spotkałem ojca, który wychodził, bo chciał jechać po mnie do Kałusza. Żywiliśmy się tym, co przywiozłem, ale ojciec mnie beształ, że sprzedałem kożuch. Matka się śmiała:

— A jak on miał przyjechać i wózek dostać?

Ojciec pracował w DEPO — stacji remontu wojskowych samochodów frontowych. Był niezłym mechanikiem. Doświadczenie zdobył w czasie I wojny światowej. Gdy latał w armii rosyjskiej jako pilot, jego samolot został strącony nad Austrią, gdzie w niewoli pracował w fabryce Szteiera przy silnikach. Chodziłem do niego po pracy z bańką, brałem jedzenie z kuchni wojskowej i przynosiłem do

domu. Ponieważ brakowało żywności, zbieraliśmy z kolegami po mieście niedopałki niemieckich papierosów, odcinaliśmy spaloną część i z uzyskanego tytoniu robiliśmy papierosy (można było kupić Gilzy, służące do pakowania bilonu w rulony). Potem szedłem za rogatki, gdzie za papierosy od chłopów dostawałem ser, masło, a nawet jajka. Jak zawsze zajmowałem się zaopatrzeniem domu.

Pod okupacją rosyjską działalność konspiracyjna była praktycznie niemożliwa. Inwigilacja NKWD i represje powodowały, że stale trzeba było uciekać lub przynajmniej się ukrywać. Matka opowiadała, że w momencie wkroczenia Niemców, po rządach NKWD, lwowiacy witali ich kwiatami, gdyż Rosjanie szykowali nową wywózkę. Ojciec wszedł do konspiracji. Niedługo potem dostał propozycję zostania komendantem okręgu „Wachlarza" w Rawie Ruskiej oraz propozycję objęcia tam stanowiska dyrektora stacji maszynowo-traktorowej MTS. Oczywiście przyjął obie i znów się przeprowadziliśmy.

Niemcy bardzo chętnie zatrudniali Polaków, gdyż na tamtych terenach Polacy byli jedyną inteligencją. W dodatku ojciec znał niemiecki. Z kolei organizacji bardzo jego praca odpowiadała, bo miał do dyspozycji samochody. Co prawda partyzantka AK dopiero się tworzyła, ale siatka punktów konspiracyjnych była bardzo gęsta. „Wachlarz" prowadził wywiad i dywersję, przynajmniej na tamtym terenie. Jedna z większych akcji doprowadziła do uwolnienia co najmniej kilkuset, a moim zdaniem około półtora tysiąca jeńców rosyjskich z niemieckiej niewoli. Gdy w 1941 r. wybuchła wojna niemiecko-rosyjska, Niemcy przyprowadzili do Rawy Ruskiej całe tabuny jeńców, żołnierzy radzieckich. Ich obóz mieścił się pod górą zwaną Wołkowysko, w zbudowanych przed wojną koszarach. Stało tam kilka olbrzymich bloków trzy-, czteropiętrowych, wszystko było ogrodzone płotem.

Jeńcy byli tam zagładzani, sam widziałem, jak rzucali się nawet na surowe kartofle. Hitlerowcy zaprzęgali ich jako konie do kuchni

polowych, które musieli ciągnąć, poganiani batem. Ojciec przypadkiem dowiedział się, że na mocy umowy nacjonalistów ukraińskich z Niemcami, Ukraińcy pochodzący z terenów polskich będą zwalniani. Zaczął więc produkować masowo metryki urodzenia, świadectwa szkolne, legitymacje szkolne czy klubowe, różnego typu dokumenty. Zrobił tego kilka tysięcy. Trochę je podniszczyliśmy, żeby wyglądały wiarygodnie. Ja ze Stasiem Golonką, moim kolegą, oraz wiele innych osób, między innymi kierowcy, którzy traktorem wywozili trupy z tych obozów, rozrzucaliśmy te legitymacje.

Potem przez pewien czas wczesną wiosną 1942 r. w Rawie Ruskiej wszędzie na ulicach, na schodkach siedzieli byli jeńcy. Każdy dostał bułkę i dwie czy trzy kostki sztucznego miodu i trzeba było widzieć, z jakim apetytem to jedli! Potem jakoś zniknęli. Z jednym spotkaliśmy się w 1945 r. Był majorem NKWD, szefem placówki w Dęblinie, nadzorował węzły kolejowe i transporty. Jeńców, którzy zostali w obozie, spotkał tragiczny los. Pamiętam, że całą zimę wozili ich trupy traktorem MTS-u, tzw. stalińcem, z dwiema czy trzema przyczepami i zakopywali je w olbrzymich rowach pod Górą Wołkowysko.

Nawiązując do spotkania ojca z majorem NKWD w Dęblinie, chciałbym opisać pewien istotny epizod. Ojciec mój prowadził tam wówczas kiosk, będąc jednocześnie byłym komendantem „Wachlarza” z Rawy Ruskiej. Pewnego dnia został aresztowany przez UB i wywieziony do Garwolina. Postanowiliśmy więc z matką udać się po pomoc do majora. Ten, nie zastanawiając się, wsiadł natychmiast w samochód, pojechał do Garwolina i wrócił z całym i zdrowym ojcem, któremu natychmiast polecił uciekać z Dęblina.

Powrócę do 1942 r. Skończyłem wtedy siódmą klasę. Byłem wyrośnięty i zwróciłem uwagę Niemców. Złapali mnie na ulicy i chociaż ojciec miał sporo znajomości, nie było żadnych szans, żeby mnie wyciągnąć. Wywieźli mnie na roboty pod Zgorzelec.

Wytrzymałem do Bożego Narodzenia 1942 r., wtedy zachciało mi się do domu, więc uciekłem. Złapali mnie w Zgorzelcu na stacji. Najpierw porządnie zbili, żeby nauczyć rozumu, a potem wywieźli do Gross-Rosen. Nie byłem jednak więźniem, tylko członkiem brygady obsługującej obóz koncentracyjny. Też chodziliśmy w pasiakach, tylko z innymi emblematami. Nocowaliśmy w przyobozowym baraku, za drutami, ale nie takimi jak w obozie. Chodziliśmy tam pod wartą i sprzątaliśmy po więźniach. Rozwoziliśmy jedzenie, kawę, wywoziliśmy nieczystości, zbieraliśmy trupy.

Do dziś nie wiem, dlaczego uwziął się na mnie jeden z pilnujących nas Ukraińców. Być może dlatego, że znałem jego język. Strasznie mnie tłukł, do tej pory mam problemy z kręgosłupem. Prawdopodobnie wybił mi kręg. Pod koniec czerwca nie wytrzymałem i postanowiłem wspólnie z kolegą uciec. W obozie ładowaliśmy wcześniej siano do wagonów i wiedzieliśmy, że załadowane pryzmy pojadą gdzieś na wschód. Tego dnia lał straszny deszcz. Pilnujący nas Ukrainiec starał się przed nim schować. Bez namysłu skorzystaliśmy z okazji. Najpierw jeden z nas ukrył się w beczkowozie z nieczystościami, a potem drugi. To była duża krypa i człowiek bez trudu się w niej mieścił. Z powodu ulewy Ukrainiec niedokładnie policzył kolumnę (było nas około trzydziestu). Pogonił ją do baraku, a my szybko weszliśmy do beczkowozu i schowaliśmy się pod ścianą w pociągu. Po chwili Niemcy zamknęli wagony i transport ruszył. Tylko proste ucieczki się udają.

Deszcz lał, pociąg jechał. Zdjęliśmy pasiaki, gdyż było lato, upał i w lejącym deszczu wypłukaliśmy ubrania. Podróż trwała dwa dni. W czasie postojów słyszeliśmy język niemiecki, potem polski. Przejeżdżaliśmy przez Chorzów, Katowice, Tarnów. Wyskoczyliśmy pod Rzeszowem, skąd pochodził kolega. Przemknęliśmy przez miasto opłotkami. Przebrałem się u niego w domu, wsiadłem w pociąg i pojechałem dalej. Do Rawy Ruskiej było niedaleko, dotarłem do

domu rano. Radość rodziców była ogromna. Oczywiście nikomu nie opowiadaliśmy o moich przygodach. Ojciec postanowił „usunąć mnie z widoku” i od razu załatwił mi pracę praktykanta w majątku Hujcze, leżącym 12 km od Rawy Ruskiej.

W cieniu ukraińskich noży

— Polskiego właściciela majątku oczywiście nie było — wspomina Zygmunt Mogiła-Lisowski. — Zarówno nim, jak i dwoma sąsiednimi zarządzał Niemiec, a właściwie Łotysz. Był żonaty z Rosjanką, którą nazywaliśmy „Milinką”, bardzo zaprzyjaźnioną z moją matką. Mieszkali u nas w domu w Rawie Ruskiej, a w majątku mieli swoje mieszkanie. Ja otrzymałem pokój na pierwszym piętrze w pałacu hrabiego Ronikera. Była to prawdopodobnie dawna garderoba, gdyż całą jedną ścianę zajmowała duża rozsuwana szafa. Spałem na rozkładanym łóżku. Codziennie nad ranem stróż Zabawski stukał w okno tyczką od fasoli, budząc mnie, żebym szedł do udoju. Niemcy mnie specjalnie nie szukali.

Wróciło natomiast inne zagrożenie — nacjonaliści ukraińscy. Był rok 1943, najtragiczniejszy dla Wołynia, kiedy to mordowali Polaków na taką skalę, że mówi się dziś o ludobójstwie. Pamiętam, że chodzili pod oknami i śpiewali piosenki, których treść uświadamiała nam, co nas czeka. Którejś nocy ocknąłem się i zobaczyłem w pokoju babcię Rodziewiczową. Podeszła do mnie, pokiwała głową i powiedziała: „Synuś, nie możesz tutaj spać, bo jutro przyjdą Ukraińcy i cię zamordują. Idź spać do Mikołaja Muzyki”.

W tym momencie coś uderzyło w szybę. Zerwałem się z łóżka, szybko ubrałem i zbiegłem na dół. Stróż Zabawski zaskoczony spytał: „Dlaczego tak rano wstałeś?”. Odpowiedziałem, że przecież stukał w szybę. „Nigdzie nie stukałem” — powiedział zdumiony.

Poszedłem do gorzelnika (w majątku była gorzelnia) i opowiedziałem mu całą historię. Zaczął się ze mnie śmiać. Widząc jednak, że jestem roztrzęsiony, nalał mi spirytusu z sokiem. Trochę mnie to rozgrzało, trochę pogadaliśmy i poszedłem do udoju.

O szóstej rano przyszedł Muzyka, Ukrainiec ze wsi Zabuże, mój kolega, który pracował w kancelarii. Odwołałem go na bok i mówię: „Idę dziś do ciebie spać". Nie miał nic przeciwko temu, wręcz przeciwnie. Powiedział, że jego mama i siostra się ucieszą.

— Tylko weź jakąś wódkę, coś do jedzenia, bo niewiele mamy w domu — dodał.

W tym czasie Niemcy już się wycofali. Przy okazji przygonili do Hujczy całe tabuny baranów. Ponieważ wszyscy mieliśmy rodziny, które trzeba było wyżywić, to co pewien czas jakiś baran rzekomo łamał nogę. Trzeba go więc było zarżnąć. Piekliśmy go potem w olbrzymim piecu chlebowym. Wziąłem więc udziec barani, dwie flaszki spirytusu i po południu poszliśmy z Muzyką do jego domu. Kobiety rzeczywiście się ucieszyły. Przy alkoholu i dobrym jedzeniu bawiliśmy się świetnie, aż się ściemniło. Nagle do pokoju wpadła matka Muzyki.

— Gasimy światła, bo chyba idą — powiedziała przerażona.

Rzeczywiście szli. Było ich słychać. Zabuże to wieś bardzo gliniasta i gdy tylko deszcz popadał, trudno było gdziekolwiek przejść. Wzdłuż chałup wykopano więc rowy, a na nich ułożono szerokie kładki, pod które ściekała woda. Właśnie te kładki dudniły… Matka Muzyki kazała zgasić światło. Właściwie nie wiedzieliśmy, kto to idzie, ponieważ we wsi pojawiali się niekiedy i polscy partyzanci.

— Ale jak to nasi — powiedziała Muzykowa — to mogą Zygmuntowi zrobić krzywdę.

Na szczęście noc minęła spokojnie. Czego innego mogłem się spodziewać? Przecież to babcia mnie tu wysłała! To wtedy pierwszy raz duch babci w tak bezpośredni sposób mnie uratował. Rano

obudziła nas matka Muzyki. Opowiedziała nam, co banda nacjonalistów wyrabiała w Hujczy. Była tam gospodyni pani Gajewska i służąca Zosia — obie zamordowali. W moim pokoju szukali, wyważyli piękne, jesionowe drzwi. Nawet moje łóżko wywrócili, tak bardzo chcieli mnie znaleźć. Rano zamordowali jeszcze fornala Michalca, Ukraińca. U nacjonalistów ukraińskich panowała zasada, że Ukrainiec, który miał żonę Polkę i z nią córki, musiał je wszystkie zabić. Michalec był porządnym człowiekiem, bardzo kochającym rodzinę. Bronił jej, był potężnym i bardzo silnym mężczyzną. W czasie młocki brał pełny wór żyta, tak jakby to była duża piłka, a tu przecież bronił swoich dzieci… Byłem tam później i oglądałem jego chałupę. Wszystko zdemolowali. Na ścianach było pełno krwi. W końcu go zabili, ale i on nie pozostał im dłużny. Wcześniej zabił dwóch czy trzech z nich. Tej strasznej nocy działy się dantejskie sceny. To, co wyrabiali nacjonaliści z własnym narodem na Wołyniu i Podolu, przechodzi ludzkie pojęcie. Dwa kilometry od Romanówki był zaścianek szlachecki, Ożdżary. Mieszkańcy jego przyjaźnili się od 200–300 lat z rodziną Rodziewiczów. Brali udział w wojnach napoleońskich oraz wszystkich powstaniach. Iwaniccy, Rosochaccy, Ziarkowscy, Sobolewscy, rodziny te posiadały stare dokumenty, potwierdzające ich szlachectwo i dokonania. Dowiedziawszy się, co robią Ukraińcy, zorganizowali tabor. Chcieli uciec do Perespy, gdzie organizowała się samoobrona.

Polacy zbierali się w określonych miejscach i organizowali w Perespie samoobronę przez napadami UPA. „Banderowcy” do napadania na bezbronne wsie byli pierwsi. Jak wiedzieli, że ktoś ma broń, to najpierw napuszczali na nich Niemców. Fałszywie donosili, że niby wieś współpracuje z partyzantką radziecką. Wtedy to Niemcy przyjeżdżali na pacyfikację, a tych, których nie zabili i nie wywieźli, „banderowcy” dobijali i mordowali.

Przykłady okrucieństwa Ukraińskiej Powstańczej Armii można mnożyć w nieskończoność. Oto jeden z nich. Kolumna, która jechała do Perespy, w drodze została ostrzelana. Rosochackiemu zastrzelili konia. Ponieważ rzecz się działa niedaleko gospodarstwa Ukraińca, którego Rosochacki znał, poszedł do niego po pomoc. Znajomy pożyczył mu konia, żeby mógł dojechać do celu. Następnego dnia Rosochacki postanowił zwrócić pożyczkę — wiadomo, że przed wojną koń dla chłopa był jak dziś dobry samochód. Jego rodzina była zdumiona i przerażona.

— Po co, przecież cię zamordują?! — pytali.

— Jak ja mogę mu nie oddać tego konia? Chodziłem z nim do szkoły, znam go od dziecka. On mi pomógł, nie mogę mu tego zrobić — odpowiadał.

Po tygodniu UPA zamordowała tego Ukraińca wraz z całą jego rodziną: żoną, matką i dwójką dzieci za to, że pożyczył konia Polakowi. W 1943 r. nastąpiła nasza wielka wpadka. Niemcy dowiedzieli się, że ukrywaliśmy Żydów. W naszej rodzinie nigdy nie było antysemityzmu i nacjonalizmu. Na całych Kresach, podobnie jak na Wołyniu, często powstawały konflikty między właścicielami majątków a żydowskimi pośrednikami, gdyż ci ostatni znacznie zaniżali ceny. Natomiast mój ojciec był bardzo sprytny. Żydzi go szanowali, a w dodatku mieliśmy zaufanego pośrednika. Niedaleko od nas mieszkał Motlik, który handlował jeszcze z moim dziadem, starym Rodziewiczem. Bardzo był zaprzyjaźniony z naszą rodziną. Ojciec zawsze sprzedawał za jego pośrednictwem i nie miał żadnych kłopotów — Motlik zawsze wszystko załatwił. Jego zięć wybudował w Perepsie bocznicę i zorganizował tam skup zboża. Przechowywał je w magazynach, a potem wysyłał do odbiorców. Handel z nim musiał się ojcu opłacać, w przeciwnym razie nie zajmowałby się tym. Ta zaprzyjaźniona rodzina żydowska bardzo nas szanowała. Prawdopodobnie miała duży wpływ na to, że się uratowaliśmy. Ich

pobratymcy przyprowadzali do nas różnych Rosjan, żeby im pokazać „pamieszczików". Zapamiętałem w tej roli zwłaszcza typa w czarnym chałacie, z karabinem z gwintówką i czerwoną opaską. Żydzi się zachowywali skandalicznie. Rodzina Motlika była w stosunku do nas przyzwoita. Podobnie jak doktor Zuckerman, który operował mi (prawie bez znieczulenia) migdałki po naszej ucieczce z domu przed wywózką — też nas nie wydał. Gdy weszli Niemcy, moi rodzice od początku pomagali Żydom. Znam to z opowiadań ojca. Byłem za młody, żeby to wtedy rozumieć. Przez nasz dom w Rawie Ruskiej przeszło kilkanaście rodzin żydowskich. Wiedziałem, że to Żydzi, ale nigdy się na ten temat w domu nie mówiło. Ojciec, który jako przywódca „Wachlarza" w tym okręgu miał takie możliwości, wywoził ich przeważnie na Huculszczyznę, skąd podobno przedostawali się do Rumunii. Pamiętam pana Hurwitza, bo bardzo go lubiłem, lekarza z Warszawy. Miał nie żydowską, ale raczej ormiańską urodę. Przyjechał z żoną dentystką i jej bratem, również lekarzem, panem Szczepańskim. Bardzo kulturalni ludzie. Ojciec im wszystkim załatwił posady, Hurwitz został dyrektorem handlowym w sklepie Winklera. Trzeba wiedzieć, że wtedy na tamtych terenach wykształconej inteligencji Niemcy prawie w ogóle nie mieli. Ukraińcy nie znali się na księgowości, finansach itp. Pan Hurwitz, mimo iż z zawodu lekarz, okazał się doskonałym handlowcem. Był bardzo inteligentny. Jego żona była blondynką o jasnej karnacji, prowadziła gabinet dentystyczny w Rawie Ruskiej. Pana Szczepańskiego ojciec ulokował w byłym majątku Sapiehów jako buchaltera. Byli też u nas państwo Kowalewscy — on buchalter, a o jego żonie, rudej i piegowatej, rozpowiadaliśmy, że to Irlandka. Niemcy uwierzyli!

Wszystko by było w porządku, gdyby nie to, ze Kowalewskiemu zachciało się kąpieli zdrowotnych i pojechał do uzdrowiska do Horyńca. Tam rozpoznały go pielęgniarki i doniosły Niemcom. Ojciec się o tym dowiedział i natychmiast go wywiózł. Niestety, Niemcy byli

już na naszym tropie. Mówiono, że wszystkich wydał Kowalewski, zarówno swoich, jak i moją rodzinę. Zapewne to prawda. Hurwitzowie i pan Szczepański, zorientowawszy się, że Niemcy już o nich wiedzą, popełnili samobójstwo. Moją matkę i dwóch braci Ciachów aresztowano. Kowalewski się uratował. O Hurwitzu tylko on im mógł powiedzieć. Po wojnie ojciec kilka razy zetknął się z tymi ludźmi, którym pomógł. Niestety, ścigało go UB, więc nie bardzo miał możliwość z nimi się kontaktować. W 1953 r. tata umarł na skutek źle zrobionej operacji wyrostka robaczkowego. Córka pana Kowalewskiego kilka razy do mnie dzwoniła, pisała listy, przesyłała pozdrowienia. Widocznie czuła się w jakimś stopniu winna. On natomiast nie raczył się ani razu odezwać. Zresztą zaraz po wojnie Kowalewscy wyjechali do Izraela. Tak więc w 1943 r. Niemcy aresztowali moją matkę — w „zastępstwie" ojca, który był „w terenie". Za pośrednictwem zaprzyjaźnionego Niemca z Łotwy, zarządzającego majątkiem, udało się nawiązać porozumienie z zastępcą komendanta gestapo w Rawie Ruskiej. Za wypuszczenie matki zażądał 10 tysięcy dolarów.

Pojechałem po pieniądze najpierw do Żółkwi, gdzie mieszkał kolega ojca, a potem z nim do Lwowa, do centrali „Wachlarza". Nie mieli tyle pieniędzy, ale dali mi 6 tysięcy dolarów. Przywiozłem je konno i okazało się, że wystarczy. Wykupiliśmy matkę i usłyszeliśmy, że w ciągu 48 godzin musimy opuścić Rawę Ruską, gdyż może wrócić komendant i wszystko weźmie w łeb. Jako rodzinny „zawodowy" zaopatrzeniowiec przygotowałem w Hujczy dwie bańki spirytusu, dwa worki mąki, zabiłem, zasoliłem i podwędziłem cielaka. To wszystko wpakowaliśmy do szafy i nadaliśmy na bagaż w pociągu. Mama z siostrą pojechały przez Zamojszczyznę do Radomia. Ja miałem kontakt przez MTS z Todla. Tam jako kierowcy pracowali chłopcy z Łucka, moi starsi koledzy. Pojechałem więc z Rawy Ruskiej do Łucka samochodem ciężarowym z żywnością dla wojska (było

tam wojsko niemieckie, bo na Wołyniu toczyła się taka cicha wojna wszystkich ze wszystkimi). Pociągiem przez Zamojszczyznę bym nie dojechał. Trzeba się było przesiadać w Rejowcu, gdzie gestapowcy chodzili i tylko starsze kobiety zostawiali w spokoju. Mężczyzn powyżej 15. roku życia wszystkich wywozili do roboty albo rozstrzeliwali. Był to okres pacyfikacji Zamojszczyzny. Dojechałem na Wołyń. Tam zaczęła się moja batalia wojenna, która trwała do 1947 r. Przyjechałem do wujostwa Żytyńskich, gdzie znajdowała się sieć konspiracyjna przedwojennego 24 Pułku Piechoty i zalążek 27 Dywizji Wołyńskiej AK. Stamtąd udałem się do Przebraża, gdzie byłem przeszło miesiąc w samoobronie. Stamtąd trafiłem do „Krwawej Łuny".

W „Krwawej Łunie"

— „Krwawa Łuna" krążyła wokół Przebraża, starając się rozpoznać i utrudniać działania Ukraińskiej Powstańczej Armii — wspomina Zygmunt Mogiła-Lisowski. — Podporządkowany był on Inspektoratowi AK w Łucku. Należeli do niego młodzi ludzie, pochodzący przede wszystkim ze szlacheckich zaścianków, położonych wokół Łucka. Pamiętam, że sporo chłopaków pochodziło z Ożdżar i Marianówki. Na czele tego oddziału stał por. Jan Rerutko, pseudonim „Drzazga". Młody, ale bardzo zdolny i stanowczy oficer. Należeli do niego ludzie mający od lat szesnastu do sześćdziesięciu. Większość liczyła jednak osiemnaście, dwadzieścia albo dwadzieścia kilka lat. Porucznik „Drzazga" od samego początku położył duży nacisk na szkolenie oddziału. Było to zupełnie naturalne, bo stanowił on w dużej mierze zbieraninę osób niemających przygotowania wojskowego. Uzbrojenie oddziału też pochodziło z różnych parafii. Ja miałem np. austriackiego kawaleryjskiego menlichra. Inni koledzy

karabiny typu rosyjskiego, a także niemieckie mauzery. Kwaterowaliśmy w leśniczówce Hynin. Miejsce to leżało około 8 km od Przebraża i 4 km od Rafałówki, w której też działała dobrze zorganizowana i silna samoobrona. W pobliżu leśniczówki przebiegała linia kolejowa Kiwerce–Równe.

Sama leśniczówka była opuszczona i nie miała gospodarza. Upowcy szykowali ją pewnie na swoją siedzibę i jakoś jej nie spalili. Była ona wraz z zabudowaniami dość obszerna i zapewniała dobre warunki kwaterowania. Miejsce wybrane przez „Drzazgę" dla oddziału od razu docenili partyzanci sowieccy z oddziału ppłk. Prokopiuka, którego sztab ulokował się w Hermanówce. Z Prokopiukiem „Drzazga" starał się utrzymywać jak najlepsze stosunki. Takie były wytyczne kierownictwa Inspektoratu. Leżało to też w interesie Przebraża. Taki ośrodek samoobrony, by przetrwać, musiał mieć sojusznika na zewnątrz linii samoobrony, który mógłby zaatakować od tyłu szturmujących Ukraińców. „Krwawa Łuna" szybko się rozrastała. Była podzielona na plutony, miała drużynę sanitarną, gospodarczą oraz tabory. W momencie krytycznego drugiego ataku UPA na Przebraże nasz oddział został ściągnięty do wnętrza linii samoobrony. Pozostawaliśmy w odwodzie. W planie obrony, jak nam wyjaśnił „Drzazga", mieliśmy wykonywać kontrataki na nieprzyjaciela, skupiającego się przed przednim skrajem obrony lub włamującego się w głąb naszych linii. W razie gdyby zapadła decyzja o ewakuacji Przebraża w stronę Kiwerc i Łucka, nasz oddział miał stanowić straż tylną kolumny.

Na szczęście upowcy, mimo że zgromadzili duże siły, to jednak na żadnym z odcinków nie udało im się przerwać polskiej samoobrony. Przebrażowi przyszedł też z pomocą oddział partyzantki sowieckiej Prokopiuka, który, atakując upowców od tyłu, zadał im ciężkie straty. Współpraca z partyzantką sowiecką była wówczas nieunikniona. Inaczej Przebraże by nie przetrwało. Po tym ataku było ono w miarę

bezpieczne. Wspólnymi siłami oczyściliśmy później całą okolicę Przebraża z upowskich garnizonów. Zlikwidowano zgrupowania UPA w Trościańcu, Żurawiczach, Domaszowie, Mykowie, Jaromlu, Swozie, Kotowie, Hauczycach i innych. Linia bezpośredniego zasięgu banderowskich band z okolic Przebraża znacznie się przesunęła. Poszerzył się natomiast krąg terenów kontrolowanych przez partyzantkę z Przebraża. W toku walki nasz oddział nie tylko nie topniał, ale rósł w siłę. W październiku 1943 r. liczył już około stu osiemdziesięciu ludzi. Byliśmy całkiem nieźle uzbrojeni. Mieliśmy trzy ciężkie i dwadzieścia dwa ręczne karabiny maszynowe, dwanaście automatycznych dziesięciostrzałówek, kilka pistoletów maszynowych, ponad sto karabinów. Mieliśmy niezły zapas materiałów wybuchowych, granatów, dużą ilość amunicji, spory tabor żywnościowy i sanitarny, kuchnię polową oraz zwiad konny. „Drzazga" czuł się tak pewnie, że do Przebraża wyjeżdżał na koniu sam bez obstawy.

Gdy minęło zagrożenie ze strony banderowców, szybko się okazało, że pojawiło się nowe ze strony dotychczasowych sojuszników. Sowieccy partyzanci chcieli przejąć kontrolę nad Armią Krajową i całkowicie ją sobie podporządkować. Do naszego obozowiska często zaglądał taki kapitan Kowalenko, który oficjalnie był oficerem łącznikowym między „Drzazgą" i Prokopiukiem. Najprawdopodobniej był to oficer NKWD, który penetrował nasze środowisko. Oficerowie sowieccy, dowodzący oddziałami partyzanckimi, zdawali sobie sprawę, że formacje AK były nastawione antykomunistycznie, a kierujący nimi oficerowie zawsze zdawali, że sojusz z „czerwonymi" ma charakter wymuszony i taktyczny. Jak Wołyniacy mieli ufać Sowietom po tych wszystkich krzywdach, które doznali od nich w latach 1939–1941? Wpadła mi niedawno w ręce książka Aleksandra Goguna, „Partyzanci Stalina na Ukrainie". Autor zamieszcza w niej raporty dowódców sowieckich

partyzantów, którzy oceniali AK. Jeden z nich ubolewał, że Polakom ciągle śni się Polska z balami i ułanami, wytworna jak Francja. Oceniając AK, twierdził, że jest to formacja nacjonalistyczna, która od UPA różni się tylko poziomem kultury, umiejętnością walki i organizacją ruchów. Prokopiuk chciał przejąć kontrolę nad naszym oddziałem i namówić „Drzazgę" do przejścia na stronę Sowietów. „Drzazga" tę propozycję odrzucił. Poinformował natychmiast o propozycji Sowietów Inspektorat AK w Łucku i otrzymał rozkaz natychmiastowego wymarszu do Zasmyk koło Kowla, gdzie miała formować się 27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK.

Gdy oddział szykował się do wymarszu, „Drzazga" został zaproszony do wzięcia udziału w uroczystości z okazji rocznicy rewolucji październikowej, która miała się odbyć w Hermanówce. „Drzazga" udał się na nią wraz z „Piątym", czyli Stanisławem Steciukiem, lekarzem oddziału, który miał mu służyć jako tłumacz, bo znał on dobrze język rosyjski. Pojechali furmanką, którą powoził „Słoń". Zabrali ze sobą trochę rosyjskich karabinów, które chcieli wymienić na mauzery, bo mieli do nich pod dostatkiem amunicji. Więcej „Drzazgi", „Piątego" i „Słonia" nie zobaczyliśmy. Mieli wrócić zaraz po uroczystości, ale nie wrócili. Na drugi dzień zaczęliśmy ich szukać. „Gabriel" i „Nałęcz" wysłali najpierw konnych gońców do Rafałówki i Przebraża, by sprawdzić, czy czasem tam nie pojechali. Sądzili, że mogli się w nich po uroczystościach zatrzymać u Prokopiuka. Szybko się okazało, że tam ich nie ma. Wtedy „Nałęcz" ze swoim plutonem postanowił wyruszyć do obozu Prokopiuka. Szli drogą, jaką na furmance z dwoma towarzyszami wyruszył „Drzazga". Po kilkuset metrach natrafili na zwłoki „Drzazgi", „Piątego" i „Słonia". Wszyscy otrzymali postrzały w tył głowy. Ich trupy były też obrabowane. Ściągnięto im buty. Zabrano też rzeczy osobiste i broń. Czy nasi wszczęli jakieś śledztwo, nie wiem. W każdym razie śmierć dowódcy, którego wszyscy szanowaliśmy i nazywaliśmy

„Komendantem”, bardzo nami wstrząsnęła. Wszyscy byliśmy przygnębieni. Oficjalnie sprawcy zbrodni pozostali nieznani, ale każdy z nas domyślał się, że jest to sprawka Sowietów. Wszyscy obawiali się, że teraz zabiorą się za nas i szybko wymordują.

Część chłopaków dało z oddziału najzwyczajniej dyla, chroniąc się w Przebrażu. Na szczęście obowiązki „Drzazgi” przejął szybko wysłany przez Inspektorat por. „Olgierd”, czyli Zygmunt Kulczycki. Opanował on sytuację i wkrótce ruszyliśmy na zachód. „Drzazga” wraz z „Piątym” i „Słoniem” spoczywali już od kilku dni na cmentarzu w Przebrażu. Dziś z książki „Partyzanci Stalina na Ukrainie”, o której wspominałem, możemy się dowiedzieć, że bezpośrednim organizatorem mordu na nich był niejaki tow. Zubko, zastępca Grigorija Balickiego, dowódcy oddziału, wchodzącego w skład grupy Prokopiuka. Według Balickiego zabici mieli być zajadłymi wrogami ich sowieckiej ojczyzny. Wtedy o tym oczywiście nie wiedzieliśmy. Nasz oddział ruszył na koncentrację tworzonej 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Ja na nią nie dotarłem. Zostałem skierowany ponownie do Łucka w charakterze łącznika. Moja cioteczna siostra, Halina Żytyńska, działała w konspiracji i miała trudności z nawiązaniem kontaktów z Marianem Gołębiowskim. Nie znałem jego zadań ani funkcji. Znałem tylko perfekcyjnie język ukraiński, tak jak polski.

Pamiętam, że kiedyś w trakcie podróży zaczepili nas Ukraińcy. Po rozmowie ze mną powiedzieli, żebyśmy uważali, bo gdzieś w okolicy są Polacy, żeby nam czegoś nie zrobili. Całe szczęście, że nie kazali nam modlić się po ukraińsku! Potem musieliśmy się nauczyć „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Mario” w tym języku, ponieważ stosowali taki „test”. Pewnego razu zawiozłem pociągiem dokumenty do Chełma, stamtąd pojechałem do Zamościa, Tomaszowa Lubelskiego, Suśca i do Józefowa, gdzie spotkałem się z Marianem Gołębiewskim. Dałem mu to, co przewiozłem. On pomógł mi się przedostać na Wołyń przez Uściług. Wróciłem w samą Wielkanoc do

Bielina, miejsca postoju 27 Dywizji Piechoty AK. Trafiłem tam akurat na bombardowanie naszego ugrupowania przez sztukasy. Później wojowałem z dywizją przez kilkanaście tygodni. Przełożeni uznali, że jestem za młody na linie i zrobili mnie wozakiem w taborze. Uważali bowiem, że dzieci nie powinny brać udziału w wojnie.

Było to rozwiązanie tylko teoretyczne. Tabory dywizji były najczęściej bardzo blisko pierwszej linii, a często znajdowały się pod bezpośrednim ostrzałem niemieckiej artylerii i lotnictwa. Pamiętam, to było chyba pod Pustynką, gdzie wspierał nas w walce z Niemcami sowiecki pułk kawalerii gwardii. Sporo rozmawiałem tam też z sowieckim kawalerzystą, który strasznie ujadał na „ruskich". Pytałem go więc, jak on może tak gadać na swoich, skoro sam jest „ruski". On zaś twardo oświadczył, że nie jest „ruski", tylko Kozak, pochodzący gdzieś znad Donu. Zapytałem go więc, dlaczego w takim razie walczy w gwardyjskim pułku kawalerii Armii Czerwonej. Odpowiedział, że nie miał wyjścia. Bolszewicy powiesili bowiem jego ojca! On sam, by ratować matkę i siostry, zgłosił się na ochotnika do Armii Czerwonej. Dzięki temu nie zostały one wywiezione na Sybir. Pod Pustynką pocisk artyleryjski zabił mu konia. Zebraliśmy kawałki, na które go rozerwało, i upiekliśmy je na ognisku. Pamiętam jak dziś, gdyśmy jedli tę pieczoną koninę, mówił:

— Nie wierzcie Sowietom ani w jedno słowo, bo oni zawsze oszukują i was okłamią.

Jak się później jeszcze raz spotkaliśmy, gdy akurat zginął ppłk Jan Kiwerski, dowodzący naszą dywizją, od razu orzekł, że to na pewno Sowieci go zabili. Dla mnie to były bardzo ciężkie przeżycia. Gdy dywizja została okrążona, mieliśmy się przebijać i przejść przez tory pod Jagodzinem, omal nie zginąłem. Gdy podchodziliśmy pod tory, zostaliśmy ostrzelani przez pociąg pancerny. Kazano mi wtedy zostawić wóz i objuczyć konia. Później i jego musiałem zostawić. Przy próbie przejścia przez tory nasze zgrupowanie całe poszło

w rozsypkę. Wynikało to z różnych przyczyn. Jedną z nich był fakt, że dowódca batalionu „Siwy” nie sprostał sytuacji i nie był zdolny do dowodzenia, tylko najzwyczajniej uciekł, zostawiając swoich żołnierzy na pastwę nieprzyjaciela.

Początkowo błąkaliśmy się po lasach, nie wiedząc, co dalej robić. Pozbierał nas porucznik Tadeusz Persz, pseudonim „Głaz”. Cofnęliśmy się do lasów mosulskich. Błąkaliśmy się po lasach, starając się przebić w kierunku Bugu i przejść na Lubelszczyznę. Niemcy bez przerwy deptali nam po piętach, starając się wytępić wszystkie polskie oddziały pozostające na ich zapleczu. Żywiliśmy się głównie bezpańskimi końmi, przypadkowo napotkanymi na drodze. Dopiero jednak po paru tygodniach udało się nam przedostać na drugą stronę Bugu., W końcu udało się nam przejść rzekę koło Horodła.

W AK Ziemi Piotrkowskiej i WiN-ie

— Po przejściu Bugu przez pewien czas byłem w Dubience, lecząc rany dwukrotnie odniesione w nogę, które zaczęły ropieć — wspomina Zygmunt Mogiła-Lisowski. — Po podleczeniu przetransportowali mnie tzw. rzemiennym dyszlem do Radomia, gdzie też miałem rodzinę. Ukryłem się u wujka, nadleśniczego w Jankowicach, który wyrobił mi kenkartę, czyli dowód osobisty. Doktor Orzeszko z Radomia, bardzo dobry chirurg, uratował mi nogę. Kiedy wyzdrowiałem, zacząłem pracować jako robotnik leśny i znów wstąpiłem do partyzantki. Przez pewien czas byłem w oddziale Bończy, 22 DP Ziemi Piotrowskiej. Brałem udział w kilku akcjach. Trafiłem tam dzięki Wiesiowi Jakubcowi. Kiedy wybuchło powstanie warszawskie, byłem na koncentracji w ramach 72 pułku AK. Było nas sporo, około 3 tys. ludzi. Prawdopodobnie z tego powodu Niemcy nie bardzo chcieli wchodzić w lasy. Może byli za

słabi, żeby się z nami konfrontować? W każdym razie starali się nas odizolować od pomocy Warszawie.

Pod Przysuchą zostałem ranny w twarz. Dzień wcześniej babcia po raz drugi uratowała mi życie. Była to kamienista okolica i chłopi zbierali kamienie w pryzmy. Leżeliśmy z Jasiem Chrząstowkim za kopcem triangulacyjnym, ostrzeliwani przez Niemców z granatników. Jaś odszedł na chwilę od stanowiska. Wtedy wyczułem, że za mną stoi babcia.

— Uciekaj stąd natychmiast, bo tu zaraz spadnie granat! — Usłyszałem.

Poczułem okropny strach. Złapałem karabin maszynowy, skrzynkę z amunicją i zacząłem uciekać. W tym momencie wracał z pola Jasio.

— Co ty, odchodzisz? Ja cię za to ukarzę, ja ci…! — wrzasnął na mnie.

Bardzo był przejęty swoją funkcją. Zdążyłem go tylko złapać za szyję i krzyknąć:

— Padnij, bo zaraz tu granat wleci i nas zabije!

Jasio spytał, czy zgłupiałem. W tym momencie nadleciał granat i rąbnął w ten kopiec triangulacyjny, gdzieśmy przedtem leżeli. Jaś wstał blady i zapytał:

— Skąd ty to widziałeś?

— Babcia mi powiedziała — odpowiedziałem.

Potem wszyscy się śmiali i stale pytali, co mi babcia powiedziała nowego. Następnego dnia zostałem ranny w twarz. Lekarz mnie zajodynował i zaszył. Potem nas „rozpuścili", żeby każdy na własną rękę starał się dostać do Radomia. Wróciłem do Radomia i pracowałem w firmie „Sosnodąb". Gdy przyszli Rosjanie, zaczęliśmy się zastanawiać, co robić. Doszły nas słuchy, jak postępują z akowcami.

Któregoś dnia Jasio Chrząstkowski powiadomił mnie, żebym się do niego zgłosił. Zawiązała się komórka WiN-u i zostałem przyjęty do

organizacji. Gdy ze wschodu wrócił ojciec, pojechaliśmy do Nałęczowa po nasze rzeczy. Żeby wrócić do Radomia, „przyczepiłem" się do taboru rosyjskiego. Przewoził on łaźnię spod Nałęczowa do Skarżyska, przesuwając się bliżej frontu. Miałem od ojca jednego konia i wóz, ale oni mi doprzęgli jeszcze jednego kałmuka. Załadowany byłem po sam szczyt bielizną, dobrą, bo amerykańską. Wymienialiśmy ją u chłopów na kiełbasę, słoninę i bimber. Byłem ubrany trochę „z rosyjska", miałem czapkę z nausznikami i kobiety mnie pytały: „Skąd pan tak umie dobrze po polsku?".

Przyjechaliśmy do Radomia. Rosjanie mnie nie chcieli puścić. Powiedzieli, że jeśli pojadę z nimi do Skarżyska i rozładuję wóz, to pozwolą mi wrócić. Słowa dotrzymali, jeszcze dali mi sporo bielizny. Żołnierze ci, przeważnie Białorusini albo chłopi ukraińscy, byli bardzo serdeczni, a mnie nazywali „Malczyk". Kiedyś wieczorem, gdy byliśmy sami, powiedzieli: „No, my to już przeżyliśmy, ale wy dopiero zobaczycie, co wam te komunisty pokażą. Nie spodziewajcie się niczego dobrego".

Wróciłem do Radomia. Na żądanie rodziców zapisałem się do technikum rolniczego. W tym samym czasie rozpoczęła się moja epopeja WiN-owska. Z jego członkami nawiązałem kontakt i czekałem na sygnał. Około 13 sierpnia 1945 r. dostaliśmy rozkaz dołączenia do oddziału Szarego pod Bodzentynem. W pięciu wyruszyliśmy z Radomia. Jechaliśmy dość długo, ale przeważnie pokonywaliśmy trasę do Kielc pieszo — 80 km. Tam połączyliśmy się z „Szarym" — Antonim Hedą. To on rozbijał więzienie w Kielcach 15 sierpnia 1945 r. Ja, mój kolega Wiesiek Fołtyn, rodzony brat śpiewaczki Marysi Fołtynówny, i Janusz Fila, obstawialiśmy dojście z odsieczą na teren więzienia. Akcja się udała, około 80% więźniów uciekło i tylko nieliczni zostali ponownie aresztowani.

W Kielcach było bardzo dużo Rosjan z oddziałów NKWD „Smiersz", KBW i UB. Pomimo to udało nam się obronić podczas odwrotu. Szary

uciekał bryczką przed pogonią. Do Radomia wróciliśmy głównie piechotą. Szliśmy lasami, od jednej wsi do drugiej, korzystając jeszcze z akowskiego zaplecza z czasów okupacji. W Radomiu UB szalało. Dowódcą podziemia był tam „Harnaś”-Bąbiński, o którego częściowo się otarłem w czasie okupacji. 9 września 1945 r. pod jego dowództwem odbiliśmy radomskie więzienie. Ja byłem w grupie radomskiej, u kapitana Jacka. Grupa „Harnasia” i „Rena” przyjechała dwoma samochodami ciężarowymi o godzinie 21 przed kościół św. Trójcy i więzienie. Ja byłem w grupie obstawiającej całe koszary. W czasie wojny stacjonowali w nich kozacy, a po wojnie jednostki „Smiersz”. W czasie akcji zginęło trzech lub czterech Rosjan. Oni zabili nam „Strzałę”, gdy zdobywaliśmy bunkier blokujący wejście do więzienia. Zginął również, choć nie podczas samej akcji, Jasio Chrząstkowski, mój przyjaciel i brat mojej pierwszej sympatii.

Mieszkającym w Radomiu uczestnikom akcji kazano się ukryć w mieście. To było najłatwiejsze. Gdy Jasio wchodził do swojego domu, zastrzelił go ubek nazwiskiem Den. To było wieczorem. Den, będąc pod wrażeniem całej akcji i widząc, że w jego stronę idzie jakiś młody człowiek, bez słowa wyjaśnienia strzelił do niego. Warto wspomnieć, że ubecy wystawili w szpitalu zwłoki Jasia na widok publiczny. Liczyli na to, że ktoś go rozpozna i zdradzi im, kto to. Był jedynym synem i zrozumiałe, że pani Chrząstkowska poszła do szpitala. Zresztą jak wielu innych ludzi. Nikt jednak nie doniósł o tym do UB. Nikt nie zdradził, kim był, choć Jaś był znany w całym Radomiu. Den, który zastrzelił Jasia, był Żydem. Nawet w upał chodził w zielonej skórze, z pejczem i z psem, jak gestapowiec. To wprost śmieszne, że małpował gestapowców, a przyjechał z wojskiem radzieckim jako ubek! Ja niestety również się z nim spotkałem.

Między wyżej opisanymi dwiema akcjami dostaliśmy jeszcze rozkaz zlikwidowania bandytów, którzy rabowali wsie, a podszywali się pod

WiN. Mieliśmy dobre rozeznanie, więc wyłapaliśmy ich. Zabraliśmy im broń, a daliśmy po kilka pasów na tyłek. Trzeba przyznać, że byli wyjątkowo bezczelnymi i pazernymi złodziejami, bo zabierali nawet brudną bieliznę. Z więzienia radomskiego uwolniliśmy 300 osób. Nikogo z nich nie złapano. To był wyjątek, ubecy za to się na nas uwzięli! Musieliśmy się dobrze ukrywać. Nie przeszkodziło nam to jednak przeprowadzić akcję napadu na bank, garbarnię i drugi bank. Trzeba było pomóc materialnie rodzinom aresztowanych. Dostaliśmy rozkaz, żeby spod Konar wziąć zrzutowe pieniądze, które tam były ukryte. Poszliśmy. Kiedy wracaliśmy w nocy, w Radomiu na ul. Słowackiego natknęliśmy się na oddział KBW. Wywiązała się strzelanina. Jeden z moich przyjaciół został ranny. Przestrzelili mu płuca. Wzięliśmy go pod pachy, zaprowadziliśmy do ogrodnika przy tej samej ulicy i ukryliśmy w inspektach. Powiedzieliśmy ogrodnikowi, że jak się sytuacja uspokoi, to ma go zawieść do szpitala. Sami dotarliśmy jakoś szczęśliwie do domów.

Na drugi dzień przyszła do mnie narzeczona rannego.

— Zygmunt, zanieś mu cukier do szpitala, bo mnie tam mogą poznać — poprosiła.

Miałem dobre serce, ale mało rozumu, więc zaniosłem. Oczywiście UB zrobiło w szpitalu kocioł i wpadłem. Był dość duży mróz. Zaprowadzili nas na ul. Kościuszki. Narzeczoną kolegi też znaleźli, gdyż pytała o niego. Wprowadzili nas na drugie piętro budynku, w którym w czasie okupacji było gestapo. Zaczęły się przesłuchania.

Tam się zetknąłem, już osobiście, bo przedtem go tylko widywałem, ze wspomnianym już Denem. Miał na ręku sygnet. Przesłuchanie polegało na tym, że walił mnie nim po twarzy. Najpierw jednak wrzucili mnie do karceru przerobionego z ubikacji. Muszla była zdemontowana. W pomieszczeniu do wysokości ok. 30 cm stała więc woda. Okno było otwarte i całe szczęście, że miałem

na nogach saperki. Błogosławiłem za nie Niemców. Nie przemiękły, a stałem w czymś, co przypominało kaszę i potwornie marzłem.

Po czasie długim jak wieczność zabrali mnie na przesłuchanie. Trząsłem się z zimna, więc ironicznie spytali: „Zmarzłeś? To zaraz cię rozgrzejemy!".

Posadzili mnie pod kaloryferem, ale gdy tylko się rozgrzałem, otworzyli okno i zaczęli pytać. Głównie o szkołę, bo formalnie chodziłem do technikum rolniczego: co tam robię, jak się uczę itp. Padło kilka pytań z matematyki, a przesłuchujący chyba mniej wiedział niż ja, ale chciał się mądrzyć. Może i wyglądał na trochę mądrzejszego, co mu później nie przeszkadzało bić siedemnastoletniego chłopca, bo w końcu zaczęli mnie przesłuchiwać w sposób „namacalny". Przyszło ich ośmiu, stanęli w kręgu, jedni mieli karabiny, inni chwycili to, co było pod ręką, tym mnie bili i popychali jeden na drugiego.

W głowę to może ze dwa razy dostałem, ale przede wszystkim uderzali po nogach, plecach i rękach. Na to lanie wszedł pułkownik rosyjski. Przesłuchujący przestali na chwilę bić. Pułkownik spytał mnie po rosyjsku, co tu robię. Odpowiedziałem również po rosyjsku, że nie wiem, że zaniosłem cukier znajomemu i nie rozumiem, dlaczego mnie zatrzymali.

— Ty bandit.

— Kakoj ja pandit?! Ja zdies'uczus' — odpowiedziałem, udając zaskoczonego.

— A otkuda ty ruski znajdziesz?

— Ja iż Zapadnoj Ukrainy.

— A otkuda?

— Iż Łucka?

— A szło ty zdes'diełajesz?

— Ja repatriant — odpowiedziałem stanowczo.

Pułkownik popatrzył na mnie chwilę i powiedział:

— A ty nawierno wriosz. Pradałżajte, pradałżajte.

I znów mnie zaczęli bić. Koło drugiej w nocy wrzucili mnie do piwnicy. Tam w maleńkich pomieszczeniach tłoczyło się po szesnaście osób. Na pryczach po 3–4. Gdzieś w tym gąszczu ludzi znalazłem sobie miejsce, otuliłem się płaszczem i natychmiast zasnąłem. Rano znów mnie wzięli na przesłuchanie. Den korzystał z sygnetu w wiadomy sposób. Siedziałem tam z dziesięć dni, „troszczyli się" o mnie z wyjątkową starannością.

W końcu któregoś dnia wzięli mnie na przesłuchanie dość późno. Den dał parę razy po gębie i wszyscy poszli na obiad. Mnie w tym czasie zachciało się iść do ubikacji, więc tam poszedłem. Otworzyłem drzwi, a za drzwiami nikogo nie było widać. Po wyjściu z ubikacji zajrzałem na klatkę schodową, gdzie nadal nikogo nie zobaczyłem! Powiedziałem wtedy sobie: „I tak, i tak mnie zbiją!" — i zbiegłem na dół. Żołnierze pilnujący wyjścia jedli obiad w dyżurce pod schodami, zrobionej jeszcze przez Niemców. Gdy przebiegałem obok, nawet nie zauważyli. Wyskoczyłem na podwórko. Stały tam trzy osoby: starszy pan i dwóch mniej więcej dwudziestoparoletnich mężczyzn. Starszy pan popatrzył na mnie. Byłem niedomyty, zarost miałem skołtuniony jak u siedemnastolatka, widać było, że jestem pobity.

— Co, uciekłeś? — zapytali retorycznie, gdyż sprawa była jasna.

— Tak — odpowiedziałem.

— Chłopcy, zabierać się! — zarządził starszy pan.

Zarzucił mi na plecy kufajkę, dał siekierkę do ręki, oni też coś wzięli i zaczęliśmy wychodzić. Trzeba było przejść spory kawałek, w tym koło drugiej portierni. Stał tam wartownik i też jadł obiad! Ledwie rzucił na nas okiem i powiedział:

— A, drwale… idźcie, idźcie.

No to wyszliśmy na słynną ulicę Kościuszki niedaleko skrzyżowania z Narutowicza. Starszy pan mówi do mnie:

— Tylko broń Boże nie biegnij! Gdzie chcesz iść?

— Do ulicy Narutowicza — odpowiedziałem.

— Chłopcy, idziemy do Narutowicza — zarządził.

Gdy doszliśmy, akurat przejeżdżała dorożka, wskoczyłem do niej i odjechałem. Szkoda, że nigdy potem nie zetknąłem się z tymi ludźmi. Nie znałem ich adresu i nie mogłem im podziękować. I tak po raz drugi uciekłem w podobny sposób — bez przygotowań, planu, wykorzystując nagle nadarzającą się okazję.

Zaocznie dostałem 13 lat

— Pierwsze kroki po udanej ucieczce skierowałem do domu — wspomina Zygmunt Mogiła-Lisowski. — Gdy do niego wpadłem, właśnie odbywała się narada rodzinna, jak mi pomóc. Byłem strasznie głodny. Matka dała mi kotlet schabowy, górę frytek i zsiadłe mleko. Kiedy zjadłem, ojciec powiedział, żebym natychmiast uciekał z domu. Parę dni ukrywałem się w Radomiu, a potem wyjechałem pod Nałęczów. Po mojej ucieczce Rosjanie z tydzień nie przychodzili do naszego domu. Prawdopodobnie specjalnie, bo go obserwowali. Potem już zaczęli nachodzić matkę, która mieszkała z moją siostrą i wynajmowała pokój dwóm dziewczynom (ojciec wtedy pracował w Dęblinie). Nigdy nie przyszli wieczorem. Zawsze nachodzili nas nad ranem, o drugiej, o czwartej. Zawsze też walili w drzwi i potem robili rewizję, nie wiadomo, po co — tam były tylko dwa pokoje i wspólna kuchnia.

Jedna z dziewcząt, mieszkająca u mojej matki, Marysia, za każdym razem im wymyślała: „Zachowujecie się jak ostatni bandyci, jak zaborcy! Kogo wy szukacie? Przecież to jest siedemnastoletni chłopak! Co wy chcecie, zamordować go? Co on wam zrobił? Puknijcie się w te durne łby!” Kiedy grozili jej, że też ją zamkną, to odpowiadała, że tylko zamykać potrafią!

W Sadurkach pod Nałęczowem zamieszkałem u pani Dąbrowskiej. Jej mąż służył wówczas w wojsku w Anglii. Mieszkała z synkiem, który chodził do szkoły powszechnej, więc trochę mu pomagałem w nauce. Chciałem pójść do partyzantki do Zapory, ale ojciec kategorycznie się temu sprzeciwił. Do mieszkania pani Dąbrowskiej wpadało parę razy KBW, ale widząc dwóch uczących się chłopców, dawali nam spokój. W końcu wyjechałem do wujka do Stalowej Woli. Tam wróciłem do nazwiska metrykalnego Mogiła-Lisowski i zacząłem chodzić do szkoły. Wujek miał w tym mieście wysoką pozycję społeczną. Ludzie szanowali go i chętnie zatrudniali (był przed wojną dyrektorem i zakładał Stalową Wolę), dopiero w późniejszym czasie zwolnili go z pracy.

Mieszkałem komfortowo u wujostwa, gdzie po raz pierwszy od długiego czasu poczułem się chłopcem. Chłopcem, który ma ochotę psocić, uczyć się, ma zapewniony byt i nie boi się jutrzejszego dnia. Z pobytem w Stalowej Woli wiąże się ciekawa historia. Obok mojej willi stała druga podobna. Mieścił się w niej Urząd Bezpieczeństwa i tam też mieszkał jego szef. Zawsze był grzeczny. Pytał, czy już „walczę po japońsku". Widział, że powiesiłem w garażu worek treningowy i ćwiczyłem boks, judo, karate itp. Można nawet powiedzieć, że był serdeczny. Nie powinno się o ubekach mówić dobrze, ale trzeba mówić prawdę.

W marcu 1947 r. trwała amnestia dla całego podziemia. Rodzice zdecydowali, że powinienem się ujawnić i żyć już normalnie. Pojechałem więc do Radomia, gdzie byłem poprzednio zameldowany, aby w UB się ujawnić. Naturalnie wszyscy w rodzinie byliśmy w strachu na myśl o pójściu do tej ubeckiej jaskini lwa. Jednak ukrywanie się na dłuższą metę też nie miało sensu. Najpierw poszedłem do pani adwokat, która prowadziła sprawy moich kolegów. Przedstawiłem się, kim jestem, podałem swój pseudonim, „Poleszuk". Ona na to, że miała przeze mnie mnóstwo kłopotów!

Kiedy zapytałem zdumiony, dlaczego, ona odpowiedziała, że oni ciągle mnie szukali. Nie mogli mnie znaleźć, szlag ich trafiał, że im uciekłem, a moi koledzy zwalali na mnie bardzo dużo rzeczy. Zapytałem, co oni mogli na mnie zwalać, a ona na to:

— Dostał pan zaocznie trzynaście lat. To i tak dobrze, bo gdyby pan był na miejscu, nie wiadomo, jakby się to skończyło, czy by pan nie dostał piętnastu, a nawet czapy…

Odrzekłem jej oburzony, że dlaczego mieliby tak zrobić, przecież ja nikogo nie zabiłem. Ona spytała, że jak to nie zabiłem? Wyjaśniła mi, że kiedy atakowaliśmy więzienie w Radomiu, to zastrzeliliśmy tam trzech czy czterech Rosjan, enkawudzistów. Odparłem jej, że tam doszło rzeczywiście do starcia, że oni też dwóch naszych zabili. Oni chcieli wyjść z koszar, a my nie mogliśmy do tego dopuścić i doszło do strzelaniny. Cała sprawa w Radomiu zajęła kilka dni, po czym wróciłem do Stalowej Woli z odpowiednim dokumentem, który do dziś przechowuję. Któregoś dnia, wracając ze szkoły, zauważyłem, że szef placówki UB stoi oparty o siatkę ogrodzenia i mnie woła. Zapytał mnie uprzejmie, jak mi leci w szkole, jak tam mama w Radomiu, czy zdrowa. Odpowiedziałem, że zdrowa. Potem kazał podejść bliżej do siebie. Kiedy to zrobiłem, zapytał, czy się ujawniłem. Odparłem, że tak. On na to, że chwała Bogu, że to zrobiłem. Okazało się, że on też będzie miał już spokój. Powiedział: „Słuchaj, synu, przecież ja mieszkałem tu, obok państwa Szaniawskich. Wiedziałem, kim jesteś. Tylko my ciebie nie mogliśmy znaleźć. Ja wiem, że się uczysz, co ty za wróg jesteś! Trochę zabarłożyłeś, zapomniałeś, że się okupacja niemiecka skończyła i chciałeś jeszcze trochę powojować” — stwierdził również, że takie są teraz czasy, że ze względu na moje wujostwo starał się nas chronić. Dodał, że teraz to już wszystko jest nieaktualne, że jestem ujawniony i mogę się spokojnie uczyć, bo nikt mi już krzywdy tu nie zrobi. No cóż… On był z Kresów, przed wojną chyba skończył studia i generalnie nie był złym człowiekiem.

Oczywiście ujawniłem się jako Mogiła-Lisowski. Od okupacji do momentu ujawnienia się używałem dwóch pseudonimów: „Stan” i „Poleszuk”.

W związku z powyższym sprawy osoby znanej jako „Poleszuk” z Mogiłą-Lisowskim w ogóle nie łączyli. Spotkałem się z kolegami. Powspominaliśmy dawne czasy. Na prośbę matki zdałem broń, którą przechowywałem u przyjaciół. To było jedyne rozsądne wyjście. Wyjechałem, myślałem o nauce, chciałem zdać maturę i pójść na studia, na medycynę. Po powrocie do Stalowej Woli zdałem maturę. Z tym wiąże się kolejna ciekawa historia. Uczyłem się przeciętnie. Miałem średnią cztery minus, jednak biorąc pod uwagę, że jako ekstern zdałem w ciągu trzech miesięcy egzaminy zaliczające: pierwszą, drugą, trzecią i czwartą klasę gimnazjalną oraz małą maturę, to wynik był całkiem niezły. Choć w liceum ciągle miałem jakieś braki, zdałem pisemną maturę: z polskiego na dobry, z matematyki na dostateczny. Wtedy właśnie przyjechał inspektor z Rzeszowa, który anulował moje stopnie i wystawił mi dwóje z obu przedmiotów. Identycznie postąpił z moim kolegą z klasy. Karaś miał stopnie lepsze nawet ode mnie, ale był synem szefa PSL w Nisku, a PSL wtedy zwalczano. Dyrektor szkoły, pan Bachman, bardzo przyzwoity człowiek, zawołał nas obu i powiedział: „Chłopcy, to, co wam teraz powiem, ma zostać między nami, jesteście dorośli. Ja zostaję stąd przeniesiony do Mielca, będę tam dyrektorem szkoły”.

Okazało się że za miesiąc, może dwa, miał zorganizować w szkole poprawkowe matury. Kazał nam przyjechać do siebie i zdać egzaminy. Mieliśmy nikomu nic o sobie nie mówić. Tak też się stało. Półtora miesiąca później pojechałem do Mielca i obaj z Karasiem zdaliśmy maturę. Dostaliśmy zresztą identyczne stopnie. Niestety, z powodu tego wszystkiego nie dostałem się na medycynę. Zdałem nawet egzamin, ale mnie nie przyjęli. Prawdopodobnie znów ktoś

doniósł o mojej przeszłości. W drugim terminie zdawałem na chemię. Zostałem przyjęty na UMCS w Lublinie.

Pomimo różnych przeszkód rozpocząłem studia. Nie dałem zmarnować swojego życia! Kiedy studiowałem w Lublinie, byłem bardzo towarzyski i miałem wielu przyjaciół. Pomagaliśmy sobie nawzajem. Na moim roku była mieszanka: 18-latkowie i ludzie dwa razy starsi. Powracali oni z obozów albo nie zdążyli skończyć uczelni przed wojną. Zaprzyjaźniłem się z Tadkiem Urbanem, gimnastykiem, ale sekretarzem partii. Po cichu dowiedziałem się, że był w KPP. Nie chciał o tym mówić, a kiedy pytałem, burczał, żebym przestał się mądrzyć i brał do nauki, i że to już przeszłość, więc należy o tym zapomnieć.

Tadek bardzo dużo mi pomógł. Często mówił, że znów się do mnie przypieprzają, ale już to załatwił. Cały czas ciągnęła się za mną przeszłość. Pamiętali mi to odbicie więźniów. Byłem obywatelem drugiej kategorii. Nie miałem kłopotów z nauką. Matematykę zdawałem co prawda przy drugim podejściu, ale fizykę i chemię zaliczyłem za pierwszym razem. Miałem natomiast kłopoty materialne. Nie mogłem liczyć na rodziców. Im też było ciężko. Zacząłem więc handlować penicyliną (dolarami nie chciałem). Przywoziłem ją z Warszawy i momentalnie wszystko sprzedawałem. Później Tadek mi pomógł dostać stypendium.

W trakcie studiów pracowałem w cukrowni w Lublinie na noce w laboratorium jako chemik zmianowy. Nocna zmiana trwała od dwudziestej drugiej do szóstej rano. O ósmej już miałem być na ćwiczeniach na uczelni. Ciężko było, ale ja się z tego bardzo cieszyłem. Po trzech miesiącach zarobiłem tyle, że mogłem się ubrać i miałem pieniądze na różne wydatki. W każdym razie dawałem sobie radę, ale jak to mówią, pszczoła do miodu ciągnie. Ponieważ na uczelni wiedzieli, kim jestem, niektórzy rozmawiali ze mną na różne tematy polityczne.

W lipcu 1951 r., ni stąd, ni zowąd, nastąpiły w Lublinie aresztowania. Zaczęli od profesorów i asystentów, potem doszli do studentów. Z wydziału chemii aresztowali mnie i Mundka Filipka, pomimo tego, że obaj się ujawniliśmy już w 1947 r. Przesłuchania polegały na staniu od siódmej rano do czwartej po południu na śliskiej posadzce w rozkroku z rękami podniesionymi do góry. Nie sposób było utrzymać się na nogach, a jednak staliśmy. Kto się przewracał, tego podnosili kopniakami. Człowiek może bardzo dużo wytrzymać… Potem kopniakami „pomagali nam" zejść z drugiego piętra do celi. Zanim jednak trafiliśmy do celi, prowadzono nas do łazienki. Specjalnie polewali ją wodą i wsypywali podchloryn sodu, środek do dezynfekcji. Po godzinie tak się dusiłem, że nie mogłem wytrzymać. Potem prowadzili do celi i szedłem spać.

Ledwo się człowiek położył, a za pół godziny już było słychać wrzask: „Pobudka, wstawać!". Kto nie chciał, to słyszał, że zaraz wróci tam, skąd właśnie przyszedł. Siedziałem więc na łóżku i spałem w tej pozycji. Gdyby ktoś jeszcze był ze mną w celi, byłoby może łatwiej — wtedy jeszcze byłem sam, ale wszystko można przeżyć. Nie stawiali mi właściwie konkretnych zarzutów. Mówili, ze handluję dolarami. Oczywiście zaprzeczyłem. Sami nie wiedzieli, do czego się przyczepić, potem zaczęli mi zarzucać, że mam jakichś kolegów w Gdańsku i wstąpiłem do ich organizacji. Odpowiadałem, że nie znam nikogo w Gdańsku. Tak strzelali na oślep.

Rok 1951 był to okres ostrych represji w Polsce. Potem zresztą zamykali mnie, zawsze „profilaktycznie", na 48 godzin z okazji 1 maja czy 22 lipca. Z aresztu UB przy ul. Chopina przeniesiono mnie do więzienia na Zamku. Przesiedziałem w nim do grudnia 1952 r. Podczas przesłuchań twierdzili, że mają już jakieś konkretne zarzuty, ale mi ich nie przedstawili. W 1952 r. z okazji uchwalenia konstytucji była amnestia i zwolnili mnie do domu. Moja ówczesna narzeczona bardzo się starała wyciągnąć mnie z aresztu, bezskutecznie.

Po zwolnieniu pojechałem do niej, trochę odpocząłem, ożeniłem się i wróciłem do nauki. Zamieszkałem w Łodzi. Zacząłem pracować w spółdzielni „Oleina" w kontroli technicznej i laboratorium, w zawodzie chemika. Robiliśmy tam kwas ortofosforowy, inne kwasy fosforowe oraz calgon, który wtedy produkowano tylko do przemysłowych kotłów. Starałem się jednak znaleźć jakąś „mądrzejszą pracę". Przez pewne znajomości udało mi się dostać do wytwórni filmów oświatowych. Najpierw pracowałem w kontroli operacyjnej. Nie znałem się na tym zupełnie, ale po trochę się nauczyłem. Zacząłem w laboratorium przygotowywać roztwory do wywoływania, utrwalacze, sepie do różnych potrzeb. Dość dobrze się w to wciągnąłem. Jeździłem na sympozja do sąsiadów, zwanych wtedy demoludami.

W tamtym czasie miałem już żonę i syna. Pewnie dlatego UB przestała tak za mną chodzić. Nawet do RFN mnie puścili. W 1953 r. zostałem wysłany z dwiema koleżankami do zakładów Siemensa. Miałem się wtedy nauczyć wylewać i sporządzać zestawy na ścieżkę dźwiękową, żeby była magnetyczna zamiast światłoczułej. Miesiąc po powrocie wysłali nas z kolei do Rosji. Niby na praktykę do Mosfilmu i Instytutu Kinematografii. Na miejscu okazało się, że mamy dokładnie opowiedzieć, czegośmy się u Siemensa nauczyli. Do tego stopnia byli ciekawi, że pytali nawet, ile w pokojach jest okien, gdzie stoją biurka, którędy się wchodzi do pokojów, gdzie jest laboratorium, na którym piętrze, jacy Niemcy nas uczyli, może pamiętamy nazwiska itd.

„I znów za kraty"

— W sumie w Mosfilmie przesłuchiwali nas dwa miesiące — wspomina Zygmunt Mogiła-Lisowski. — Potem pojechaliśmy do

Leningradu, do tamtejszego Instytutu Filmowego, a tam apiat' to samo: „Musicie nam bardzo dokładnie opowiedzieć, jak tam było". Zawieźli nas jeszcze do Odessy, do Kijowa i wszędzie było identycznie. Dzięki temu przypomniałem sobie trochę rosyjski. Mieliśmy specjalnego pierewodczika. Któregoś dnia przesłuchujący mnie profesor stwierdził: „Pierewodczik? On nam nie nużen, ty łutsze gaworisz po ruski, kak pierewodczik". I potem ja zostałem tłumaczem naszej trójki.

Wyjazd był bardzo udany pod względem materialnym. Sprzedałem właściwie wszystko, w czym przyjechałem. Kupiłem dwie maszyny do liczenia i bardzo ładne pozłacane łyżeczki srebrne, które bardzo tam były tanie. Resztę wydałem. We wrześniu wróciłem do domu. Pracowałem nadal w wytwórni filmów. Jak zawsze byłem lubiany, nawet do rady robotniczej mnie wybrali. Dobrze sobie radziłem z pracą. Zrobili mnie więc szefem wydziału taśmy filmowej. To już było stanowisko poważne. Zajmowałem je do 1962 r., do momentu, kiedy znów zaszkodziła mi moja niewyparzona gęba.

Był tam reżyser pochodzenia żydowskiego, którego zresztą nie ukrywał. Zaczął mnie męczyć, żebym wstąpił do partii. Któregoś dnia coś mnie podkusiło, kiedy znowu zaczął o tym samym, powiedziałem:

— Eeee tam, Tadeusz, daj spokój. Nie byłem w czasie okupacji folksdojczem, to i teraz nie będę.

A on na to, że głupoty gadam.

— Przepraszam, jeśli cię uraziłem, ale to nie dla mnie — powiedziałem to spontanicznie.

Nawet się nie spodziewałem, że zaczną się wobec mnie szykany. Może mógłbym się bronić, przez tę radę robotniczą, ale zrezygnowałem. Któregoś dnia dyrektor mnie zawołał i powiedział:

— Panie Zygmuncie, chyba trzeba się będzie rozstać, bo na mnie naciskają, żebym kogo innego przyjął.

Nie przejąłem się specjalnie. Pomyślałem sobie wtedy, że w takim razie pójdę pracować do przemysłu. I tak trafiłem do „Boruty" w Zgierzu. To był typowy ciężki przemysł chemiczny. Gdy podjąłem tam pracę, znów mnie zamknęli, tym razem za współpracę z Kościołem. Robiłem dla niego przezrocza do nauki religii. Ktoś nas wydał, no i zamknęli mnie. Siedziałem trzy miesiące w areszcie w Łodzi. Potem miałem sprawę. Znałem ubeków już wcześniej i miałem o nich wyrobione zdanie. Tym razem znów się potwierdziło. Oni nas namawiali tylko do roboty albo do współpracy. Wtedy jednak tego nie robili. Znali mnie na tyle, by wiedzieć, że nic z tego nie będzie.

Siedziałem trzy miesiące. To była mała sprawa. Jak zwykle więc wracali do przeszłości. Wiedzieli, że byłem w WiN-ie. W 1964 r. uchwalono kolejną amnestię, która przy okazji i mnie objęła. Sprawę umorzono. Mnie wypuszczono i zacząłem pracować w Centralnym Laboratorium Przemysłu Lniarskiego w Zgierzu, w biurze projektów. Dobrze mi tam szło. Zostałem kierownikiem pracowni. Sporo zarabiałem, może nie z powodu pensji, ale premie były wysokie. Musiałem dużo jeździć, bo budowaliśmy nowe zakłady w Kamiennej Górze, w Walimiu, Żyrardowie. Była to ciekawa praca. Staraliśmy się wprowadzić nowoczesną technologię, np. tzw. filmodruk na lnie — farbiarstwo. Wyjechałem nawet do Włoch, skąd sprowadzaliśmy maszyny. Trochę się dziwiłem, że mnie puścili, ale w służbowych sprawach puszczali. Poza tym miałem żonę i synka, więc byli spokojniejsi, że wrócę. Oczywiście w moim otoczeniu były ze 3–4 osoby „towarzyszące".

Trochę się koło mnie uspokoiło, ale do czasu. W 1967 r. zacząłem znów bawić się w politykę. Odwiedził mnie w domu w Łodzi Kazimierz Załęski — „Bończa", dowódca pierwszej grupy partyzanckiej. Należałem do niej po przyjeździe z Wołynia. Wspaniały człowiek. Miał dla mnie propozycję. Jako fachowiec

miałem mu pomóc i wspólnie z nim otworzyć zakład powlekania tkanin, ortalionu w Kielcach. Ponadto stwierdził, że jestem aktywny i mam samochód, a trzeba było zadbać o wszystkie groby naszych kolegów. Spisać je wszystkie i uporządkować, bo nie wypada, żeby niszczały w zapomnieniu. No i zajęliśmy się tym — „Bończa", ja i Zbyszek Paciorek z Radomia, oraz mieszkańcy wsi związanych z partyzantką. To się już zaczęło UB bardzo nie podobać. W dodatku „Bończa" uwierzył wówczas w uczciwe zamiary gen. Moczara, który w ZBOWID chciał utworzyć grupę żołnierzy AK popierających Gomułkę.

Sprawa się nie spodobała „na górze" i dobrali się do nas wszystkich. Ja dowiedziałem się później, już na rozprawie sądowej, że kupując do swojej firmy materiał do powlekania po cenach hurtowych, jak wszyscy kradnę. Oszukuję państwo, ponieważ powinienem płacić ceny detaliczne. Zniszczyli mnie. Zniszczyli zakład. W konsekwencji zniszczyli rodzinę. Dostałem aż osiem lat. Wiedziałem, za co. Gdy mnie wzięli do więzienia na Rakowiecką w Warszawie, to przesłuchiwali w sprawach gomułkowskich, a nie gospodarczych. Trzymali mnie tam dwa i pół roku. Potem przewieźli do Potulic pod Bydgoszczą. Siedząc w więzieniu, pracowałem w fabryce mebli jako technolog. Badałem drewno, lakiery, a przez ostatnie pół roku w tzw. grupach wolnościowych budowałem wiadukt w Bydgoszczy, a w okolicach Nakła odwadniałem bagna. Za tę całą pracę wypłacili mi później 500 zł (równowartość czarnorynkowych 5 dolarów).

Przesiedziałem w sumie pięć lat. Wypuścili mnie w 1974 r. Gdy siedziałem, żona wzięła ze mną rozwód. Po wyjściu na wolność pojechałem więc do siostry, która mieszkała w Bydgoszczy, tam też przebywała moja matka. Powiedziałem sobie, że już do Łodzi nie wrócę. Pojechałem tylko odwiedzić syna, bo miałem z nim bliski kontakt, ale rodzina się już rozpadła. Wyjechałem do Warszawy.

Przebywałem przez pewien czas u kuzyna Czarnego Witolda z batalionu „Zośka”. Mieszkaliśmy przy ul. Tagore. Znajomi pomogli mi szukać pracy.

Wkrótce zaczepiłem się w Zelmocie. Notabene, pracowałem tam aż do emerytury w 1991 r. Początkowo miałem kłopoty z mieszkaniem. Na szczęście bardzo miło się skończyły, bo dostałem mieszkanie zastępcze. Poza pracą w Zelmocie uczyłem też chemii w Technikum Instalacji Sanitarnych, gdzie poznałem moją obecną żonę. Pobraliśmy się i sprawa meldunku warszawskiego została załatwiona. Żona do dziś się ze mnie śmieje, że dlatego się z nią ożeniłem. Nadal uczyłem w tej szkole, a mieszkaliśmy przy ulicy Orlej. Kiedy Zelmot podpisał umowę patronacką, z Merą i LOT-em, na budowę bloku mieszkalnego na Ursynowie, zgłosiłem się. Dostałem przydział pod warunkiem, że zajmę się całą budową „pod klucz”. Miałem w Zelmocie już kilka patentów, wyjeżdżałem za granicę, m.in. opracowałem z ZTS Pustków tworzywo termoutwardzalne do wtryskarek. Dyrektor techniczny, Eugeniusz Rybiński, lubił mnie i cenił za to, że wiele spraw umiałem załatwić samodzielnie. W tym samym czasie zostałem szefem wydziału przetwórstwa warzyw, mimo trudności związanych z tym, że byłem karany. Udało się je rozwiązać. Dyrektorowi Rybińskiemu zależało na tym. Następnie kierowałem wydziałem jako technolog, gdy ówczesny szef odszedł na emeryturę. Poręczyły za mnie również związki zawodowe. Najpierw zostałem „pełniącym obowiązki”, a w 1981 r. „pełnym” kierownikiem.

Zelmot współpracował z wojskiem i dlatego jego dyrektorzy sporo mogli. Z kolei ja dużo załatwiłem zakładowi. Gdy były trudności finansowe, potrafiłem zrobić mieszanki z materiałów krajowych i produkcja szła. Nawet jakościowo nie gorsza niż z materiałów importowanych. To mnie nieraz uratowało. Zwłaszcza w stanie wojennym, bo początkowo chcieli mnie rutynowo zamknąć. Dyrekcja

się sprzeciwiła. Bardzo dużo produkowaliśmy dla wojska i byłem potrzebny. Dyrektor Rybiński powiedział, że w takim wypadku on nie odpowiada za produkcję i że wątpi, żebym był w coś zaangażowany, bo dużo pracuję i wykańczam mieszkanie. Kilka razy mnie wezwali na jakieś rozmowy. Mówili, że mógłbym im dużo pomóc. Powiedziałem, żeby mi dali spokój, że ciężko pracuję, mam rodzinę i brak mi czasu na takie sprawy. Oczywiście swoje robiłem. Byłem poważnie zaangażowany w działalność konspiracyjną w Ruchu Obrony Praw Człowieka, z Czumami, Gołębiewskim i szeregiem innych osób. Byłem założycielem Związku Kombatantów Solidarności.

W latach 70. skończyłem studia podyplomowe w zakresie techniki wytwarzania maszyn, żeby zostać samodzielnym rzeczoznawcą SIMP-u. Gdy zaczęły powstawać firmy polonijne, robiłem dla nich wyceny majątku. Stanowiły one dla banku podstawę udzielania pożyczek. Pracowałem na okrągło, poza tym nadzorowałem wykończenie mieszkania. We wszystkich mieszkaniach była klepka, a nie wykładzina. Wprowadziliśmy się tam, zanim nasze mieszkanie zostało ukończone. Zasmucił nas do tego mój synek, Zygmunt. Pewnego dnia kategorycznie odmówił powrotu do małego mieszkania przy Orlej. Zrobił taką awanturę, że zostaliśmy. Pomimo tego, że nie było nawet gazu ani ciepłej wody. Wykończenie nowego mieszkania wymagało dużych nakładów, dlatego założyłem ze znajomym w Krasnymstawie firmę przetwórstwa tworzyw. Ponieważ wtedy było dużo maszyn z likwidowanych zakładów, kupiliśmy wtryskarki. Jedną wtryskarkę wydzierżawiłem w Zelmocie. Robiliśmy dla nich dużo z tworzywa termoutwardzalnego. Zatrudnialiśmy 16 osób. Mieliśmy odbiorców zagranicznych, np. w Szwecji. Wszystko się skończyło po reformie Balcerowicza. Surowce w ciągu paru dni ogromnie podrożały. Ceny tak się zmieniły, że trzeba było zrobić nowe kalkulacje, a tych już nasi odbiorcy zagraniczni nie zaakceptowali. W Zelmocie dyrekcja zaproponowała mi, abym razem

z pracownikami, w formie spółdzielni pracowniczej, przejął zakład. To było wówczas modne. Ta propozycja nie spodobała się księgowej, która miała inne plany i zorganizowała na mnie nagonkę. W rezultacie wszystkie maszyny przeniosła do dużego gmachu, a cały teren rozparcelowała, nie wiadomo zresztą komu.

W związku z działalnością w Związku Kombatantów Solidarności w 1988 r. odnowiłem swoje kontakty z 27 Wołyńską Dywizją Piechoty AK. Zostałem oficjalnie członkiem koła środowiska. W ZBOWID nigdy nie byłem, bo nie chciałem. Zresztą nawet nie próbowałem, ponieważ oni ujawnionych w 1947 r. nie przyjmowali. Korzystając z ustawy kombatanckiej, poszedłem na wcześniejszą emeryturę w kwietniu 1991 r. Jeszcze trochę pomagałem w wykańczaniu mieszkania, ale głównie zająłem się polityką. Odchodząc na emeryturę, usunąłem się z rozróbek organizowanych przez panią księgową i podałem sprawę tła tych rozróbek do sądu. Przedtem zorganizowałem Towarzystwo Miłośników Wołynia i Polesia. Nowo powstała organizacja na początku liczyła kilkadziesiąt osób w Warszawie. Następnie liczba zrzeszonych wzrosła do kilkuset, a później do ponad kilku tysięcy w całej Polsce. Środowisko związane z tym towarzystwem zdało egzamin. W trakcie jego powstania, w oparciu o kontakty z panami Gołębiewskim i Morgiewiczem z Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, organizowałem przy pomocy pana Fajbusiewicza z Politechniki Warszawskiej zaplecza do drukowania dla tajnych wydawnictw. Wyszukiwałem wszędzie, tam gdzie tylko było można znaleźć, sprzęt do drukowania. Dwa powielacze udało mi się, przy pomocy przyjaciół mojej rodziny i pana Majewskiego, zabrać ze strychu Politechniki. Jeden powielacz znalazłem w Zelmocie w starej rupieciarni. Cały ten sprzęt oddałem do remontu, który po naprawie przez dłuższy czas służył Ruchowi Obrony Praw Człowieka i Obywatela przy drukowaniu różnych biuletynów i informacji. Po wyborach parlamentarnych w 1989 r.

nawiązałem ścisły kontakt z panem prof. Wiesławem Chrzanowskim ze Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego. Pan prof. Chrzanowski dwukrotnie odwiedził nasze środowisko. Później w 1991 r., kiedy miała powstać Wyborcza Akcja Katolicka, zaproponował nam współpracę. Wyraziłem na to zgodę. Powołaliśmy równocześnie, oprócz Towarzystwa Miłośników Wołynia i Polesia, Federację Organizacji Kresowych. W ramach tej federacji zostałem jej wiceprzewodniczącym, a na zebraniu połączonych kół kresowych powołaliśmy komitet wyborczy. Zostałem jego szefem i skierowano mnie na listę krajową, mimo że zajmowałem się przygotowaniem wyborów na Chełmszczyźnie i Zamojszczyźnie.

Wyborcy z tamtych stron znali mnie dość dobrze, a ja ich. Po wyborach wszedłem do Sejmu I kadencji w ramach klubu ZChN i od początku starałem się w nim aktywnie pracować. Zajmowałem się środowiskami kresowymi oraz pracowałem w Komisji Obrony Narodowej, ponieważ byłem związany z przemysłem, a sprawy przemysłu obronnego szczególnie mnie interesowały. Miałem z tym sporo kłopotów, bo ludzie w Sejmie byli niechętni wobec mnie i mojego działania. Większość jednak wspominam mile, zostało sporo przyjaźni. Udało nam się uratować cały szereg zakładów przed „dziką" prywatyzacją i nie dopuścić do zniszczenia najważniejszych zakładów przemysłu obronnego.

„Pamiętaj Lasze, że do Wisły to nasze"

— Pracując już w Sejmie, wspólnie z marszałkiem Bąkiem i panią Dmochowską powołaliśmy Koło Tradycji Niepodległościowych i w ramach tego koła wyjechałem do USA — wspomina Zygmunt Mogiła-Lisowski. — Celem wyjazdu było nawiązanie kontaktów z polską emigracją, zarówno przedwojenną, jak i powojenną. Była to

pierwsza taka delegacja polskiego Sejmu do USA. W ciągu dwóch tygodni odwiedziliśmy środowiska polonijne w Nowym Jorku, New Jersey, Waszyngtonie, Detroit i Chicago. Przyjmowani byliśmy bardzo gościnnie i dużo spraw wspólnie omówiliśmy, do dzisiaj te kontakty pozostały. Niestety, wiele kwestii wtedy rozpoczętych rozmyło się. Powołana później Wspólnota Polska zajęła się innymi sprawami, a w niewielkim zakresie kontynuowała nasze działania. Szczególnie oddawała się pracy z Polakami na Wschodzie.

Będąc na emeryturze, ubolewam, że wszystkie sprawy związane z Wołyniem nie zostały załatwione jak należy. Dla władz Polski, niezależnie od ekipy, która u niej jest, Wołyń jest tematem niewygodnym. Najchętniej nigdy by go nie podejmowały i zmiotły pod dywan. Tysiące bestialsko zamordowanych przez Ukraińców Polaków Warszawa chciałaby złożyć na ołtarzu dobrych stosunków z Ukrainą, co ta po mistrzowsku wykorzystuje, a przecież jedno drugiemu nie przeszkadza — z Niemcami utrzymujemy dobre kontakty, pomimo że SS, jak również NKWD były wrogie Polsce, mordowały Polaków i nie tylko ich.

W stosunku do UPA istnieje jakieś tabu. IPN goni tego króliczka, tylko nie może go dogonić. Półki z dokumentami o mordach, jakich UPA dokonywała, uginają się pod ich ciężarem, jest też sporo relacji świadków zbrodni. Istnieje książka dokumentująca ludobójstwo autorstwa Ewy i Władysława Siemaszków. Można w niej przeczytać, w jaki straszny sposób UPA robiła czystki, mordując Polaków, od niemowląt po starców. Znane było wśród Ukraińców głośne powiedzenie: „Popatrzcie, jak polskie orły latają w górę” i na widły nabijano niemowlaka i rzucano go w powietrze. To było nagminne. Część społeczeństwa ukraińskiego, szczególnie z Galicji, które potem przywędrowało na Wołyń, było ogłupione całkowicie. Chyba nie wiedziało, co robi. Wspólnie z UPA pomagało mordować Polaków.

Jednak nie wszyscy dali się tak wmanewrować w nagonkę przeciwko Polakom. Nie pozwalali na mordy. Ci ludzie byli w okrutny sposób, tak samo jak Polacy, mordowani, bo to jest w jakiś dziwny sposób pojęta Swobodna Ukraina. Polacy wtedy uciekali na Zachód, za Bug, żeby schronić się przed mordami, albo na Wschód za Zbrucz. Na tamtych terenach za Żytomierzem, koło Winnicy, gdy się tylko dostali, byli przez miejscowych ochraniani. Nie dopuszczono do mordów na nich.

Trudno o tym dzisiaj pisać, bo zakłamanie w tej sprawie jest olbrzymie. Wyrazistym przykładem może być tu potępienie akcji „Wisła" przez Senat RP. Było ono szalonym błędem. Ukraińcy tego nigdy nie uszanowali i nigdy nie potępili akcji na Wołyniu. Natomiast potępienie akcji „Wisła" rozzuchwaliło nacjonalistów ukraińskich i szerzone przez nich kłamstwa. Trzeba pamiętać, że w Bieszczadach i na tzw. Zakerzoniu zginęło w okrutny sposób kilka tysięcy Polaków, od Krynicy do Włodawy. Spalono całe wsie. Natomiast Ukraińców w trakcie akcji „Wisła" zmarło 180, i to głównie z przyczyn biologicznych. My, Polacy, wysiedliliśmy ich z kurnych chat do murowanych gospodarstw poniemieckich. Wszyscy „mądrzy ludzie" chętnie potępili Polaków za akcję „Wisła". Natomiast oficjalnie nie potępiono ludobójstwa dokonanego na Polakach przez UPA i SS-Galizien. Jest to do dzisiaj dla ludzi, którzy nie przeżyli tego, rzeczą nienormalną, żeby sąsiedzi mogli się nawzajem w ten sposób wykańczać. Trudno jest zrozumieć tę sprawę, ocenić i wybaczyć… Jak jeżdżę teraz na Ukrainę do wsi Tychotyń, to spotykam się z moimi byłymi sąsiadami, którzy nas nocą wywieźli z naszego majątku, ratując nam życie. Oni są serdeczni. Nigdy tam nie było specjalnych zwolenników UPA, ale obok, w sąsiedniej wsi Niemir, cała prawie ludność pochłonięta była współpracą z UPA. Mordy i grabieże były na porządku dziennym. Bojówki z Niemiru były okrutniejsze od bolszewików.

Dziś trudno mi mówić na ten temat. Trzeba to przeżyć, żeby dobrze zrozumieć. Obserwując polityczne zagrania naszych polityków, jestem przerażony. Dlaczego w tych posunięciach politycznych w ogóle nie myśli się o Polakach? Przecież można Ukraińców cenić, ale wcale nie trzeba cenić UPA. To, co zrobił prezydent Kwaśniewski, a potem prezydent Kaczyński w Pawłokomie, jest przerażające. W Pawłokomie w ramach rewanżu zginęło ok. 150 Ukraińców zabitych przez Polaków. Dzisiaj zrobiono z tego Mekkę, gdzie nawet nie pozwolono młodzieży polskiej przyjechać. Natomiast nacjonalistyczna ukraińska młodzież chodziła podpita z transparentami, krzyczała i śpiewała: „Pamiętaj Lasze, że do Wisły to nasze". I nikt temu nie przeszkadzał. Natomiast naszym harcerzom, Młodzieży Wszechpolskiej, ochotnikom wolontariatu polskiego, nikt nie pozwolił się tam pokazać!

Do dziś Ukraińcy we Lwowie budują mauzoleum SS-Galizien. Jest to jednak wielkie kłamstwo. Niezgodne z protokołem norymberskim. Według niego wszystkie organizacje związane z faszystowskimi organizacjami SS, SD mają być potępione, ponieważ są zbrodnicze i nie wolno ich gloryfikować. Natomiast oni się z tym nie liczą i na terenie Cmentarza Orląt Lwowskich budują dwa mauzolea — jedno ku czci SS-Galizien, a drugie dla UPA. Trzeba pamiętać, że ok. 600–700 bandziorów z batalionu Wołyńskiego SS-Galizien w przebraniu SS brało udział w Powstaniu Warszawskim, mordując powstańców i ludność cywilną w dzielnicy Wola. Potem brali udział w mordowaniu Polaków we wsi Gruszka, gdzie pokazali swe okrucieństwo. Następnie zostali przerzuceni na Słowację, aby powtórzyć swe haniebne wyczyny. Do dziś Słowacy bardzo krytycznie do tego podchodzą. Jakby ktoś zwrócił uwagę, to Słowacy w Pomarańczowej Rewolucji nie wzięli udziału. Podobnie zresztą postąpili Czesi. Wycofując się pod koniec wojny, mając podrobione polskie dokumenty, część oddziałów została przyjęta przez generała

Andersa. W ten sposób udało im się uratować. Wśród tych ludzi są dziś ojcowie dygnitarzy polskich, którzy udają patriotów polskich. Szczególnie jeden zwrócił moją uwagę. Był był posłem i ministrem, a jego rodzina jest ściśle związana z czołówką UPA. On wtedy był bardzo młody, ale jego ojciec i stryj przewodzili tym organizacjom.

Podsumowując, muszę stwierdzić, że moja intensywna praca w komisjach: Obrony Narodowej i Łączności z Polakami za Granicą przyniosła pewne wymierne efekty, które do dziś owocują. Przede wszystkim Towarzystwo Miłośników Wołynia i Polesia rozwinęło się na koła: w Olsztynie, Wrocławiu, Inowrocławiu, Toruniu, Lublinie, Zamościu i Chełmie. Były to dość duże koła, w sumie środowisko liczy ok. 3500–4000 członków. Liczba ta się nieustannie zmienia. Niestety, są to ludzie dość wiekowi, starzeją się i umierają. Zawsze jednak przychodzą nowi i liczba członków oscyluje w granicy 3500 osób. Równocześnie w czasie założenia TMWiP postanowiłem z panem marszałkiem Mitraszewskim i innymi kolegami założyć Federację Towarzystw Kresowych, która praktycznie zdała egzamin przy wyborach parlamentarnych w 1991 r., wprowadzając do Sejmu paru kresowiaków, między innymi mnie i panią Rutkowską z Gliwic. Trudno dziś określić, na ile to pomogło, ale udało się nam uruchomić wydawnictwo w Oświęcimiu, bo tam też mieliśmy swoje koło. Wydaliśmy kilka albumów: „Wołyń — ocalić od zapomnienia", „Polesie — ocalić od zapomnienia", a ostatnio książkę pt. „Wołyń naszych przodków. Śladami życia — śladami zagłady". Książka ta jest wyjątkowo udana pod względem merytorycznym i dokumentalnym. Cieszy się dużą popularnością.

Jednocześnie uruchomiliśmy wystawy archiwalnych zdjęć, które dostarczyli członkowie naszego towarzystwa. Zapoczątkowała je ekspozycja w holu Domu Polonii na Krakowskim Przedmieściu 64, która później przeniesiona została do Krakowa, a następnie do innych miast. Każda z wystaw miała swój odpowiednik książkowy.

Ostatnia pozycja to album „Polesie widziane oczami Marii Rodziewiczówny”.

Powracając do moich przemyśleń politycznych… Byliśmy bardzo rozczarowani współpracą ze Wspólnotą Polską. Wspólnota ma statutowy obowiązek opiekować się stowarzyszeniami kresowymi. Należy przypomnieć, że kiedy powstawała, to pomagaliśmy ją zakładać, a później okazało się, że im przeszkadzamy. Szykanowano nas, gdzie tylko można. W jednym pokoju mieściliśmy się wszyscy razem, ale za salę i sprzątanie jednak musieliśmy płacić sami. Przygotowywanie wydawnictw kresowych nie były jedyną podstawową naszą działalnością. Zajmowaliśmy się również wykonaniem tablic pamiątkowych, upamiętniających Polaków pomordowanych przez bandy UPA.

Wracając do UPA, jest to ciężar, który drażni nasze myśli, gdyż ich działania były nieuzasadnione historycznie. Polacy żyli w zgodzie z Ukraińcami, a UPA poddało się propagandzie faszystowskiej, niemieckiej. Spowodowało to, że w 1939 r. bojówki ukraińskiej organizacji OUN mordowały w okrutny i bestialski sposób Polaków. Kilkakrotnie próbowano spłycić zbrodnie UPA. Swego czasu powołano Komisję w celu uznania UPA jako organizację walczącą o wolność Ukrainy. Pamiętam spotkanie dotyczące tego tematu w Komisji Łączności z Polakami za Granicą. Na spotkaniu obecny był pan Borusewicz, dzisiejszy marszałek Senatu, a także pan Wiaczesław Czarnowił, typowy ukraiński działacz nacjonalistyczny. Człowiek, który mógł się posunąć do każdego kłamstwa, byle Polakom szkodzić. To on zarzucał naszym rodakom, że zniszczyli wszystkie cerkwie na Chełmszczyźnie, co jest nieprawdą. Poruszono polityczne kłamstwo na bazie skrawka prawdy. Czarnowił próbował nagłośnić sprawę cerkwi na konferencji w Kazimierzu w 1990 r. Na szczęście ówcześni politycy potrafili myśleć po polsku i znali fakty, nie dali się podpuścić i sprawa ucichła.

Do dziś mam żal do pana Borusewicza, że ani razu nie upomniał się o pomordowanych Polaków na Wołyniu. Dał się zwieść argumentacjom pana Czarnowiła. Ja, będąc posłem w tamtym okresie, postanowiłem tę sprawę wyjaśnić w 1992 r. Przez Chełmszczyznę przeszły cztery fronty. Rosyjsko-niemiecki w 1916 i 1917 r., na wschód i z powrotem. Austriacko-rosyjski w latach 1917–1918 r. Następnie miały tam miejsce różne walki lokalne nawet z Siczowymi Strzelcami. W 1920 r. nadszedł front bolszewicki, a oni wówczas obłędnie toczyli walkę z religią i niszczyli, co było pod ręką. Będąc na Chełmszczyźnie, dokonali zniszczenia obiektów sakralnych różnych wyznań. Dopiero marszałek Piłsudski po bitwie warszawskiej przegnał bolszewików z terenów polskich.

Praktycznie to te wyżej wymienione fronty, a szczególnie bolszewicki, zniszczyły prawosławne kaplice. Pozostały po nich nieuporządkowane resztki, o które zupełnie nie dbali miejscowi mieszkańcy, a nawet kler prawosławny. Dopiero wojewoda lubelski w 1938 r. nakazał uporządkować pozostałości. Nadmienię, że niszczone cerkwie w rzeczywistości wcale nimi nie były. To raczej niewielkich rozmiarów prawosławne kaplice. Natomiast cerkwie prawosławne tak, jak stały przed I wojną światową, tak stoją do dziś na Podlasiu i Chełmszczyźnie.

My, Polacy, mamy niestety przedziwny chorobliwy dar „męczeństwa", obciążania siebie i naszego państwa wyrzutami sumienia, bez badania historycznego tła i prawdy. Robimy to w interesie, w tym wypadku nacjonalistów ukraińskich i trudnej do określenia grupy politycznie wrogiej Polsce. Pociąga to za sobą samo oskarżenie i wprowadzenie w błąd Polaków w imię obcego interesu politycznego, bardzo niechętnego Polsce. Na przykład dla spłycenia faktu ludobójstwa na Wołyniu lansuje się błędną teorię o wojnie polsko-ukraińskiej. Mówi się również, że ludobójstwo na Wołyniu nie

zostało dokonane przez OUN i UPA, tylko przez nieokreślone oddziały, np. partyzantkę sowiecką.

Niezależnie od czasu popełnienia, zbrodnia się upomni o prawdę. Stało się tak w przypadku wymordowanych przez Turków Ormian w Baku. Dziś ta prawda, ukrywana przez 85 lat, przyczyniła się do odrzucenia kandydatury Turków do Unii Europejskiej. Myślę, że podobnie będzie również w tym przypadku.

Obecnie choroba nóg utrudnia Zygmuntowi Mogile-Lisowskiemu aktywniejszą działalność. Niedawno obchodził jubileusz 85-lecia urodzin. Z tej okazji odebrał nominację na podpułkownika.

Jan Niewiński

Chłopak spod Krzemieńca

— Urodziłem się w 1920 r. we wsi Rybcza w powiecie krzemienieckim na Wołyniu w wielodzietnej rodzinie Wawrzyńca i Leontyny, z domu Lewieckiej — wspomina Jan Niewiński. — Miałem brata i trzy siostry. Na początek chciałbym powiedzieć coś o samej wsi Rybcza.

Miejscowość ta w całości była wsią polską. Utworzyła się ona po powstaniu kościuszkowskim. Założyli ją pędzeni na Sybir zesłańcy, którym udało się uciec z transportu. Skuci łańcuchem, gnali szlakiem jampolskim. Przy nim, między Krzemieńcem a Katerburgiem, stała karczma, w której konwój prowadzący zesłańców się zatrzymywał. Wieczorem strażnicy popili i usnęli. Wykorzystali to konwojowani, wiedzący o tym, który strażnik ma klucz, zabrali mu go, odpięli kajdany, którymi byli przypięci do łańcucha i uciekli. Gdy konwojenci się obudzili i zobaczyli, że zesłańcy uciekli, to gospodarza zastrzelili, a karczmę puścili z dymem.

W tej okolicy w owym czasie rosły gęste lasy. Ułatwiały one zesłańcom ukrycie się. Przez las prowadził też słynny szlak jampolski Wschód–Zachód, po którym poruszały się karawany kupców jadących z zachodniej Europy na Daleki Wschód. Zatrzymywały się one jakieś trzy kilometry od miejsca, gdzie stała spalona karczma przy źródełku, w którym biła woda o znakomitych właściwościach. Szczególnie lubiły ją konie, które, jak wiadomo, złej wody się nie napiją. Karawany zatrzymywały się przy źródełku na coraz dłuższe popasy, na czym zesłańcy korzystali. Prowadzili z kupcami wymianę, zaopatrywali w siano czy upolowaną zwierzynę. W zamian dostawali

od nich jakieś towary, co ułatwiało im życie. Uciekinierzy zaczęli kopać sobie ziemianki, karczować las, czyli zagospodarowywać teren. Z czasem założyli osadę, która przekształciła się w wieś. Nie miała jednak nazwy. Gdy urodziło się w osadzie pierwsze dziecko, po podrośnięciu znalazło się nad potoczkiem, zobaczyło płynącą w nim rybkę, zaczęło krzyczeć: „Rybcia, rybcia!". Dorosła osoba, będąca świadkiem całego zdarzenia, opowiedziała o tym innym i cała społeczność orzekła, że na cześć tego dziecka nazwą wieś Rybcza. Wieś się rozwijała i pomimo carskiego ucisku i nadzoru zachowała swój polski charakter.

Mój dziadek był nauczycielem, prowadzącym w Rybczy prywatną szkołę. Oficjalnie nie mógł uczyć w niej języka polskiego ani żadnego przedmiotu po polsku. Dziadek jednak języka polskiego i historii Polski uczył, jak to się później mówiło, na tajnych kompletach. Dzieci zbierały się wieczorami po domach na spotkania z dziadkiem. Nie mogły mieć przy sobie żadnych książek i zeszytów. Zdarzało się bowiem, że wieczorami żandarmi też zachodzili do wioski. Tato mi opowiadał, że niektórzy z tych żandarmów to prawdziwe bydlaki, wyjątkowo nienawidzący Polaków. W ich obecności nie wolno było nawet mówić po polsku. Przychodził do wioski taki jeden, który w stanie upojenia alkoholowego wygonił mieszkańców kilku chałup i zapędził ich na drewniany most na rzece, mówiąc, że Polacy nie mają prawa stać na ruskiej ziemi.

Takie zachowania nie zastraszyły, rzecz jasna, mieszkańców Rybczy. Wprost przeciwnie. Umocniły one twardy polski rdzeń miejscowości. W 1939 r. tuż przed wybuchem II wojny światowej liczyła ona 150 gospodarstw. W każdym z nich mieszkała rodzina złożona z dziadków, rodziców i dzieci. W sumie w 1939 r. ludność Rybczy miała około tysiąca osób.

Mówiąc o polskim charakterze Rybczy, chciałbym nadmienić, że do 1914 r. były w niej nazwiska tylko na końcówkę „-ski" i „-wski",

a w czasie I wojny światowej pojawiły się nowe, takie jak: Korf, Stępień, Teterska, Czech i kilka innych tego typu. Byli to najczęściej jeńcy z armii austriackiej lub uciekinierzy z niej, którzy w Rybczy postanowili się osiedlić. Przed II wojną światową, co pamiętam z własnego doświadczenia, wieś była doskonale zorganizowana. Bardzo dobrze rozwinięty był w niej „Strzelec". Wynikało to z faktu, że w leżącym obok Rybczy majątku Liceum Krzemienieckiego w Tetylkowcach zarządcą majątku był oficer, instruktor tej paramilitarnej organizacji, służącej wychowaniu młodzieży w duchu piłsudczykowskim. Kierownik szkoły w Rybczy, por. Sierakowski, też był oficerem rezerwy i instruktorem „Strzelca". Ci dwaj kształtowali opinie i postawy społeczeństwa, dodawali mu ducha patriotycznego. Dzięki nim „Strzelec" tak się rozrósł i okrzepł, że na wszystkie uroczystości państwowe czy religijne wystawiał kompanię honorową. Liczyła ona stu żołnierzy, którzy w szyku maszerowali do Katerburga stanowiącego siedzibę gminy i parafii, do których należała Rybcza.

Katerburg, jak pamiętam, był miasteczkiem położonym na planie krzyża. Główną ulicę stanowił trakt jampolski przecięty przecznicą. Na krańcach tej przecznicy z lewej strony był kościół, z prawej cerkiew, a z boku znajdowała się synagoga. Miasteczko, jak większość na Wołyniu, było zamieszkałe przez Żydów, Polaków i Ukraińców. Kiedy odbywały się uroczystości państwowe, to brali w nich udział wójt, komendant policji, kierownik poczty, kierownik szkoły oraz inni przedstawiciele cywilnej elity. Zawsze przychodzili na nie: ksiądz, prawosławny pop i rabin. Współżycie wszystkich narodowości układało się bardzo dobrze, o żadnych konfliktach się nie słyszało.

Wracając do „Strzelca", to chciałbym zaznaczyć, że oprócz jego drużyn męskich w Rybczy działały też drużyny kobiece, w których dziewczęta przygotowywały się do roli sanitariuszek. Ja, jako jedyny z wioski, do „Strzelca" nie należałem. Byłem członkiem „Krakusów",

paramilitarnej organizacji kawaleryjskiej, działającej w wiosce osadników. Mieszkał w niej mój wujek, który był kawalerzystą i on mnie do niej wciągnął. „Krakusi" także brali udział we wszystkich uroczystościach razem ze „Strzelcem". Obie te organizacje miały oczywiście swój własny system szkolenia. Odbywały się one w dni wolne i oczywiście wakacje. Składały się z wielu elementów: szkolenia czysto wojskowego, czyli musztry, posługiwania się bronią, taktyki i terenoznawstwa, marszów itp. Na zajęciach „Strzelca" organizowano także zawody sportowe, a przede wszystkim prowadzono intensywną pracę wychowawczo-oświatową. Jego członkowie zaznajamiani byli też z bieżącą sytuacją polityczną. Generalnie rzecz biorąc, „Strzelec" był siłą napędową postępu i konsolidacji wioski. Jego praca pięknie zaowocowała w czasie tragedii wołyńskiej, gdy w Rybczy powstała samoobrona, broniąca kilku tysięcy Polaków, którzy się w niej schronili przed wyrżnięciem. „Krakusy" odgrywały analogiczną rolę jak „Strzelec", chociaż członkostwo w nich było bardziej skomplikowane. By do nich należeć, trzeba było mieć konia, siodło i całe wyposażenie. Mnie to wszystko zafundował ojciec. W 12 Pułku Ułanów Podolskich, stacjonującym w Białokrynicy, kupił klaczkę z tzw. remontu, odpowiednie siodło, na którym jeździłem. Ojciec mógł sobie na to pozwolić, bo był człowiekiem zamożnym.

Ważną rolę w życiu Rybczy odgrywał również Kościół katolicki. We wsi nie było co prawda świątyni, ale parafia w Katerburgu działała bardzo prężnie. Wszyscy mieszkańcy byli niezwykle religijni i ksiądz dla każdego stanowił autorytet. Z inicjatywy proboszcza w Rybczy zostało założone Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Wiejskiej, które obok „Strzelca" kształtowało oblicze wsi i odgrywało w jej życiu ważną rolę. Nasza rodzina też była bardzo religijna. Ojciec pełnił funkcję przewodniczącego Rady Parafialnej. W domu każdy dzień zaczynaliśmy i kończyliśmy modlitwą. Całą rodziną

klękaliśmy przed ołtarzykiem i modliliśmy się na głos. Ojciec, w odróżnieniu od innych mieszkańców wioski, nie był piłsudczykiem, ale narodowcem. Oprócz niego z ruchem narodowym związał się tylko jeszcze jeden rolnik o nazwisku Piotrowski. Sama Rybcza jako wieś należała do średniozamożnych. Najbogatszy gospodarz, pan Rządkowski, miał 30 ha ziemi w samej Rybczy i Michałówce, wsi położonej blisko granicy państwa, drugie trzydzieści. Niewiele mniej ziemi posiadał jego brat. Pozostali dysponowali areałem przeciętnie od pięciu do piętnastu hektarów, co jak na Wołyń nie stanowiło zbyt dużej powierzchni.

Można chyba zaryzykować opinię, że w Rybczy było więcej biedniejszych niż zamożnych gospodarzy. Status materialny mojego ojca nie wynikał z ilości posiadanej ziemi, ale z faktu, że był on właścicielem pasieki, liczącej 250 uli, znanej nie tylko w powiecie krzemienieckim. Do ojca po miód przyjeżdżali odbiorcy z Warszawy, zajmujący się eksportem miodu do Europy Zachodniej. Z pasieki ojciec pozyskiwał dziesiątki ton miodu. Warunki dla rozwoju pszczelarstwa w okolicy były bardzo dobre. Pszczoły praktycznie od wiosny do jesieni miały pożytki. Jeżeli chodzi o otoczenie Rybczy, to chciałbym powiedzieć, że zdecydowanie dominowały w nim wsie ukraińskie. W powiecie krzemienieckim odsetek Ukraińców był bowiem najwyższy. Stanowili oni 80,6% jego mieszkańców. W rejonie Katerburga po I wojnie światowej powstało kilka osad wojskowych. Zamieszkali w nich zdemobilizowani żołnierze polscy, biorący udział w wojnie polsko-bolszewickiej, którym przydzielono ziemię pochodzącą z parcelacji, przejętych przez państwo majątków Rosjan. Pochodzili oni z różnych stron Polski. Część była miejscowych, ale większość obcych.

Polacy z całej okolicy spotykali się w Katerburgu przy okazji nabożeństw, świąt czy innych uroczystości, a także na targowisku. Raz w tygodniu w czwartek odbywał się w miasteczku targ, na

którym handlowano wszystkim. Od koni, poprzez bydło, prosiaki, owce i drób, po wyroby rzemieślnicze. Będąc na targowisku, każdy mógł kupić potrzebne artykuły. Sklepów było wiele, ale tylko jeden polski. Po sprzedaży większej ilości towarów na targowisku handlujący często zaglądali do kielicha w którejś z restauracji. Do Polaków należała tylko jedna. Prowadził ją Franciszek Styczeń.

W 1939 r. miałem 19 lat, ukończoną szkołę czteroklasową w Rybczy, siedmioklasową w Katerburgu i rozpoczętą naukę w Liceum Krzemienieckim. Choć czuję się jego wychowankiem, to matury w nim z powodu ciężkiej choroby ojca nie zdążyłem zrobić. Ojciec zachorował na reumatyzm, chodził o kulach i nie mógł zajmować się gospodarstwem. Musiałem przerwać naukę, opuścić internat i wrócić do domu. Przed wybuchem II wojny światowej 16 mieszkańców zostało zmobilizowanych do Wojska Polskiego. Wróciło tylko trzech. Przebieg wojny z Niemcami dla wszystkich mieszkańców Rybczy stanowił ogromne zaskoczenie. Wszyscy byli przekonani, ze zakończy się ona szybkim sukcesem naszych wojsk, a tymczasem w jej wyniku Polska przestala istnieć. Ludzie przeżywali to strasznie. W tamtym okresie w naszej okolicy zaczęły się pierwsze mordy obywateli polskich, głównie uciekinierów z zachodnich ziem polskich.

Dominowali wśród nich Żydzi, którzy chcieli się przedostać do Związku Radzieckiego. Mieszkając w Poznańskim czy na Śląsku, czyli blisko niemieckiej granicy, wiedzieli, co Hitler robił z Żydami, byli to ludzie zamożni, mający ze sobą to, co mogli zabrać, głównie zaś biżuterię i walutę. Większość z nich zatrzymała się w wioskach ukraińskich i nigdy do ojczyzny światowego proletariatu nie dotarła. Ci, co udzielili im gościny, nocami ich wymordowali, przywłaszczając sobie przewożony przez nich majątek. Nikt nie wie, ilu polskich obywateli żydowskiego pochodzenia padło ofiarą swych gospodarzy i po dziś dzień spoczywa gdzieś za stodołami. Żaden badacz nie podjął tego tematu i już najprawdopodobniej nie podejmie. Trzeba

więc o tym mówić, żeby zbrodnie te nie popadły w całkowite zapomnienie. Ukraińcy napadali też na polskich żołnierzy, przekradających się do Rumunii, ale ci jakoś sobie z nimi dawali radę. Choć wielu z nich też zostało zamordowanych.

Gehenna ojca

— Gdy 17 września na nasze tereny wkroczyli Sowieci, szybko okazało się, jak wielkie wpływy posiadali w naszym rejonie komuniści — wspomina Jan Niewiński. — W Katerburgu większość Żydów pozakładała czerwone opaski. Utworzyli komitet, który przejął władzę. Początkowo liniowe oddziały Armii Czerwonej nie przejeżdżały przez nasz teren. Widzieliśmy tylko wracające na wschód puste ciężarówki. Po tygodniu dopiero do Katerburga wkroczyła sowiecka grupa operacyjna, która przejęła władzę.

Miejscowi Żydzi i Ukraińcy przyjęli ją bramą powitalną. Przy niej na cześć Sowietów przedstawiciele Żydów i Ukraińców wygłosili przemówienia. Pierwszy wystąpił Żyd-komunista, po czym uczynił to Ukrainiec, również komunista, a na końcu do głosu dorwał się Ukrainiec-nacjonalista. Miał on przypiętą kokardkę żółto-niebieską, a nie czerwoną i witając komandira sowieckiej grupy, ogłosił, że dopiero teraz Ukraińcy, dzięki Armii Czerwonej, staną się wolnym narodem i będą mogli przystąpić do budowy swojego państwa. Sowiecki oficer zmierzył tego Ukraińca z góry do dołu, potem podszedł do niego, zerwał mu z piersi kokardę żółto-niebieską, rzucił pod nogi i wdeptał w ziemię. Tamtego zamurowało! Cofnął się i zrobił mały krok. Zrozumiał, że bolszewicy żadnej samostijnej Ukrainy nie utworzą, że będzie tylko komunistyczna.

Gdy Sowieci objęli rządy, to niestety część Żydów, głównie motłoch żydowski, zaczęła się bardzo brzydko zachowywać. Denuncjowali

polską inteligencję jako wrogów władzy sowieckiej, w rezultacie czego NKWD aresztowało sporo jej przedstawicieli. Polacy byli tym przerażeni, bo przed wojną nie dochodziło do żadnych incydentów na tle narodowościowym. Nikt nigdy o nich nie słyszał. Wszyscy odnosili się do siebie z szacunkiem. W szkole w Katerburgu uczyły się wszystkie nacje. Nauka religii odbywała się jednocześnie dla wszystkich. Polacy szli na lekcje do księdza, Żydzi do rabina, a Ukraińcy do prawosławnego popa. Na Wołyniu nie było bowiem wyznawców Kościoła greckokatolickiego. Później wszyscy wracali do klasy i uczyli się dalej. Żadnych antagonizmów nie było. Komuniści działali, ale w głębokim podziemiu. Na zewnątrz się nie ujawniali, nikt o ich istnieniu nie wiedział.

Ze mną do jednej klasy chodził na przykład taki Ukrainiec, Borkowski. Pochodził z biedoty, ale nikt nie wiedział, że to komunista. W pewnym momencie na samym początku 1939 r. zniknął i nikt nie wiedział, co się z nim stało. Przepadł jak kamień w wodę. We wrześniu 1939 r. ten Borkowski nagle zjawił się w mundurze sowieckiego komisarza i zaczął urzędować w Katerburgu. Takich oczywiście było więcej, ale przypominam sobie tego Borkowskiego, bo był to mój kolega. Świadczy to, że wywiad sowiecki infiltrował tereny Wołynia przez komunistyczne jaczejki. Sowieci, jak weszli, mieli znakomitą orientację we wszystkich dziedzinach. O Polakach wiedzieli wszystko. Po kolei aresztowali wszystkich.

W maju 1940 r. byłem na polu, bronując je, bo wcześniej posiałem na nim grykę. W pewnym momencie słyszę, że biegnie moja młodsza siostra Halinka i bardzo głośno płacze. Zatrzymałem konia, żeby dowiedzieć się, co się stało, a ona mówi, że tatusia aresztowali. Okazało się, że rano pod nasz dom podjechało auto NKWD. Był to ciężarowy gazik z niskimi burtami. Na czterech rogach paki samochodu stali bojcy z bagnetami na karabinach. Jak ojca

wyciągnięto z domu, musiał położyć się na podłodze samochodu twarzą do niej z rozłożonymi rękami i nogami i tak powieźli go przez całą wieś. Jak szybko się dowiedzieliśmy, NKWD „odwiedziło" w trakcie tej akcji wszystkie wsie w okolicy i w każdej, zarówno polskiej, jak i ukraińskiej, aresztowało po jednym gospodarzu. Najczęściej był to najbogatszy gospodarz z danej miejscowości. Wszystkich aresztowanych zawieziono najpierw do Dederkał, w którym bolszewicy urządzili stolicę rejonu. Tam w siedzibie NKWD ich przesłuchiwano. Następnie wszystkich przewieziono do więzienia w Krzemieńcu. Tam ojcu można było już podawać paczki. Raz nawet mamie pozwolono go zobaczyć. Podprowadzono go na odległość kilku metrów. Pomachał mamie ręką i zaraz go zabrali. Zaznaczyć trzeba, że wszystko, co ojcu w paczce przekazaliśmy, to do niego docierało. Grubsze rzeczy były tylko szatkowane na drobne. Enkawudziści sprawdzali, czy nie chcemy przekazać ojcu jakichś grypsów czy informacji.

Mama przypuszczała, że ojca wywiozą na Sybir i podała mu do więzienia ciepłe ubranie, buty i kożuch. Strażnicy więzienni wszystko to ojcu przekazali. Ojciec w więzieniu siedział aż do ataku Niemiec na ZSRR. Jak Niemcy zbliżali się do Krzemieńca, to załoga więzienia w pierwszej chwili uciekła. Mieszkańcy Krzemieńca wdarli się do więzienia i rozbili pawilon żeński. Męskiego nie zdołali otworzyć, bo strażnicy więzienni wrócili. Niemcy wstrzymali natarcie na Krzemieniec. Zrezygnowali z czołowego uderzenia na miasto i obeszli je bokiem. To dało sowieckim strażnikom czas na ewakuację męskiej części więzienia. Uformowali z więźniów kolumnę i popędzili na wschód.

Ojca, który był chory na nogi, załadowano na furmankę i jechał na niej na końcu kolumny, która kierowała się na Folwarki, Rybczę, Katerburg. W Folwarkach mieliśmy kuzyna, Józefa Micewskiego. Tak się trafiło, że zobaczył on, jak tych więźniów prowadzą. Zauważył

również furmankę z ojcem. Natychmiast pobiegł na skróty przez pola, żeby poinformować matkę, że ojciec jest w konwoju prowadzonym na wschód. Mama złapała coś do jedzenia i jakiś węzełek z bielizną, licząc, że uda jej się jeszcze podać tobołek ojcu. Stanęła przy drodze, czekając na kolumnę więźniów. Strażnicy nie pozwolili jednak matce zbliżyć się do ojca. Jeden z nich uderzył ją kolbą tak, że wpadła do rowu.

Pech chciał, że tuż po przejściu kolumny z więźniami Niemcy zamknęli drogę. Wzięli całą okolicę w kleszcze i zaczęli dobijać cofające się sowieckie oddziały. Gdyby zaczęli swoją operację kilka minut wcześniej, to ojciec i inni więźniowie uniknęliby Sybiru. Tak niestety strażnicy doprowadzili więźniów na piechotę do Jampola, a tam załadowali na pociąg towarowy, który pojechał na wschód. Ojciec ostatecznie trafił do więzienia w Złotouście w obwodzie Czelabińskim na Uralu. Jak mi później opowiadał, jego cela miała charakter międzynarodowy. Siedzieli w niej Polacy, Ukraińcy i Żydzi. Tata siedział w niej aż do układu Sikorski–Majski, na mocy którego Polacy, zesłani w głąb ZSRR, zostali aresztowani. Gdyby ojciec nie był głęboko religijny, to pewnie by nie wytrzymał tej gehenny.

Na 40 dni przed ogłoszeniem amnestii miał wizję. W nocy ukazała mu się Matka Boska, która powiedziała mu; „Synu, jeszcze tylko czterdzieści dni twojej męki!”. Rano opowiedział o tym w celi. Nie wszyscy uwierzyli w jego cudowne widzenie. Niektórzy nawet drwili. Najgłośniej czynił to jakiś młody człowiek, o którym wszyscy wiedzieli, że jest kapusiem, donoszącym władzom więzienia o tym, co dzieje się w celi. Naigrywał się z ojca. Gdy zbliżał się ten czterdziesty dzień, coraz bardziej natarczywie naigrywał się z ojca. Co rusz pytał go, czy jest już spakowany. Przyszedł czterdziesty dzień, a tu nic. Nikt ojca nie zwalniał. Młody kapuś drwił już z ojca na całego. On nie zwracał na niego uwagi i spokojnie spakował

tobołki. Po obiedzie, gdy wszyscy zwątpili, czy ojca zwolnią, ze zgrzytem otworzyły się drzwi celi, wszedł strażnik i powiedział:

— Niewiński sobirajties z wieszczami!

Wszystkich w celi zamurowało. Ten młody człowiek, który najbardziej drwił z ojca, padł przed nim na kolana i zaczął całować buty, mówić:

— Niewiński prastitie.

Ojciec otrzymał zaświadczenie, że jest byłym więźniem i dostał nakaz osiedlenia się w rejonie, którego nie wolno mu było opuszczać. Gdy rozeznał się w sytuacji, uznał, że nie ma na co czekać, tylko trzeba wracać do domu. Zamysł ten jednak trudno było zrealizować. Bez dokumentów nie mógł kupić biletu na pociąg czy inny środek transportu. W grę wchodził tylko marsz na piechotę, który wydawał się karkołomny. Miejscowi ludzie przekonali jednak ojca, że tylko w ten sposób może dostać się do domu. Jak ojciec wspominał, spotkał się na każdym kroku z życzliwością ze strony zwykłych, szarych mieszkańców Rosji. Wystarczy, że powiedział o sobie „tiuremszczyk" i drzwi każdej chaty stały dla niego otworem. W każdej chacie słyszał też opowieści o aresztowanych mężach, ojcach i braciach. Z bólem opowiadał, że na całej trasie swojej ucieczki nie spotkał chaty, z której stalinowscy oprawcy by kogoś nie wywlekli lub w której by ktoś nie umarł z głodu.

Nigdzie wcześniej ojciec nie spotkał się też z taką nienawiścią do Stalina i Żydów, którzy narzucili Rosji komunizm i wszystkie związane z tym nieszczęścia. We wsiach, które ojciec mijał po drodze, nie było praktycznie mężczyzn, tylko kobiety i dzieci. W każdej panowała niewyobrażalna bieda. Często kilka kobiet zbierało jakieś produkty, żeby ojca nakarmić. Nigdy nie wypuściły go, zanim nie nabrał sił, by mógł iść dalej. Zawsze musiał się też nauczyć, kto jest na terenie danej gromady komendantem posterunku milicji i przewodniczącym rady wiejskiej. W razie gdyby go zatrzymał jakiś patrol, musiał

powiedzieć, że pochodzi z takiej a takiej wioski, należącej do gromady, w której funkcje komendanta i przewodniczącego pełnią takie a takie osoby. Musiał nadmienić też, że idzie do sąsiedniej wioski, w której ma rodzinę.

Najczęściej kobiety jednej gromady mówiły mu, gdzie ma zastukać w sąsiedniej, żeby zostać dobrze przyjęty. Gdy ojciec zbliżał się do jakiegoś niebezpiecznego punktu, typu miasteczko czy miasto, to wtedy samodzielnie go nie puszczano. Kobiety go przeprowadzały, by nie wpadł w łapy milicji czy NKWD. Ojciec po przejściu Wołgi starał się trzymać linii kolejowych, prowadzących na zachód, żeby nie zmylić kierunku. Raz wskoczył do jakiegoś składu z węglem, ale jechać na nim się nie dało, bo pociąg pędził i było strasznie zimno.

Raz ojcu nie udało się dojść do wsi przed nocą i musiał zanocować w lesie. Usiadł sobie pod jakimś drzewem i drzemał. W pewnej chwili zobaczył stado wilków, biegnące wprost na niego. Ojciec pomyślał, że to już koniec i zaczął się modlić. Nagle kilkanaście metrów przed nim wilczyca prowadząca stado się zatrzymała i zmieniła kierunek. Stado pobiegło za nią. Ojciec ocalał i ruszył dalej.

Udało mu się przejść front, który nie był szczelny i znalazł się po niemieckiej stronie, gdzieś w rejonie Konotopu. Spotkał tam kilku żołnierzy z Armii Czerwonej, którzy porzucili jej szeregi. Zorganizowali jakąś furmankę i jechali na zachód do domów. Niemcy szybko ich zatrzymali, potraktowali jako szpiegów i zamknęli w obozie jenieckim w Konotopie. W obozie tym siedziało, jak mówił ojciec, 40 tys. radzieckich jeńców. Mieścił się on w ogromnym zespole wypalonych sowieckich koszar bez drzwi i okien. Wszyscy pokotem leżeli na betonowej podłodze. Karmili ich gryką parzoną. Kto z jeńców z głodu albo z łakomstwa zjadał ją całą, ten szybko dostawał krwotoku wewnętrznego i umierał. Niełuskana gryka ma bardzo ostre brzegi, które rozcinają wnętrzności. Ojciec o tym wiedział i tylko ssał grykę, którą dostawał do jedzenia, a następnie

wypluwał. Ci, którzy tego nie robili, padali jak muchy. Ze względu na to, że była to zima na przełomie 1942 i 1943 roku, zmarłych nikt nie chował. Wyrzucano ich przez okna. Tak, że wiosną, jak ojciec opowiadał, sterty trupów sięgały pierwszego piętra. Ojciec przeżył ten najtrudniejszy okres, ale był strasznie osłabiony. W pewnym momencie uznał, że wkrótce umrze. Nie chciał być jednak jak inni wyrzucony na stertę trupów. Uznał, że jak położy się pod płotem i tam umrze, to nikomu nie będzie się chciało przenosić jego zwłok i zakopią je na miejscu. Położył się przy krzakach w rogu obozu przy płocie i zaczął żegnać się z życiem.

Gdy tak leżał, coś obok niego upadło. Okazało się, że był to zmarznięty burak cukrowy, przerzucony przez płot przez kogoś zza drutów. Miejscowa ludność starała się pomóc jeńcom. Zaczął odmrażać tego buraka pod kożuchem, a następnie ssać. To go trochę wzmocniło. W ciągu następnych nocy ojcu znów udało się znaleźć kilka buraków. Dzięki zawartej w nich glukozie ojciec odzyskał chęć do życia. Niemcy zaczęli też brać jeńców do roboty, dając im lepsze wyżywienie. Ojciec nie mógł jednak dopchać się do tej grupy. Najczęściej bowiem Niemcy potrzebowali chętnych do łopaty, do grzebania zwłok i prac porządkowych. Takich zaś w obozie nie brakowało.

Dopiero gdy Niemcy zaczęli szukać szklarzy, to ojciec bez trudu się dostał, bo z szeregu nie wystąpił nikt. Ojca zabrał oficer, który zaprowadził go do swojego biura, również pozbawionego okien. Cały czas patrzył ojcu na ręce, ale ten wywiązał się z zadania bardzo dobrze. Miał on bowiem wiele talentów i w Rybczy traktowano go jako złotą rączkę. Najpierw poklepał ojca po ramieniu i powiedział: „Gut!”. Następnie kazał ojcu usiąść i wyciągnął koniak. Postawił przed nim kieliszek, nalał i kazał pić. Sobie też oczywiście napełnił kieliszek. Ojciec przeżył wtedy rozterkę. Podczas bierzmowania złożył bowiem przyrzeczenie abstynencji i od tego czasu nigdy nie pił

alkoholu. Jak mi opowiadał, nie wiedział, co zrobić: jeżeli wypije alkohol, to złamie przyrzeczenie, jeśli odmówi, narazi się Niemcowi, któremu nie będzie mógł wytłumaczyć, dlaczego to robi. Ostatecznie ojciec wypił, mając nadzieję, że Bóg mu wybaczy, widząc, że nie robi tego z łakomstwa.

Po kilku dniach do ojca podszedł młody Ukrainiec z sąsiedniej wioski, który też dostał się do niemieckiej niewoli. Przedstawił się ojcu. Ten go rozpoznał i postanowił zaryzykować. Wypruł z ubrania nieodnalezione dotąd przez jego prześladowców złote pięciorublówki, tzw. świnki, i dał temu Ukraińcowi. Powiedział mu, że jest młody, może zdoła stąd uciec albo przekupić strażników. Poprosił go tylko, że jeżeli uda mu się wydostać z obozu, by dał znać mojej mamie, że on jest w obozie w Konotopie. Ten Ukrainiec zdołał jakoś opuścić obóz i dotrzeć do domu. Następnego dnia wsiadł na konia i na oklep do nas przyjechał. Powiedział, że ojciec jest w Konotopie i trzeba by mu jakoś pomóc. Mama pojechała wtedy do Krzemieńca. Tam jej znajomy, Stanisław Workusz, był sekretarzem Landwirta. Mama napisała pismo z prośbą o zwolnienie ojca, Landwirt go przeczytał i odpowiedział jej, że jeżeli wszystko napisane w nim jest prawdą, to ojciec w ciągu miesiąca znajdzie się w domu. Mama napisała, że ojciec został aresztowany i wywieziony przez Sowietów na Syberię. Uciekł z niej i przypadkowo trafił do obozu w Konotopie. Landwirt słowa dotrzymał. Na dwudziesty ósmy dzień od momentu wizyty matki u Landwirta ojciec był w domu.

Kto strzelał?

— Gdy ojciec wrócił, sytuacja na Wołyniu była już zmieniona radykalnie — wspomina Jan Niewiński. — Komuniści się pochowali, a wypełzli z nor nacjonaliści. Jak Sowieci uciekali, to jak wcześniej

mówiłem, w rejonie naszej wsi Niemcy wzięli ich w kocioł i wytłukli do cna. Została po tej bitwie na okolicznych polach masa broni, którą skwapliwie pozbieraliśmy i ukryliśmy. Potem się niestety okazało, że nie zawsze właściwie. Niemcy, jak zajęli Rybczę, to ją przetrząsnęli, szukając ukrytych czerwonoarmistów. Pech chciał, że w jednej ze stodół znaleźli sześciu członków „Strzelca", ubranych w mundury. Tylko guziki z orłem były obciągnięte płótnem. W takich mundurkach w czasie sowieckiej okupacji chodziło wielu chłopaków.

Niemcy, kiedy złapali tych w stodole, od razu zaprowadzili do dowództwa, mieszczącego się w szkole w Rybczy. Tam jakiś oficer uznał ich za bandytów i kazał natychmiast rozstrzelać. Wyprowadzono ich do najbliższego wąwozu i wykonano wyrok. Były to pierwsze ofiary „nowych panów" Ukrainy. Ja już w tym czasie od dawna należałem do podziemia. Na przełomie października i listopada 1939 r. przyjechał do nas do domu z Krzemieńca Henryk Sawicki, uczeń Liceum Krzemienieckiego, będący o dwie klasy wyżej ode mnie. Znałem go, bo sympatyzował z moją starszą siostrą, Jadzią. Zawołał mnie do pokoju i zaproponował mi wstąpienie do konspiracji. Poinformował mnie, że właśnie powstała Służba Zwycięstwu Polski, tworzą się jej struktury i powinienem do niej wstąpić. Oczywiście zgodziłem się i złożyłem przysięgę. Mogę więc powiedzieć, że do AK, bo przecież SZP, a później ZWZ były ich poprzedniczkami, należałem od początku istnienia tej organizacji na Wołyniu.

Rybcza wchodziła w skład obwodu Krzemieniec. Przechodził on różne koleje losu. Najbardziej rozwinęła się, gdy na jego czele stanął por. Jan Skowronek. Mieszkał on w willi pod górą Czerczą koło Liceum Krzemienieckiego. Jako kawaler żył sam. Przywoziłem mu meldunki i odbierałem rozkazy. To on kazał mi utworzyć w Rybczy dobrze zakonspirowaną grupę AK. Wybrałem do niej czterdziestu czterech młodych chłopaków, po wojsku. Wszyscy złożyli przede

mną przysięgę. Ja w tej grupie byłem najmłodszy, ale ponieważ miałem najdłuższy staż konspiracyjny, komendant obwodu mianował mnie jej dowódcą.

Wśród tej zaprzysiężonej grupy był m.in. sołtys Franciszek Mytkowski i sekretarz gromady, Marcin Mysłowski. Jej zadaniem było zbieranie broni, amunicji, prowadzenie szkolenia wojskowego. Po ogłoszeniu mobilizacji oddział miał wyruszyć do rejonu koncentracji 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty. Do tego jednak nie doszło, bo trzeba było pilnie tworzyć samoobronę przed nożami i siekierami Ukraińców. Mordy Polaków zaczęły się bowiem nasilać. Trwały one praktycznie cały czas, ale nikt nie wiedział, co oznaczają. Miały charakter pojedynczy i wszyscy uważali, że wynikają z motywów osobistych z zadawnionych porachunków. Nikt nie odbierał tego jednak jako szerszej akcji, dążącej do unicestwienia żywiołu polskiego na Wołyniu.

Od 1942 r. nocą po wsi krążył dwuosobowy patrol, który w razie niebezpieczeństwa miał ostrzec jej mieszkańców. Pełnili go na zmianę kolejno wszyscy gospodarze. Pierwszym poważnym ostrzeżeniem, że mordów nie wolno lekceważyć, był napad na majątek Liceum Krzemienieckiego w Tetylkowcach, znajdujący się oczywiście pod zarządem niemieckim. W nocy z 19 na 20 marca 1943 r. bojówka UPA wtargnęła do domu administratora majątku Leona Czepielewskiego i zamordowała go niemal wraz z całą rodziną, m.in. jego rodzicami i bratem. Uratowała się ranna żona Czepielewskiego Olga i ich 3,5-letnie dziecko. Tej samej nocy upowcy zamordowali również kowala Franciszka Malczewskiego. Poinformowałem o tym w Krzemieńcu Skowronka. On wtedy polecił mi na bazie oddziału AK w Rybczy sformowanie samoobrony. Nie było to łatwe, bo na skutek reformy rolnej, przeprowadzonej w latach 1935–1936, wieś zmieniła swój wygląd. Grunty, należące do wszystkich gospodarstw, zostały skomasowane. Te, które miały

mniej niż 5 ha ziemi, otrzymały jej dodatkowy nadział z majątku należącego do Liceum Krzemienieckiego.

Po 1936 r. nie było w Rybczy gospodarstwa posiadającego mniej niż 5 ha gruntów. Dostając ziemię w jednym kawałku, gospodarze rozbierali swoje zabudowania, budując je na nowo przy swojej ziemi. W rezultacie tego jednak Rybcza, która była dotychczas wsią skoncentrowaną, rozciągnęła się na długości niemal 10 km i zaczęło do niej należeć sporo futorów. Sytuacja ta miała swoje plusy i minusy. Duże rozciągnięcie umożliwiało obserwację sporej części terenu, ale z drugiej strony ogromnie utrudniało zorganizowanie skutecznej obrony miejscowości. Musieliśmy się na coś zdecydować. Priorytetem dla nas stało się przede wszystkim ocalenie ludności.

Utworzyliśmy dwa bastiony obronne. Jeden w oparciu o murowaną szkołę, a drugi odległy o jakiś kilometr od niej, bazujący na naszym gospodarstwie. Jako jedyne we wsi miało ono murowane budynki, kryte blachą i dachówką. W punktach tych na noc miała się gromadzić ludność z najbardziej odległych gospodarstw miejscowości. Oba bastiony były przygotowane do obrony okrężnej. Zorganizowano wokół nich stanowiska ogniowe, połączone rowami strzeleckimi, pobudowano schrony i bunkry. Schronienia w szkole mógł szukać każdy, natomiast w naszym gospodarstwie tylko wytypowane rodziny, w ten czy inny sposób związane z konspiracją. W nim bowiem mieściło się jej centrum. Działał tu m.in. zakład rusznikarski, w którym remontowano i czyszczono broń. Tu odbywały się różne spotkania i narady, o których nie każdy musiał wiedzieć. Większość mieszkańców Rybczy nie miała pojęcia, że samoobrona jest oparta na AK i że ja jestem dowódcą oddziału działającego w wiosce. Choć cała samoobrona podlegała mnie, to ze względów operacyjnych dowodziłem jej bastionem wokół naszego gospodarstwa, a nad bastionem „szkolnym” pieczę sprawowali wymienieni wcześniej Franciszek Mytkowski i Marcin Mysłowski.

Staraliśmy się od samego początku zdobyć jak najwięcej broni. Broń pozbierana w 1941 r. na pobojowisku koło Rybczy niestety nie zawsze nadawała się do użytku. Niektóre sowieckie karabiny, zakopane w ziemi, bez odpowiedniego zabezpieczenia zardzewiały. Staraliśmy się je naprawiać i dorabiać brakujące elementy. Pomagał nam w tym wachmistrz Henryk Butyński, który w przypadku wymarszu plutonu na koncentrację był przewidziany na jego dowódcę. Na stałe mieszkał on z rodziną w Krzemieńcu, a do nas przyjeżdżał na tydzień, dwa. Z zawodu był on kowalem i podkuwaczem koni, znającym się na rusznikarstwie. Dorabiał części do karabinów, które ja następnie przestrzeliwałem na polu, żeby sprawdzić, czy nadaje się do użytku. Było to zajęcie niebezpieczne. W Katerburgu stacjonował pluton żandarmów. Gdy tylko usłyszeli strzały, zaraz do Rybczy przyjeżdżał ich patrol i pytał: „Kto strzelał?”.

Dalsze przedłużanie tej sytuacji mogło być groźne. Musieliśmy za wszelką cenę zdobyć legalną broń, służącą jako przykrywka dla tej nielegalnej. Pojechałem do Krzemieńca, w którym mieszkała moja najstarsza siostra, Jadzia. Poprosiłem ją, by poprzez sekretarza Landwirta, Stanisława Wolkusza, wyjednała dla Rybczy przydział broni.

W Wielki Czwartek 1943 r. do Rybczy przyjechał patrol niemiecki, który przywiózł 14 krótkich francuskich karabinków kawaleryjskich, a także po 20 nabojów do każdego z nich. Wraz z bronią, jak się to teraz mówi, w pakiecie Niemcy przywieźli jeszcze śląskiego volksdeutscha, takiego pana Schramka, któremu Landwirt polecił zorganizować oddział Schutzmanschaffen, czyli niemieckiej policji pomocniczej. Powstała dziwna sytuacja. Musieliśmy go jakoś zneutralizować. Wykorzystaliśmy do tego mojego wujka, Stefana Gołębiowskiego, osadnika Białozórki, który schronił się w Rybczy przed ukraińskimi nożami. W sprawy konspiracji nie został wciągnięty, bo lubił sobie popijać i ojciec nie czuł do niego sympatii.

Postanowiliśmy umieścić go w szkole na poddaszu, na którym były dwa pokoje. W jednym zamieszkał on, a w drugim Schramek. Jednocześnie oficjalnie mianowaliśmy wuja Gołębiowskiego dowódcą samoobrony w Rybczy. To on oficjalnie podpisał odbiór tych dwunastu karabinków, przywiezionych przez Niemców.

Zaczęły więc funkcjonować dwa kierownictwa samoobrony: oficjalne i konspiracyjne. Zadaniem szefa oficjalnego było, rzecz jasna, tylko upijanie Schramka, żeby za bardzo nie chodził po wsi i nie węszył. W tym czasie nasza miejscowość gwałtownie zaczęła się zaludniać uciekinierami z mordowanych okolicznych miejscowości. Pierwsza ich fala ruszyła najpierw do Krzemieńca, który jako miasto powiatowe wydawał się najbezpieczniejszym schronieniem. Niemcy zaraz tę grupę podzielili. Młodzież wywieźli na roboty do Niemiec, starców i dzieci pozostawili. Druga fala już do Krzemieńca się nie kierowała, tylko przyjechała do Rybczy. W sumie latem 1943 r. we wsi mieszkały około trzy tysiące osób!

W czerwcu 1943 r., w efekcie przeludnienia i braku odpowiednich warunków higienicznych, we wsi wybuchła epidemia tyfusu i czerwonki. Nie dysponowaliśmy niestety odpowiednią ilością środków dezynfekcyjnych, opatrunkowych i mydła. Z ramienia Komitetu Opieki nad Uchodźcami w Krzemieńcu do Rybczy przyjechała Irena Sandecka i podjęła działania mające na celu ograniczyć epidemię.

Problemy sanitarne nie były jedynymi, z którymi musieliśmy się borykać. Kłopotów dostarczał nam również Schramek. Nasze gospodarstwo wydało mu się podejrzane. Dwukrotnie sprowadził do niego niemieckich żandarmów, którzy przeprowadzili w nim rewizję. Na szczęście nigdy nic w nim nie znaleźli. Schramek usiłował też tworzyć oddział Schutzmannschafen, werbował chłopaków. Na jego potrzeby Niemcy przywieźli jeszcze osiemnaście belgijskich karabinów z I wojny światowej. Była to broń przestarzała, ładowana

pod lufę i pełniła funkcję dekoracji. Karabiny te ustawiliśmy na stojakach w szkole. Nigdy jej nie używaliśmy, mieliśmy wystarczającą ilość własnej. Dzięki niemieckiej broni mogliśmy bez obaw przestrzeliwać swoją. Niemcy, jak usłyszeli strzały w naszej okolicy, to już się nimi nie interesowali.

Nasza wieś znajdowała się stale pod obserwacją UPA. Do lutego 1943 r. przez naszą wieś, przez którą biegł trakt jampolski, bardzo uczęszczany, stale jeździli Ukraińcy z okolicznych wsi. Od lutego to się wszystko urwało i przez Rybczę nie przejechała ani jedna ukraińska fura. Ukraińscy gospodarze korzystali z dłuższej, okrężnej i gorszej drogi. Był to dla nas znak, że stajemy się samotną polską wyspą, izolowaną przez Ukraińców.

Jak zorientowali się, że utworzyliśmy samoobronę, sprawdzali kilkakrotnie naszą czujność. Robili taki numer: puszczali nocą konia z wozem z lejcami przywiązanymi do kłonicy. Chcieli w ten sposób sprawdzić, czy wieś jest pilnowana, czy nie. Jeżeli bowiem koń z wozem spokojnie przejechałby wieś, znaczyłoby to tyle, że nikt w niej nie czuwa i można spokojnie zająć ją nagłym uderzeniem. Dwukrotnie takie puste furmanki zatrzymywaliśmy, doprowadzając pewnie upowców do wściekłości. Sprawili nam bowiem niechcący prezent. Przysyłali też swoich szpiegów, żeby rozpoznali nasze siły. Nie wiem, czy wszystkich udało się nam wytropić, ale trzech, o ile pamiętam, złapaliśmy. Placówka wysunięta na południe zatrzymała którejś nocy studenta ze Lwowa, usiłującego zakraść się do wioski. Został zaprowadzony do szkoły i wsadzony do zaimprowizowanego aresztu, mieszczącego się w piwnicy. Cztery dni go przesłuchiwaliśmy, nie powiedział nic. Gdy na piąty dzień prowadzono go na przesłuchanie, usiłował uciekać. Dostał kulę, ginąc na miejscu. Innym razem zwiadowcy UPA usiłowali rozpoznać sytuację w Rybczy, udając patrol niemiecki. Do wioski zostali wpuszczeni, bo wiadomo, że z Niemcami nikt nie chciał i nie mógł

zadzierać. Jeden z tych Niemców wydał się jakiś podejrzany. Za bardzo się rozglądał. Zatrzymaliśmy patrol i okazało się, że wszyscy jego członkowie są Ukraińcami. Ze wsi już nie wyszli. Wszyscy zostali rozstrzelani.

By nie dać się zaskoczyć, stale musieliśmy być skoncentrowani i trwać w pogotowiu. To zaś nie było łatwe. Gdy członkowie konspiracji ostrzegali, że atak UPA może nastąpić lada chwila, to ludzie brali się w garść. Kiedy UPA nie uderzała, to wśród mieszkańców wsi następowało rozprzężenie i przestali dostrzegać zagrożenie. Gdy spokój panował dłuższy czas, to ludzie już i na warty nie chodzili tak jak trzeba, a ci z gospodarstw najdalej położonych nie przyjeżdżali do centrum wsi, tylko w nich nocowali. Jak chodziłem kontrolować posterunki, to zastawałem ich członków grających w karty albo pijących bimberek z dziewczynami!

Gdyby wtedy UPA uderzyło, to czapkami by nas nakryło. Musiałem to jakoś dyscyplinować. Najczęściej odbywało się to następująco: brałem ze sobą dwóch adiutantów — Zygmunta Kosa i Newskiego. Szliśmy od strony, w której panował największy rozgardiasz, puszczaliśmy serię z automatu, przeciskaną pociskami świetlnymi. Robiło to piorunujące wrażenie. Wszyscy, którzy zaniedbywali środki ostrożności, nagle podrywali się. Ci, którzy do tej pory nie przejechali w rejon szkoły, biegiem pędzili w jej stronę. Matki łapały dzieci, mężczyźni zaprzęgali furmanki. Wszyscy myśleli, ze napastnicy są tuż, tuż i zaraz zacznie się rzeź. Czasami mam wyrzuty sumienia, że byłem przyczyną takiego alarmu, ale innego wyjścia nie było. Po takim gwałtownym poderwaniu przez kilka tygodni wszystko w samoobronie chodziło jak w zegarku. Nikt nie kwestionował zarządzeń dowództwa samoobrony. Dzięki temu Rybcza przetrwała, a w maju 1943 r. w dekanacie krzemienieckim, do którego Rybcza należała, szereg parafii już nie istniało, m.in. parafia Kąty. Choć obroniła się ona przed atakiem, ponosząc straty, to jej mieszkańcy

opuścili wieś i przenieśli się do Krzemieńca. Same Kąty zostały przez UPA spalone. Mocno ucierpiały też parafie Szumsk, Dederkały i Szumbar. W Katerburgu trwał na posterunku ks. Dominik Wyrzykowski, który jeszcze przed wojną został w niej proboszczem. Kapłan ten, urodzony w 1885 r. i wyświęcony w 1913 r., nie bał się Ukraińców. Mieszkał sam z gospodynią Teresą, starszą osobą. W tym czasie w Katerburgu mieszkali już tylko sami Ukraińcy. Ks. Dominik, ponieważ tam była siedziba parafii, nie chciał opuszczać Katerburga. Odprawiał Mszę św., dzwonił na Anioł Pański. Codziennie dawał znać, że parafia w Katerburgu na przekór trudnej sytuacji istnieje.

Dwa ataki UPA

— Ksiądz Dominik Wyrzykowski był bardzo szanowany przez Ukraińców i dlatego sądził, że jest z gospodynią w Katerburgu bezpieczny — wspomina Jan Niewiński. — Kilkakrotnie był przez nich ostrzegany, żeby wyjechał, bo grozi mu niebezpieczeństwo. On jednak trwał w przekonaniu, że nic mu nie będzie. Któregoś dnia przyszli jednak do niego trzej ukraińscy sąsiedzi, którzy poinformowali go, że jeżeli dzisiaj z Katerburga się nie wyniesie, to w nocy zostanie zamordowany, bo oni nie będą w stanie już go obronić! Ksiądz nadal nie chciał wyjechać z Katerburga. Na szczęście rozmowę Ukraińców z nim usłyszała gospodyni Tereska. Nałożyła jakąś kapocinę i przybiegła do Rybczy.

Natychmiast wysłałem do Katerburga dwunastu chłopaków z bronią z wyraźnym rozkazem — niezależnie od tego, co ksiądz im powie, mają go siłą posadzić na furmankę i przywieźć do Rybczy. — Pojechał z nimi mój ojciec, który z księdzem był zaprzyjaźniony. Chłopaki się dobrze spisali. Zapakowali księdza z bambetlami na furmankę i przywieźli do Rybczy. Ojciec wymontował zaś z dwoma

mechanikami dzwon z dzwonnicy i też przywieźli do Rybczy. Księdza Dominika zawieźliśmy od razu do Krzemieńca. Proboszcz tamtejszej parafii został właśnie aresztowany i on objął jego obowiązki. Dzwon zakopaliśmy koło kościoła. Przed kilkoma laty został wydobyty i dziś dzwoni w odbudowanym kościele w Szumsku. W czasie gdy ksiądz Dominik proboszczował w Krzemieńcu co drugą niedzielę, przywoziliśmy go do Rybczy.

Tam, na zaimprowizowanym ołtarzu, odprawiał on dla nas mszę świętą. Jakoś dotrwaliśmy do żniw, które mieszkańcy Rybczy przeprowadzili pod osłoną patroli samoobrony. Tu może trzeba zaznaczyć, że w owym czasie mieliśmy też we wsi ruchomy dobrze uzbrojony oddział złożony z wolnych strzelców, którzy napłynęli do niej razem z uciekinierami z polskich wsi w okolicy. Należeli do nich mężczyźni przeważnie po wojsku. Wśród nich wyróżniali się trzej bracia Ludwiccy, trzej bracia Jaszczewscy i jeszcze kilku innych podobnych familii braci, których nazwisk niestety nie pamiętam. Grupa tych chłopaków nie wtapiała się w naszą samoobronę, ale najczęściej krążyła po okolicy, osłaniała wyprawy do opuszczonych wsi, w których mieszkańcy ukryli zapasy żywności itp. Działalność tej grupy była dla nas wygodna, bo ta, często pokazując się w różnych miejscach, sprawiała wrażenie, że w okolicy działa silny polski oddział partyzancki. Grupa ta dokonywała również rozpoznania, informowała nas, co dzieje się w terenie itp. Wstąpił do niej także mój kuzyn, Heniu Kozłowski z Łanowic. Banda UPA wymordowała całą jego rodzinę, łącznie siedem osób. On ocalał, bo akurat nie było go w domu. Ten chłopak szalał! Szukał śmierci, działał brawurowo i bardzo operatywnie. Także dzięki niej Ukraińcy byli przekonani, że Rybcza jest doskonale przygotowana do odparcia ataku ze strony UPA. Atak ten nastąpił 5 sierpnia 1943 r. Ja wtedy miałem taki tryb życia: w dzień spałem, a w nocy obchodziłem posterunki. Tej krytycznej nocy o północy wziąłem ze sobą dwóch sowich

adiutantów, owych Zygmuntów, o których wspominałem i obeszliśmy wszystkie posterunki. Była cisza jak makiem zasiał. Nawet pies nie zaszczekał. Gdy wróciliśmy do siebie, ledwie zdążyłem odłożyć dwa granaty i pistolet, popuścić pas i położyć się na pryczy, żeby trochę wypocząć i w tym momencie usłyszałem na swojej placówce wystrzał. Poderwałem się, wyskakując ze stodoły, w której miałem kwaterę, zobaczyłem, że skrajne zabudowania wsi już płoną, a wysunięte placówki, ostrzeliwane, cofają się na drugą linię obrony. Kazałem oddać w stronę płonących zabudowań kilka serii z karabinu maszynowego. Strzelaliśmy na oślep, licząc, że Polaków tam już nie ma, a tylko podpalacze.

Gdy próbowałem jakoś ogarnąć sytuację, nagle zobaczyłem, że niebezpieczeństwo zaczęło zagrażać bezpośrednio nam. Upowcy usiłowali się podkraść i podpalić z rakietnic zabudowania Grządkowskiego. Gdyby im się to udało, to wybuchłby wielki pożar, bo budynki te były pokryte słomą i płonęłyby jak zapałka. Łuna oświetliłaby oba bastiony oporu, zorganizowane, jak wcześniej mówiłem, na bazie szkoły i naszego gospodarstwa, a napastnicy mieliby je jak na dłoni. Upowcy usiłowali podkraść się do zabudowań Grządkowskich, czołgając się przez nieskoszone jeszcze zboże. Gdy jednak puściliśmy tam kilka serii, to się wycofali. Później rano sprawdziliśmy ten teren i znaleźliśmy sporo krwi. Któryś z napastników lub kilkoro z nich zostało rannych. W sumie bój z UPA trwał do czwartej trzydzieści. Upowcy wycofali się, gdy się rozwidniło.

Atakowała nas ogromna chmara ludzi. Gdy oświetliliśmy przedpole rakietami, to z przerażeniem zobaczyliśmy, że otaczają nas trzy pierścienie napastników. Pierwszy stanowili strzelcy uzbrojeni w broń krótką i rakietnice do oświetlania terenu. Wraz z nimi szli też podpalacze z pochodniami. Torowali oni drogę dla drugiego szeregu, realizującego właściwe natarcie. Byli dobrze uzbrojeni w broń

strzelecką. Za nimi szli chłopi z widłami, cepami, siekierami itp. Ich zadaniem było niedopuszczenie do tego, by ktokolwiek z Rybczy się wymknął. Po wymordowaniu mieszkańców chłopi mieli też dokonać rabunku ich majątku. Gdy wszyscy członkowie samoobrony znaleźli się na stanowiskach, udało się nam opanować sytuację i zatrzymać upowców. Nie odważyli się oni na zaatakowanie bezpośrednio naszych dwóch bastionów. Nie spodziewali się tak silnego oporu.

Gdy walka ustała, ruszyłem na obchód wioski, żeby zobaczyć, jakie straty poniosła podczas ataku. Okazało się, że nie były one tak wielkie, jak przypuszczałem. Większe poniosła część wioski od strony wschodniej. Trzy osoby zginęły. Tylko Apolinary Dąbrowski padł od pocisku. Wiktor Grządkowski doznał ciężkich poparzeń. Piotra Piotrowskiego, siedemdziesięcioletniego staruszka, który nie mógł z powodu pylicy opuszczać domu, oprawcy brutalnie zamordowali. Obcięto mu uszy, wydłubano oczy, zdarto paznokcie. Upowcy wyładowali na nim swoją wściekłość za to, że nie udało im się zdobyć Rybczy.

Kilka osób zostało w wyniku napadu UPA rannych. Spłonęło też około czterdzieści budynków w większości gospodarczych, które stały z brzegu zabudowań. Mieszkańców Rybczy atak UPA bardzo przestraszył. Wielu z nich chciało się natychmiast wyprowadzić do Krzemieńca! Około godziny 12 na środku wioski uformowała się kolumna złożona z kilkudziesięciu furmanek. Podszedłem do nich z kilkoma kolegami tłumaczyć, żeby tego nie robili, bo w Krzemieńcu też długo nie zabawią, Niemcy wywiozą ich wszystkich na roboty. Ci nie chcieli jednak mnie słuchać. Moja argumentacja ich jednak nie przekonała. Niektórzy wręcz mnie wyśmiali, mówiąc, że mnie łatwo jest zachęcać ich do pozostania we wsi, bo wszystkie budynki mam całe, a oni nie. Niektórzy wręcz mi zarzucali, że chcę ich zatrzymać po to, by bronili mojego gospodarstwa. Widząc, że moja perswazja do nich nie trafia, cofnąłem się, wziąłem tych swoich dwóch

adiutantów, wsiedliśmy na konie i popędziliśmy na przełaj przez pole, kierując się w stronę ukraińskiej wsi Folwarki.

Zaczailiśmy się przed nimi na takiej górze i gdy kolumna wozów z Rybczy wjeżdżała w taki wąwóz, puściliśmy nad nią kilka serii pocisków świetlnych. Kolumna stanęła i wozy zaczęły zawracać i pędzić w stronę Rybczy. Bali się jechać dalej w stronę Krzemieńca, bo myśleli, że zaatakowali ich Ukraińcy z Folwarków, w których UPA miała wielu zwolenników. Polacy, chociaż musieli, bali się przez nią jechać. Dochodziło w nich do różnych incydentów. Jednego razu nawet jakaś grupa Polaków została ostrzelana. Po tym zdarzeniu ostrzegliśmy sołtysa Folwarków, że jeżeli taki przypadek się powtórzy, to wieś pójdzie z dymem. Od tej pory Polaków nikt już we wsi nie atakował. Rybczanie, przestraszeni przeze mnie, ruszyli do wioski. Ich emocje opadły i do wieczora dali się przekonać, żeby zostać w wiosce.

Gdyby wtedy wyjechali do Krzemieńca, to ci, co w niej zostali, mieliby kłopoty z jej obroną. Upowcy, gdyby nas zaatakowali, zgnietliby najpierw jeden bastion przy szkole, później zabraliby się za kolejny przy naszym gospodarstwie. Baliśmy się zaś, że upowcy szybko atak powtórzą. Tak się jednak nie stało. W następnych miesiącach wielu mieszkańców Rybczy i uciekinierów wyjechało na własną rękę do Krzemieńca, na co już nie było rady. Liczba obrońców się zmniejszyła, a zagrożenie nie minęło. Doszło więc w Rybczy wręcz do paradoksalnej sytuacji, niespotykanej w innych ośrodkach samoobrony. Mieliśmy dużo broni, a nie miał kto jej nosić. Gdy nie było chłopaków i mężczyzn, dziewczęta musiały brać na ramiona karabiny i chodzić na warty. Najgorzej było w słotne, jesienne noce, kiedy dosłownie z chaty wyjść się nie chciało, a na warty trzeba było niestety chodzić, bo od tego zależało przecież nasze bezpieczeństwo. Napad UPA mógł przecież nastąpić w każdej chwili.

W tym czasie wszystkie polskie wsie i polskie gospodarstwa we wsiach ukraińskich były już spalone. UPA nękała nas też stałymi podjazdami. Jej działania były obliczone raczej na doprowadzenie do zmęczenia obrońców przed atakiem głównych sił niż zdobycie Rybczy, ale były bardzo dokuczliwe. Musieliśmy przecież wszyscy normalnie żyć, pracować, wykonywać wszystkie czynności niezbędne dla funkcjonowania gospodarstwa. Mieliśmy ogromne trudności w opanowaniu sytuacji i w stałym mobilizowaniu ludzi, żeby to wszystko wytrzymali. Mimo rozpaczliwego stanu rzeczy jakoś trwaliśmy.

W okresie Bożego Narodzenia wysłaliśmy do Krzemieńca, o ile dobrze pamiętam, dwa wozy z mąką, ziemniakami, owsem dla przebywających w nim uchodźców, którzy klepali straszną biedę. Przetrwaliśmy jakoś do 20 lutego 1944 r., gdy front wschodni zaczął się do nas zbliżać. Wtedy UPA po raz drugi podjęła próbę zajęcia Rybczy. Pamiętam, że dzień był mroźny. W nocy bowiem temperatura spadła do minus 20 stopni. W dzień mróz nieco zelżał, ale wciąż dawał się we znaki. Gdzieś koło południa coś mnie tknęło. Uznałem, że trzeba skontrolować posterunki. Przypiąłem narty i razem z tymi dwoma Zygmuntami, którzy zawsze byli przy mnie, udałem się na posterunek strzegący Rybczy od strony Katerburga. Droga do miasteczka biegła w takiej niecce i z posterunku znajdującego się na jej szczycie widać było drogę na jakieś półtora kilometra.

Gdy podjechałem na posterunek, od razu zobaczyłem, że od strony Katerburga zbliża się do nas jakaś czarna nitka. Kiedy podjechałem bliżej i spojrzałem przez lornetkę, zobaczyłem, że na drodze do Rybczy stoi cała kolumna furmanek. Na każdej z nich siedziało pięciu albo sześciu bojców z karabinami na sztorc. Nie bardzo jednak mogłem przez lornetkę zobaczyć, kim są żołnierze siedzący na tych furmankach. W owym czasie, gdy zbliżał się front, oddziały UPA

cofały się na południe w stronę Galicji. Tam też maszerowały oddziały partyzantki sowieckiej. Obie te formacje używały podobnych mundurów, w znacznej mierze niemieckich i trudno było rozpoznać, która akurat jest przed nami. Na wszelki wypadek kazałem obu Zygmuntom cofnąć się do Rybczy i ogłosić alarm. Sam zaś podjechałem jeszcze bliżej Katerburga, żeby lepiej przyjrzeć się partyzantom, którzy do nas zmierzają. Ze względu na to, że na drzewach nie było liści, gdy podjechałem do miejsca, z którego widziałem cały rynek w Katerburgu i część targowiska, dostrzegłem, że całe miasteczko jest zatłoczone furmankami, wokół których kręcą się ludzie. Wciąż jednak nie mogłem rozpoznać, kim są.

W Rybczy tymczasem ogłoszono alarm. Przy szkole mieliśmy taką syrenę strażacką, której wyciem podrywaliśmy wszystkich mieszkańców, że zbliża się niebezpieczeństwo. Słyszałem, że syrena wyła długo, czyli że ludzie z ociąganiem zajmowali swoje stanowiska. Byli zdezorientowani, nigdy bowiem dotąd syrena nie wyła w dzień, zawsze w nocy. Początkowo ludzie myśleli, że to jakiś pożar, ale jak nie zobaczyli dymu ani łuny, to zrozumieli, że może zbliżać się atak. Z grupą dobrze uzbrojonych członków samoobrony stanęliśmy przy skrajnym posterunku, czekając na rozwój wypadków. W grupie tej był też sołtys i sekretarz gminy.

Gdy zaczęło szarzeć, od strony Katerburga, traktem jampolskim, w stronę Rybczy ruszyła czarna masa. Szła całą jego szerokością, która wynosiła około 50 metrów. Jakiś kilometr przed naszą linią obronną ta czarna masa nagle się zatrzymała. Po chwili oderwał się od niej czarny punkcik, który zaczął się do nas przybliżać. Okazało się, że jest to parlamentariusz na koniu, trzymający w ręku tyczkę z białym prześcieradłem. Obszedłem tego parlamentariusza naokoło i widzę, że przyjechał na ślicznym, gniadym, pięknie utrzymanym koniu. Siedzi na nowiutkim niemieckim siodle i tylko uzda konia była sporządzona ze sznurka. Jeździec był ubrany w zielone spodnie,

sowiecki szynel, a na głowie miał budionnówkę z kołpakiem i z czerwoną gwiazdą. Gwiazdę na czapce miał za dużą. Była ona ze trzy razy większa od tej, której używali Sowieci. Ta uzda ze sznurka też mi nie pasowała. Wyglądała na sporządzoną naprędce, by przypominała sowiecką. U Sowietów, owszem, takie uzdy ze sznurków się widziało, ale u ich kawalerzystów nie tylko uzdy, ale cała uprząż i siodło też były dziadowskie. Ten kawalerzysta miał zaś siodło wręcz wzorcowe. Wypowiedź tego posłańca też mi się nie podobała. Oświadczył on, że jest wysłannikiem dużej grupy sowieckich partyzantów, która ma wykonać w tej okolicy ważne zadanie i w związku z tym musi w Rybczy stanąć na kwaterze. Ja wtedy odpowiedziałem, że o ile znam się na sprawach wojskowych, to jeżeli jakiś oddział szuka kwater, to wcześniej przysyła kwatermistrzów, którzy je wybierają i przygotowują, a oni zaś cały dzień stali w dużej miejscowości i nagle przed nocą chcieli znienacka wjechać do małej miejscowości.

Twardo oświadczyłem, że w takiej sytuacji my ich do wioski nie wpuścimy. „Jak chcecie u nas kwaterować, przyjedźcie jutro rano, to zobaczymy" — dodałem. Jeździec zaklął i popędził do swoich. Wtedy niektórzy członkowie samoobrony, będący świadkami mojej rozmowy z tym bojcem, zaczęli się łamać i mówić, że może trzeba ich wpuścić, bo jak są to partyzanci sowieccy, to zaraz ruszą na wieś i wszystkich wymordują. Na pomoc, na szczęście, przyszedł sołtys, który uciął dyskusję. Za kilka minut ten sam jeździec przygalopował na koniu jeszcze raz i oświadczył nam, że ma przekazać, że oddział otrzymał od dowódcy rozkaz wejścia do wioski i czy my chcemy, czy nie, wykona go, tyle że gdy wejdzie siłą, to będzie dla nas gorzej. Wtedy ja jeszcze raz twardo oświadczyłem, że absolutnie nikogo do wsi nie wpuścimy! Na poparcie tych słów grupa chłopaków, mających najlepszą broń, wystąpiła do przodu. Jak ten jeździec zobaczył tyle luf broni automatycznej, znów zaklął, zawrócił konia i popędził do

swoich. Przez lornetkę zobaczyłem, jak czerń stojąca na drodze zaczęła się cofać do Katerburga.

„Chociaż bez korony”

— Do Rybczy owa kolumna, podająca się za sowieckich partyzantów, nie wjechała — wspomina Jan Niewiński. — Okazało się szybko, że nie wpuszczając jej do wioski, wykazaliśmy się ogromną czujnością. Gdybyśmy to zrobili, wszyscy zostalibyśmy wyrżnięci. Ta ogromna kolumna furmanek wiozła upowców, którzy podstępem chcieli zająć Rybczę, żeby ją zniszczyć. Jak im jednak wysłany parlamentariusz oświadczył, że jesteśmy dobrze uzbrojeni, to zrezygnowali z ataku, mimo że mieli miażdżącą przewagę. Po prostu się wystraszyli.

Herosi z UPA byli dobrzy w mordowaniu bezbronnych, zwłaszcza kobiet i dzieci. Gdy napotykali opór dobrze uzbrojonych ludzi, to najczęściej uciekali. Swoją wściekłość wyładowali w Wiśniowcu, gdzie użyli tego samego podstępu, który nie wyszedł im w Rybczy. Wtargnęli do klasztoru karmelitów i zamku Wiśniowieckich, bestialsko mordując około trzystu Polaków, w tym głównie starców, kobiet i dzieci. Traf chciał, że w zamku w Wiśniowcu schroniła się pochodząca z Rybczy córka Stefańskiego, Waleria Hocholewska, z dwojgiem dzieci. Jakimś cudem udało im się wyjść cało z tej rzezi. Schronili się w grobach Wiśniowieckich, znajdujących się w parku koło starej cerkwi u podnóża zamku. Odsunęła niezbyt ciężką płytę i razem z dziećmi schroniła się w środku. Przesiedzieli tam do rana. Później zostawiła te dzieci w grobie i sama ruszyła do Rybczy do rodziców, pokonując ze 30 km. Jak dowiedziałem się o tej tragedii, natychmiast wysłałem z nią ze 20 chłopaków do Wiśniowca. Odnaleźli te dzieci. Miały odmrożone rączki i nóżki, ale jeszcze niezbyt groźnie. Opatulone, przywieźli je do Rybczy.

Później ich matka opowiadała nam wszystkim o dantejskich scenach, których przez kilka minut była świadkiem. Pojedynczym Polakom udało się uniknąć rzezi, ale później byli wyłapywani przez upowców i mordowani. Ze źródeł ukraińskich, a zwłaszcza wspomnień Maksyma Skorupskiego, dowiedziałem się, że dowódca kolumny UPA uznał Rybczę niemal za twierdzę i dlatego zrezygnował z ataku na nią. Pisze on m.in.: „Idąc koło wsi Rybcza, pułkownik Ihor miał zamiar zniszczyć podstępem polską wieś, ale Polacy byli ostrożni i dobrze uzbrojeni i ten zamiar nie udał się. Tak dojechaliśmy do Wiśniowca".

Śmiać mi się chciało z „przebiegłości" i „bohaterstwa" tego pułkownika Ihora. W jego kolumnie jechały na furmankach około cztery tysiące ludzi. Gdyby chcieli zająć Rybczę, to by nas zmietli. Oczywiście opór byśmy im stawili, ale jak długo moglibyśmy się bronić? Po paru godzinach by nas wzięli i wyrżnęli. Zabrakło im na to jednak odwagi. Co innego, gdybyśmy byli bezbronni. Wtedy by ogłosili zapewne, że udało się im zniszczyć ważny polski ośrodek… Sowieci wkroczyli do nas dopiero 15 marca. Przez ponad trzy tygodnie żyliśmy praktycznie na obszarze ziemi niczyjej. Niemcy się zewsząd wycofali, a Sowieci nie przejmowali kontroli nad naszym obszarem. UPA szykowało się do zajęcia Krzemieńca przed wkroczeniem Armii Czerwonej i wyrżnąć zgromadzonych tam Polaków. Dla nas był to bardzo ciężki okres. Wszyscy mobilizowali się do trwania na posterunkach ostatkiem sił. Przed wejściem Sowietów byliśmy już skrajnie wyczerpani.

Gdy władza sowiecka zaczęła się umacniać, to w cztery dni po jej zainstalowaniu na podwórko naszego gospodarstwa zajechała furmanka, na której siedział kapitan NKWD. Ja akurat byłem na podwórku. Zawołał mnie, kazał wsiadać do furmanki i jechać za nim. Zawieźli mnie na posterunek milicji. Byłem pełen najgorszych przeczuć. Kapitan na posterunku przekazał mnie drugiemu

kapitanowi. Ten oświadczył mi, że do domu już nie wracam, ale zostaję w Krzemieńcu. — Byłeś w samoobronie, znasz upowców, będziesz pomagał nam ich wytępić — powiedział, ucinając rozmowę. — Zaprowadzili mnie do sali, gdzie było już trochę chłopaków. W sumie do oddziału tego należało około trzystu ludzi. Używano nas głównie do służby wartowniczej i patrolowej na terenie Krzemieńca, czasami wyjeżdżaliśmy w teren. Trwało to jakiś czas, od 19 marca do 12 maja.

W nocy z 11 na 12 maja stałem na warcie przy siedzibie NKGB. Tuż po jedenastej do stojącego pod nią Willisa wsiadło trzech oficerów i pojechało. Za jakieś piętnaście minut wrócili i przywieźli ze sobą por. Żółkiewskiego z krzemienieckiej struktury AK. Znałem go, mieliśmy z nim kontakty w sprawie zdobywania broni. Zobaczył mnie i poznał, choć nie dał tego do zrozumienia enkawudzistom. Jak ci go zaprowadzili, to zaraz wrócili do samochodu i znów pojechali. Po jakichś dwudziestu minutach wrócili i przywieźli ze sobą Irenę Sandecką. Kilka minut później usłyszałem przeraźliwy kobiecy krzyk. Myślałem, że to ją zaczęli bić. W nocy w siedzibie NKGB prowadzono bowiem przesłuchania. Dopiero po wielu latach, gdy się z nią spotkałem, dowiedziałem się, że jej akurat nie bili i obchodzili się z nią w miarę grzecznie, a po pewnym czasie zwolnili.

Ja, kiedy tylko służba mi się skończyła, udałem się na posterunek, odstawiłem karabin na stojak i pomaszerowałem na Tunicką. Tam mieszkał znany mi członek konspiracji krzemienieckiej, Bołajewski, jedyny polski policjant, który, ukrywając się, uratował się przed sowieckim aresztowaniem. Znałem się z nim dobrze z okresu, gdy uczęszczałem jeszcze do Liceum Krzemienieckiego. Jego córka trochę mnie kokietowała, trochę ja ją. Mieliśmy bardzo bliskie relacje. Później spotkaliśmy się już w krzemienieckiej konspiracji. Poinformowałem go, że Sowieci wpadli na trop naszej siatki i poprosiłem, żeby ostrzegł, kogo się da, aby mieli się na baczności.

Poprosiłem go też, by dał znać mojej rodzinie, że rano idę do wojenkomatu, żeby mi dali skierowanie do polskiego wojska. Ten wywiązał się z zadania i przekazał wiadomość rodzicom do Rybczy. Ostrzegł też zapewne pozostających jeszcze w Krzemieńcu członków konspiracji, że polowanie na nich jest już rozpoczęte.

Jeszcze przed wizytą w wojenkomacie postanowiłem wstąpić do znajomych, żeby się pożegnać. Mieszkali oni przy Rogatce Dubieńskiej. Jednym z nich był pan Markowski. Zarządzał on gospodarstwem pomocniczym przy kopalni węgla brunatnego, mieszczącej się pobliżu. Był on przyjacielem rodziców i jeżdżąc do Krzemieńca w celach konspiracyjnych, dostarczałem mu żywność, bo w Krzemieńcu zawsze jej brakowało.

Obok Markowskiego mieszkali Domańscy, których poznałem przez ich córkę Wandę, z którą chodziłem do Liceum Krzemienieckiego. Przyjaźniłem się z nią i często bywałem w jej domu. Gdy dowoziłem żywność do Markowskiego, to też wstępowałem do Domańskich. Często wtedy spotykałem u nich taką tęgą kobietę, którą Wanda przedstawiła mi jako swoją ciocię. Faktycznie jednak to była ukrywająca się u nich Żydówka. Ja zawsze witałem się z nią jak z ciocią. Gdy wtedy, przed pójściem do wojenkomatu, wstąpiłem do Domańskich, ona też siedziała u nich przy stole. Nie pamiętam już, czy kończyli jeść śniadanie, czy pili herbatę. Przywitali się ze mną bardzo serdecznie. Ta ciocia też. Objęła mnie, ucałowała jak dobrego znajomego. Gdy siedliśmy przy stole, ja jeszcze nie powiedziałem, z czym przychodzę, a ona pyta się mnie, czy mam jakieś kłopoty, bo ona nie tylko może mi pomóc, ale spełnić wszystkie moje życzenia. Ja nie zdążyłem jeszcze nic powiedzieć, a ona wali prosto z mostu, że przede wszystkim to trzeba mi załatwić, żebym do wojska nie poszedł! Mnie zamurowało.

Okazało się, że ta niby ciocia jest teraz ważnym komisarzem partyjnym, która naprawdę dużo może. W tym czasie wszyscy

mężczyźni byli zmobilizowani i służyli w armii. Tylko ludzie mający potężną protekcję mogli się wyreklamować od pójścia na front, który przebiegał niedaleko od nas. W maju 1944 r. walki toczyły się przecież jeszcze na zachodnim Wołyniu. Gdy powiedziałem tej cioci komisarz, że moim marzeniem jest pójście do polskiej armii, to była niepocieszona. Odniosła się do mojej decyzji ze zrozumieniem. — Skoro jest taka pana wola, to błogosławię! — rzekła.

Pożegnałem się, zgłosiłem do wojenkomatu. Sierżant, który obejrzał moje papiery i dowiedział się, że chcę iść do wojska, popatrzył na mnie z politowaniem i zapytał:

— A ty szto, z uma soszoł?

Potem zaczął się jeszcze dopytywać, czy tak bardzo źle mi w Krzemieńcu, że chcę iść do wojska. — Siedź tu i nie wymyślaj — namawiał mnie. Ja jednak podtrzymywałem swoje stanowisko. Sierżant w końcu machnął ręką i mówił: — Pust budiet!

Wypisał mi skierowanie do wojska. Wkrótce znalazłem się w Sumach. Tutaj funkcjonował Ośrodek Formowania i Uzupełnień Armii Polskiej w ZSRR. Powstał ona na terenie Charkowskiego Okręgu Wojskowego na zrębach przerzuconej tutaj z Sielc w lutym 1944 r. 1 zapasowego pułku piechoty. W maju 1944 r. ośrodek został przekształcony w sztab, a w czerwcu — w Główny Sztab Formowania. Jego struktura i funkcje odpowiadały centralnej instytucji wojskowej, a rozbudowany był z myślą o tworzeniu Wojska Polskiego na zajętych przez Armię Czerwoną ziemiach polskich.

Nie byłem w Wojsku Polskim z Rybczy sam. Wszyscy młodzi ludzie ze wsi zostali od razu powołani do służby w nim. Dwaj moi główni współpracownicy z samoobrony: sołtys Franciszek Mytkowski mianowany został przewodniczącym rady wiejskiej, a Marcin Mysłowski jej sekretarzem. UPA nie zapomniała o nich. Gdy wracali z Dederkał, w których byli wezwani do gminy w celach służbowych, zostali napadnięci przez bandę UPA w ukraińskiej wsi Wilia

i zamordowani. Wraz z nimi zginął mój krewniak Franciszek Niewiński, który wiózł ich furmanką.

W Sumach przydzielono mnie do batalionu, wchodzącego w skład 4 Dywizji Piechoty im. Jana Kilińskiego. Otrzymała ona bardzo dobrego dowódcę, dzięki któremu w trakcie ciężkich bojów okazała się ona sprawną, świetnie wyszkoloną jednostką. Został nim gen. Bolesław Kieniewicz. Przysłano go, jak większość oficerów, z Armii Czerwonej, ze szlacheckiej rodziny, mającej majątek koło Pińska na Polesiu. Był on, jak zapamiętałem, oficerem z dużym doświadczeniem, do dowodzenia dywizją przygotowany bardzo dobrze. Decyzje podejmował szybko i prawidłowo. Imponował inteligencją i kulturą. Szanował żołnierzy, choć utrzymywał żelazną dyscyplinę i żądał bezwzględnego posłuszeństwa. Sam jednak od siebie dużo wymagał. Po wojnie pozostał w szeregach Wojska Polskiego i zmarł w Warszawie w 1969 r.

4 Dywizja Piechoty składała się praktycznie z samych Kresowiaków. Byli wśród nich ludzie z Wołynia, Żytomierszczyzny, jak i wywiezieni z Kresów w latach 1940–41. Wszyscy początkowo byli nieufni, nie wiedzieli, co to będzie za wojsko. Szybko się jednak okazało, że obowiązuje polski ceremoniał wojskowy, modlitwy i nabożeństwa, polski hymn narodowy, biało-czerwona flaga i godło, chociaż bez korony. Otrzymaliśmy też polskie mundury. Musztrowano nas według regulaminów armii przedwojennej. W wojsku byli też kapelani, co całkowicie odróżniało je zdecydowanie od Armii Czerwonej. Wcieleni do mojego batalionu, mieli różny sposób przygotowania wojskowego i obycia z bronią. Część miała za sobą służbę wojskową w armii polskiej w okresie międzywojennym lub udział w partyzantce. Zdarzali się też jednak ludzie całkiem surowi. Najgorzej jednak było z kadrą. Szczególnie brakowało oficerów. Jeśli trafił się podoficer z przedwojennej armii polskiej, to z miejsca robili go oficerem. Ja miałem za sobą przygotowanie w „Krakusach”, w których

otrzymałem stopień starszego strzelca. Dowódca kompanii, Romanowski, od razu uczynił mnie dowódcą plutonu rusznic przeciwpancernych. Zobaczył, że potrafię rozebrać rusznicę przeciwpancerną.

Jak pod Rybczą, o czym wcześniej mówiłem, Niemcy wzięli Sowietów w kocioł i wytłukli do nogi, to na polach zostało po nich sporo broni, w tym rusznice przeciwpancerne. Jedną z nich Niemcy przynieśli na nasze podwórko, zostawili i zapomnieli zabrać. Jak zaczął działać u nas zakład rusznikarski, to tę rusznicę żeśmy rozebrali, złożyli, zapoznając się z zasadami jej działania. Nie znaczy to oczywiście, że tą bronią potrafiłem się posługiwać. Nigdy przecież z niej nie strzelałem, a bez tej umiejętności trudno mówić o jej znajomości. Tłumaczyłem to porucznikowi Romanowskiemu, ale ten nie chciał słuchać. Mianował mnie dowódcą plutonu rusznic i koniec. Jakoś bym to przeżył, ale na moje nieszczęście zwrócił na mnie uwagę politruk o nazwisku Kantor, oczywiście żydowskiego pochodzenia. Wyznaczył mnie na zastępcę plutonu ds. politycznych. Mnie to nie leżało zupełnie. Doskonale wiedziałem z własnego doświadczenia, co to znaczy sowiecka polityka. Jak ojca NKWD aresztowało w 1940 r., to ja się ukrywałem w stodole. Miałem w niej przygotowaną kryjówkę, do której się wchodziło przez psią budę. Jakoś udało mi się wyplątać z zaszczytu zostania politrukiem. Mianowano mnie dowódcą plutonu CKM-ów. W tej roli przeszedłem cały szlak bojowy 4 Dywizji im. Jana Kilińskiego.

Sport jego żywiołem

— Z Sum przez Kijów, Żytomierz, Chełm, Lublin dotarliśmy w rejon Warszawy — wspomina Jan Niewiński. — Tu się zatrzymaliśmy. Warto może w tym miejscu wspomnieć, co działo się w tym czasie

z moją rodziną. Kiedy mnie Sowieci zabrali do Krzemieńca, to przeprowadzili w Rybczy mobilizację dziewcząt do batalionów roboczych. W miejscu młodych mężczyzn wziętych do wojska miały one pracować w kopalniach w Donbasie. Dwie moje siostry, Jadzia i Halinka, też zostały do tych batalionów pracy zabrane. Cały transport tych polskich dziewcząt z Wołynia na szczęście nie dojechał do miejsca przeznaczenia i siostry do kopalni nie trafiły, dzięki czemu przeżyły. Wiadomo, że do takiej pracy młode dziewczęta się nie nadawały.

Jak transport z dziewczętami zatrzymał się na stacji w Konotopie, to po drugiej stronie peronu stanął pociąg, z którego wyładowywali się polscy żołnierze. Konotop, odległy o 40 km od Sum, był także wykorzystywany jako ośrodek formowania jednostek Wojska Polskiego. Jak polscy żołnierze zobaczyli, że w pociągu jadą polskie dziewczęta, to nie pozwolili transportowi jechać dalej. Uwolnili dziewczyny, które zostały wcielone do polskiej armii. Utworzono z nich najpierw batalion, a później pułk kobiecy. Powołane do niego żołnierki wykonywały różne funkcje. Głównie służyły w łączności, a także w oddziałach sanitarnych itp. Moje siostry trafiły do łączności. Wykonywały zadania radiotelegrafistek. Nie pozwoliły się rozdzielić i służyły w jednej jednostce. Jeszcze po wojnie służyły w pułku lotniczym w Radomiu.

Gdy po wojnie je odwiedziłem, to nie mogłem dostać się do środka. Siostry przystawiały do drzwi szafę, a do niej jeszcze łóżko, by nikt nie mógł do nich wtargnąć. Wiadomo, że w tamtych czasach amatorów kobiecych wdzięków nie brakowało. Moje siostry do łatwych nie należały i dbały o swoją godność.

Jeśli chodzi o moje dalsze losy, to chciałbym nadmienić, że od jesieni do rozpoczęcia ofensywy styczniowej 4 Dywizja, tak jak inne jednostki Wojska Polskiego, prowadziła działania szkoleniowe. Dywizja zajmowała też odcinek obronny między portem praskim

a Karczewem. Od 20 października 1944 r. na szkolenie przeznaczono 8 godzin dziennie. Przełożeni przykładali szczególne znaczenie do uczenia żołnierzy walk na terenie zurbanizowanym, prowadzenie rozpoznania i rozwinięcie przez podkomendnych umiejętności strzeleckich. W rejonach kwaterowania urządzono tzw. strefy szturmowe, składające się z torów przeszkód, które żołnierze musieli codziennie pokonywać. Dużą wagę przywiązywano do zajęć instruktorsko-metodycznych z kadrą wszystkich szczebli. Uczono na nich przede wszystkim zasad forsowania szerokich przeszkód wodnych, walki w głębi obrony wroga oraz walki o duże miasto. Dowództwo armii wyciągnęło wnioski z nieudanych działań na przyczółku czerniakowskim.

Oddziały wysłane na pomoc powstaniu złożone były przede wszystkim z żołnierzy z Kresów, którzy nigdy na własne oczy nie widzieli dużego miasta, nie umieli się po nim poruszać, a co dopiero walczyć w jego ruinach. Nie była to oczywiście główna przyczyna niepowodzenia operacji, ale niewątpliwie odegrała swoją rolę. Po rozpoczęciu ofensywy styczniowej i zajęciu ruin Warszawy 4 Dywizja, działająca w ramach I Armii, ruszyła w kierunku Bydgoszczy. Marsz, jak pamiętam, odbywał się w bardzo trudnych warunkach atmosferycznych i trwał od 19 do 28 stycznia 1945 r.

Gdy zakończyliśmy ześrodkowanie, otrzymaliśmy rozkaz przejścia do natarcia w kierunku Jastrowia, gdzie na naszej drodze stanął Wał Pomorski. Była to linia fortyfikacji, budowanych w wielu etapach na wschodniej granicy Niemiec w rejonie Pojezierza Zachodniopomorskiego. Miała długość 235 km i biegła do Darłówka nad Bałtykiem. Linia składała się z wielu potężnych umocnień, w tym wielu schronów połączonych podziemnymi korytarzami. Cały ten system posiadał dodatkowe umocnienia polowe. Ponadto wkomponowano go w teren, który już sam w sobie wydawał się trudny do przebycia.

Na odcinku natarcia 4 Dywizji był on zalesiony i zabagniony, pokryty jeziorami, których przesmyki silnie umocniono schronami. Teren ten był dla nas zupełnie nierozpoznany i stanowił zagadkę. Poruszaliśmy się po omacku. Dodatkowym utrudnieniem były warunki atmosferyczne. Mróz w nocy dochodził do minus 18 stopni Celsjusza. Silny północny wiatr przyniósł zamiecie śnieżne. Atakować nam przyszło bez dostatniego wsparcia artyleryjskiego. Bunkry i schrony zdobywaliśmy przy pomocy granatów. Trzeba było podczołgać się pod otwór strzelniczy i wrzucić do niego wiązkę granatów. Jednym granatem schronu załatwić się nie dało. Składały się one z wielu pomieszczeń i często kilku poziomów.

Historycy o tym nie wspominają, ale na własne oczy widziałem, że załogi bunkrów były zamykane z zewnątrz. Wiedziały, że nie mają wyboru. Biły się więc twardo do końca, nie poddawały się. Trzeba było je wybijać do nogi, a umocnienia wysadzać. Podnieśliśmy ciężkie straty. 4 Dywizja przełamała Wał Pomorski, ale za cenę wielkich strat. Z dużą ilością rannych nie mogła poradzić sobie służba medyczna. Niemcy bronili się bardzo zawzięcie. Gdy 6 lutego o piątej rano, po całonocnych walkach, 10 pułk 4 Dywizji pod dowództwem płk. Wincentego Potapowicza dokonał wyłomu w Wale i wyszedł na tyły Niemców, ci za wszelką cenę chcieli zlikwidować ten wyłom i w ciągu 5 następnych godzin przeprowadzili 9 kontrataków. Mimo strat pułk odparł je. W wyłom weszły następne jednostki i zaczęły go pogłębiać. Kolejne parły do przodu. Nie był to koniec walki na Wale. W rękach niemieckich pozostały jeszcze całe zespoły schronów i innych umocnień. Zablokowane z dwóch stron, były łatwiejsze do zdobywania.

Bardzo ciężkie boje przyszło 4 Dywizji toczyć także o Kołobrzeg. Rosjanie wcześniej omal nie zajęli miasta z marszu. Zdobyli dworzec towarowy i nie ruszyli w pościg za ewakuującymi się statkami Niemcami, bo na stacji stały cysterny ze spirytusem technicznym.

Dla nich wojna już się skończyła. Zaczęli strzelać do cystern, z których strumieniami zaczęły się lać tysiące litrów cieczy. Nacierające jednostki sowieckie się zatrzymały, zaczynając się kąpać w spirytusie, a Niemcy, widząc to, wrócili na pozycję i rozpoczęli ich zażartą obronę. Miasto było przez Niemców zamienione w twierdzę. Przy budowie urządzeń obronnych hitlerowcy wykorzystali warunki terenowe. Miasto otaczała podmokła dolina, szeroka na kilkaset metrów, przez środek której biegł rów melioracyjny.

Wiosną dolina była niedostępna. Od wschodu miasta bronił podmokły park, a od południowego wschodu zwarta zabudowa starego miasta, włączona w system obronny. Wiele ulic zostało zabarykadowanych. Wszystkie większe obiekty w mieście, takie jak parowozownia, dworzec czy koszary „czerwone" i „białe" czy fabryki przekształcono w rejony umacniania.

4 Dywizja została skierowana do walk o Kołobrzeg, gdy natarcie na jego przedmieściach ugrzęzło. 12 marca, gdy pierwsze jego pułki przystąpiły do ataku, Polacy przełamali pierwszą linię obrony Niemców i wdarli się do miasta. Walki w nim toczono o każdy metr, o każdy dom.

Jako pierwszy nad Bałtyk wyszedł 12 pułk 4 Dywizji. Niemców w końcu zepchnięto na niewielki przyczółek wokół portu, poprzez który zdołali się ewakuować na statkach i okrętach, które wcześniej wspierały ich ogniem dział. Gdy ja dotarłem nad morze, na horyzoncie zobaczyłem jeszcze trzy oddalające się statki.

Bitwa o Kołobrzeg trwała w sumie 10 dni. Kosztowała ponad tysiąc poległych żołnierzy i prawie trzy tysiące rannych. Średnio na dobę nasze oddziały posuwały się o trzysta, czterysta metrów. Z Kołobrzegu 4 Dywizja Piechoty, przez Odrę i północny Berlin, dostała się na Łabę, skąd ją wycofano do kraju. Tu dowiedzieliśmy się, że przestajemy być jednostką liniową, a stajemy się częścią KBW. Nikt nikogo nie pytał, czy chce być w nowej formacji, czy nie.

Był rozkaz i koniec. Wielu chłopaków z Kresów i AK, którzy nie mieli co ze sobą zrobić, których bliskich wymordowano, cieszyło się, że mają się gdzie podziać.

Z innych jednostek demobilizowanych po wojnie Kresowianie, zwłaszcza kadra, szła do WOP-u, który działał tak jak KBW w strukturach MSW. Ja, który po wojnie zostałem awansowany na porucznika, trafiłem do Andrzejowa pod Łodzią. Mianowano mnie dowódcą plutonu podchorążych w szwadronie kawalerii, stacjonującego na Wiśniowej Górze, podlegającego Szkole Oficerskiej KBW, stacjonującej w Radziejowej. Dowódcą szwadronu był przedwojenny rotmistrz Kostarski, wspaniały człowiek. Przystojny oficer, za którym baby szalały.

Szkolenie w szwadronie odbywało się według przedwojennych zasad i regulaminów. Jako były „Krakus" czułem się w siodle bardzo dobrze. Tu może trzeba zaznaczyć, że KBW funkcjonowało po wojnie tak jak wszystkie inne jednostki wojskowe Wojska Polskiego na wzór armii przedwrześniowej. Rano i wieczorem były modlitwy. W niedzielę w zwartym szyku żołnierze szli do kościoła. Działali w nim kapelani. Przy KBW działał odrębny dziekanat, na czele którego stał ks. Michał Zawadzki, absolwent Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Jako kapłan był więziony w obozach koncentracyjnych m.in. w Stutthoffie, Sachsenhausen i Dachau. W szwadronie służyłem od wiosny do jesieni. Później wraz z całą szkołą przeniesiono mnie do Legnicy. Mianowano mnie tu dowódcą plutonu w kompanii politycznej.

Tuż przed promocją na egzaminach przedpromocyjnych mój pluton zajął w szkole pierwsze miejsce, w związku z czym spodziewałem się jakiegoś docenienia. Zamiast niego zostałem wysłany na kurs dla oficerów instruktorów wychowania fizycznego. Był to rozkaz z Warszawy i wymówić się od niego nie mogłem. Zalecał on wysłanie do stolicy oficera najsprawniejszego fizycznie. Na kursie, który

odbywał się głównie na obiektach sportowych „Legii", spotkałem wielu różnych cwaniaków, byłych sportowców. Czułem się wśród nich trochę jak Jasiu Zielone Ucho, niemniej jakoś dawałem sobie radę. Ukończyłem kurs z I lokatą. Po nim wróciłem do szkoły w Legnicy już tylko po to, aby się rozliczyć i zdać obowiązki.

Zostałem wyznaczony na starszego wykładowcę w podoficerskim pułku szkolnym KBW w Szczytnie. Mieścił się on w obiektach poniemieckich, w składzie których znajdowała się sala sportowa i stadion. Samo miasteczko, wzięte przez Sowietów bez walk, było kompletnie zniszczone. Maruderzy sowieccy je podpalili i dopiero dźwigało się ze zgliszcz. Wśród elewów tej szkoły było też wielu byłych AK-owców. Nie wiem, czy wstępowali tam z własnej woli, czy, jak później głosiła propaganda, na polecenie WiN, żeby infiltrować KBW.

Warto zauważyć, że kapelani nadal w tej formacji byli, a partia działała w podziemiu. Wojsko formalnie pozostawało bezpartyjne. Struktury partii oficjalnie się nie ujawniały. Nastąpiło to dopiero po aresztowaniu Gomułki i Spychalskiego. Wtedy też w wojsku, w tym także w KBW zaczęła się czystka i polowanie na AK-owców. Ich los był tragiczny. W szkole w Szczytnie pracowałem do 1948 r. Oprócz zajęć sportowych dla elewów co sobotę organizowałem na stadionie różne imprezy sportowe, pokazy czy zawody dla okolicznej ludności. Cieszyły się one wśród niej dużą popularnością. Stanowiły bowiem w tej głuszy jedyną rozrywkę i miejsce spotkań. Na ostatnich zawodach, gdy wszyscy wiedzieli, że szkoła będzie zlikwidowana, burmistrz miasteczka wręczył mi nawet dyplom w imieniu mieszkańców Szczytna za prowadzoną dla nich działalność sportową.

W 1948 r. przeniesiono mnie do Warszawy. Tu wyznaczono mnie na starszego inspektora w Wydziale Wyszkolenia Bojowego Wojsk KBW. Zajmowałem się wyszkoleniem strzeleckim i sportowym. Jeździłem po różnych jednostkach i dokonywałem kontroli. Była to

bardzo przyjemna praca. Specjalnych obowiązków nie miałem. Jak przyjeżdżałem na kontrolę, to wiadomo, że pana inspektora przyjmowano z „odpowiednim traktowaniem". Brzucha jednak od poczęstunku nie dostałem. Wprost przeciwnie. Dbałem o kondycję i sprawność, więc przełożony płk Zybert wysłał mnie na roczny, przyspieszony kurs na Akademii Wychowania Fizycznego. Był to specjalny kurs, zorganizowany dla oficerów. Zajęcia prowadzone bardzo intensywnie, trwały 12 godzin dziennie. W jego trakcie przerabialiśmy skrócony program całej uczelni.

Gdy go zaliczyłem z drugą czy trzecią lokatą, zostałem wyznaczony na szefa wyszkolenia fizycznego wojsk KBW. Nie była to jakaś lukratywna funkcja. Sport w KBW, jak zresztą w całej armii, traktowano jako piąte koło u wozu. Oficerowie, odpowiedzialni za wychowanie fizyczne, mieli najniższe grupy zaszeregowania. W zamian jednak mieli poczucie sensownej roboty. Dbali o kondycję fizyczną żołnierzy. Ze względu na to, że nic nie potrafiłem robić na pół gwizdka, zostałem też działaczem Zrzeszenie Klubów Sportowych „Gwardia", obejmujących swym zasięgiem wszystkie formacje funkcjonujące w ramach MSW. Zaangażowałem się również w działalność Polskiego Związku Gimnastycznego. Szybko wybrano mnie na wiceprezesa Warszawskiego Okręgowego Związku Gimnastycznego.

W 1956 r., na fali odwilży, objąłem obowiązki sekretarza generalnego „Gwardii". Dokonałem uporządkowania spraw kadrowych, zwalniając wielu obiboków. Od tamtego czasu przylgnęło do mnie miano antysemity. Kilku leserów, których zwolniłem, było bowiem żydowskiego pochodzenia. Niejaki Goldberg publicznie na sali odpraw zarzucił mi nawet, że jestem „zadeklarowanym antysemitą". Żydów, którzy zostali zwolnieni, było tylko czterech, a wszystkich, którzy trafili na zieloną trawkę za nieróbstwo —

trzydziestu kilku. Ten przydomek „antysemity” idzie za mną przez całe życie, ale jakoś nauczyłem się nie przywiązywać do tego wagi.

Widząc nieudolność centralnego zarządzania, zaproponowałem, żeby rozwiązać Zrzeszenie „Gwardia” i zastąpić je federacją klubów. Przeprowadzenie tej koncepcji wiązało się z licznymi problemami. Idea ta stanowiła w ówczesnej sytuacji politycznej całkowite novum. O jej wprowadzeniu w życie przesądziła pozytywna opinia Głównego Komitetu Kultury Fizycznej. Po dwóch latach rozwiązanie, zaproponowane przeze mnie w „Gwardii”, wprowadzono w całym sporcie.

Funkcję sekretarza generalnego pełniłem przez kilka kadencji. Zrezygnowałem z niego, gdy koledzy tego Goldberga zaczęli za bardzo mnie zwalczać. Wróciłem do wojska, a po pewnym czasie w 1974 r. postanowiłem przejść do cywila. Osiągnąłem bowiem wiek, w którym mogłem przejść na emeryturę. Wypoczywałem tylko kilka dni, gdy zadzwonił do mnie przewodniczący Głównego Komitetu Kultury Fizycznej, Reczek, i zaprosił na rozmowę. Gdy się do niego zgłosiłem, oświadczył mi, że z powodu pewnych nieprawidłowości Zarząd Polskiego Związku Bokserskiego został rozwiązany i w związku z tym on proponuje mi objęcie obowiązków komisarycznego zarządcy związku. Boks nie był moją specjalnością. Powiedziałem ,mu, że muszę się zastanowić, a przede wszystkim zapoznać z dokumentami. Reczek dał mi teczkę z różnymi materiałami. Z ich lektury wynikało, że działacze i trenerzy Polskiego Związku Bokserskiego są umoczeni w różne machlojki i przekręty. Z wielkim bólem skonstatowałem, że najbardziej jest umoczony w nie Feliks Stamm. Dowody przeciwko niemu były miażdżące. Zamienił on Polski Związek Bokserski w swój prywatny folwark. Sprawa była bardzo nieprzyjemna. Władze zdecydowały się ją wyciszyć.

Zbliżały się ważne jubileusze w polskim boksie i należało jak najszybciej opanować sytuację. Podjąłem się tego zadania i zostałem komisarzem związku. Był to najtrudniejszy okres w moim życiu. Jakoś udało się mi wyprowadzić wszystkie sprawy na prostą. Na krótki okres czasu wybrano mnie prezesem związku na nadzwyczajnym walnym zebraniu. Na Kongres AJBA, czyli Międzynarodowego Stowarzyszenia Boksu, którego Polska była gospodarzem, nie mógł jechać komisarz, byłaby to bowiem kompromitacja i bardzo czytelny sygnał, że w Polskim Związku Bokserskim dzieje się źle. Kongres odbył się w Poznaniu i moje pojawienie się na nim wywołało sensację. Nikt mnie nie znał. Nie byłem przecież dotąd związany ze światem bokserskim zupełnie. Kongres odbył się bez większych sensacji. Wybrano mnie na przewodniczącego komisji skrutacyjnej. Prezydentem AJBA został wybrany Rosjanin, Nikołaj Nikiforow Denisow. Później odbył się Kongres Polskiego Boksu w Warszawie, na którym oficjalnie pożegnaliśmy „papę" Stamma, który odszedł na emeryturę.

Niewtajemniczeni nie zorientowali się, dlaczego musiał odejść. Uniknęliśmy skandalu i jednocześnie ocaliliśmy legendę. Ja obstawałem przy takim rozwiązaniu od początku. Z nazwiskiem Stomma wiązały się największe osiągnięcia polskiego boksu na światowej arenie. Gdybyśmy oddali sprawę do prokuratury, uderzyłoby to w całą reprezentację, zahamowało rozwój polskiego boksu. Ja po tym fakcie uznałem, że swoje zadanie wykonałem i ustąpiłem z funkcji prezesa Polskiego Związku Bokserskiego.

Później pracowałem w Polskim Komitecie Olimpijskim. Byłem przewodniczącym jego Komisji Sportowej. Mój poprzednik narobił także machlojek i Reczek uznał, że skoro byłem komisarzem w PZB, to i w tamtej komisji zrobię porządek. Moim zastępcą był rektor Akademii Wychowania Fizycznego. Dzięki mojej działalności w ruchu

sportowym udało mi się być na kilku olimpiadach, m.in. w Rzymie, Tokio i w Meksyku.

Gdy zakończyłem działalność w sporcie, na kilka lat znalazłem odskocznię w postaci kwiatów. Za oszczędności kupiłem działkę, na której zacząłem hodować tulipany. Była to wówczas bardzo intratna działalność, przynosząca spore zyski. Za nie urządziłem dzieci, które się w pobliżu „tulipanowej działki" pobudowały. Jak produkcja tulipanów przestała się opłacać, to okazało się, że w zmienionych realiach wartość mojej działki, położonej przy Lesie Kabackim, mającej powierzchnię dwóch hektarów, wzrosła stukrotnie.

W latach dziewięćdziesiątych, będąc materialnie niezależny, zaangażowałem się w walkę o prawdę o tragicznych wydarzeniach na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, która od samego początku była składana na ołtarzu dobrych stosunków z odrodzonym państwem ukraińskim. Tacy politycy, jak Kuroń, Geremek i Czech robili wszystko, żeby zamazać fakt, że w czasie II wojny światowej na terenie ziem wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej, znajdujących się pod okupacją niemiecką, obywatele polscy narodowości ukraińskiej w bestialski sposób wymordowali 200 tys. obywateli narodowości polskiej, żydowskiej, ormiańskiej, czeskiej, a także ukraińskiej. Postawy polityków przekładały się na działania środowisk naukowych i medialnych.

W instytutach historycznych nie prowadzono badań dotyczących stosunków polsko-ukraińskich. Dziennikarze nie chcieli zajmować się problemem. Jeżeli już, robili to w tendencyjny sposób, prezentując ukraiński punkt widzenia. Usiłowano w te działania wciągnąć Okręg Wołyński Światowego Związku Żołnierzy AK, czyli weteranów 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty. Ten zorganizował cykliczne seminaria pod ogólnym tytułem „Polska–Ukraina: trudne pytania". Biorący w nim udział historycy ukraińscy usiłowali stronie polskiej narzucić swój punkt widzenia. Niektórzy Polacy gotowi byli przynajmniej

częściowo je zaakceptować. Trzeba się było tym działaniom przeciwstawić. Mocno się w to zaangażowałem. Zacząłem szukać różnych sprzymierzeńców i sojuszników usiłujących, tak jak ja, walczyć o prawdę.

Żałuję, że przedwcześnie zmarł historyk Wojciech Poliszczuk, badacz niesłychanie uczciwy, zarówno wobec Polaków, jak i Ukraińców. Obecnie, gdy obchodzimy 70. rocznicę mordów wołyńskich, dużo się mówi o konieczności pojednania. Nie wiem tylko, kto z kim ma się jednać. Władze polskie już dawno pojednały się z banderowcami. Niektórzy politycy utrzymują z nimi wręcz przyjazne stosunki. Między Polakami a Ukraińcami żadnych zgrzytów nie ma. Wyrosły nowe pokolenia, a ukraińscy zbrodniarze, którzy mordowali, już dawno nie żyją. Trzeba jednak w trosce o prawdę historyczną dokonać moralnej oceny tego, co zdarzyło się na Kresach Rzeczypospolitej. Trzeba ludobójstwo nazwać ludobójstwem. Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińska Powstańcza Armia muszą zostać uznane za organizacje zbrodnicze.

Franciszek Leszczyński

Nikt nie był pewny dnia ani godziny

— Urodziłem się w Kowlu w 1920 r., mam więc 96 lat i jestem chyba najstarszym żyjącym jeszcze żołnierzem 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej — wspomina Franciszek Leszczyński. — Przeszedłem nie tylko cały jej szlak bojowy, ale wcześniej walczyłem w oddziale „Jastrzębia". W sumie w partyzantce spędziłem jedenaście miesięcy, chociaż w konspiracji byłem jeszcze dłużej. Moja mama miała na imię Paulina, a tata — Albin. Mama prowadziła dom i niewielkie gospodarstwo przydomowe, a ojciec, jak większość mężczyzn w Kowlu, pracował na kolei. Mieszkaliśmy we własnym domu przy ulicy Maciejowskiej, która biegła między torami a szosą biegnącą w stronę koszar. Dalej kawałek za naszym domem tory się rozdzielały. Jedne odchodziły na Chełm, a drugie na Włodzimierz Wołyński i Kamień Koszyrski, dalej na Sarny, a później do sowieckiej granicy.

Muszę wspomnieć, że miałem jeszcze dwóch braci. Razem we trójkę pomagaliśmy mamie przy gospodarstwie, w którym było co robić. Mieliśmy zawsze dwie krowy, dwa, trzy świniaki, mieliśmy też sporo gęsi. Naokoło było dużo bagien, różnych sadzawek stanowiących dla gęsi prawdziwy raj. Trzymaliśmy zawsze dużo kur, także około pięćdziesięciu sztuk. Wyganialiśmy te kury na łąkę, żeby skubały trawę. Gdy skończyłem siedem lat, tak jak wszystkie dzieci, rozpocząłem naukę w szkole podstawowej. Gdy skończyłem szóstą klasę, rodzice zadecydowali, że będę kontynuował naukę w gimnazjum mechanicznym. Wtedy funkcjonowała taka zasada, że

jak ktoś po podstawówce kształcił się dalej, to do gimnazjum szedł po szóstej klasie. Jeżeli zaś kończył naukę na podstawówce, to musiał jeszcze zakończyć siódmą klasę. Nauka w gimnazjum trwała pięć lat i ja nie zdążyłem go ukończyć z powodu wybuchu wojny. Przerwałem naukę po trzech latach.

Okres międzywojenny pamiętam dość dobrze. Całkiem się nam powodziło. Tato na kolei zarabiał nieźle. Na każde dziecko dostawał po 25 złotych dodatku, a 25 złotych przed wojną to było bardzo dużo! Jedzenie mieliśmy swoje. Produktów żywnościowych praktycznie się nie kupowało. Wszystko mieliśmy swoje. O tym, że zbliżała się wojna, wiedzieliśmy bardzo dobrze. Nawet tego, że Sowieci wbiją nam nóż w plecy. Obok nas mieszkał taki Saweryn, Białorusin, który później okazał się sowieckim szpiegiem. On zawsze podawał nam informacje o zbliżającej się wojnie, które zawsze się sprawdzały.

16 września powiedział, że następnego dnia wkroczą do Kowla Sowieci. Potrafił nawet przewidzieć, o której to będzie godzinie. Jego siostra przed tym wydarzeniem uciekła do Wołkowyska, gdzie miała rodzinę. Ona też zajmowała się szpiegowaniem na rzecz Sowietów. Dwaj jego synowie poszli na wojnę i dostali się do niewoli niemieckiej, a zięć zginął za Polskę w toku walk we wrześniu 1939 r., a on sam był taką gadziną.

Gdy wkroczyli Sowieci, nasz sąsiad dalej dla nich pracował, chociaż munduru NKWD nie założył. Nie uciekł też z nimi, gdy wycofywali się przed naporem Niemców. Ci się jednak zorientowali, że pracuje dla Sowietów i go aresztowali. Nie zdołali jednak nic z niego wyciągnąć, bo popełnił samobójstwo w celi. Powiesił się na jakimś sznurku. Według oficjalnej wersji zmarł na serce. Niemieccy żandarmi przynieśli nawet żonie jego rzeczy.

Zanim zaczęła się okupacja niemiecka, wcześniej była sowiecka, która dla Kowla zapisała się tragicznie. Mój starszy brat od razu

został aresztowany. Odnalazł się dopiero po wojnie. Całą wojnę przesiedział gdzieś w lagrze w głębokiej Rosji. Sowieci po zajęciu Kowla od razu zaczęli wprowadzać swoje porządki. Zlikwidowali polskie szkoły, zaczęli aresztować wszystkich patriotycznie nastawionych Polaków. Ja musiałem iść do pracy na kolei w warsztatach sygnałowych. Zatrudniono mnie tam jako kierowcę. W budynku, w którym mieściło się gimnazjum, Sowieci urządzili szpital wojskowy i tzw. odwszalnię, w której palili książki ściągane ze wszystkich polskich bibliotek w okolicy.

Zanim Niemcy wkroczyli do Kowla, to wypalili je wszystkie, co do egzemplarza. Specjalnie zajrzałem do kotłowni, jak Sowieci uciekli, ale po książkach nie było ani śladu. Okupacja sowiecka była straszna, bo nikt nie był pewny dnia ani godziny. NKWD prowadziło stale aresztowania, usiłując sparaliżować toczący się ruch oporu. Polowało przede wszystkim na oficerów rezerwy, którzy do działalności podziemnej najbardziej się nadawali. NKWD w polowaniu na nich pomagali przede wszystkim milicjanci, głównie żydowskiego pochodzenia.

W lutym 1940 r. Sowieci dokonali pierwszej wywózki. Odbywała się ona w koszmarnych warunkach, podczas silnych mrozów, sięgających do minus 40 stopni Celsjusza. W Kowlu do wywózki zaangażowano też siły cywilne. Ze względu na to, że ja pracowałem w warsztacie jako kierowca, to kazali mi samochodem zwozić na stację rodziny przeznaczone do deportacji. Jeździłem wtedy takim dużym, ciężkim samochodem ciężarowym. Na jego pakę zabierało się sześć rodzin i zawoziło na dworzec w Kowlu. Wśród wywożonych było też wielu naszych znajomych. Wysiedlali osadników wojskowych, leśników, nauczycieli, ziemian i w ogóle inteligencję. Od razu było widać, że Sowieci chcą „odgłowić" polską społeczność, pozbawić ją jej przywódców, niszcząc jednocześnie podglebie dla ruchu oporu.

Deportowane rodziny miały najwyżej dwie godziny na spakowanie się i zabranie najpotrzebniejszych przedmiotów. Były one całkowicie nieprzygotowane do wywózki i, zaskoczone, pakowały do węzełków rzeczy najcenniejsze, a niekoniecznie najpotrzebniejsze w nowych warunkach życia na Syberii i dalekiej Północy w rejonie Archangielska, gdzie znaczna część Wołyniaków z tej pierwszej wywózki trafiła.

Po niej ludzie zaczęli spodziewać się, całkiem słusznie zresztą, następnych i zaczęli się do nich przygotowywać, gromadząc suchary i inną żywność, nadającą się do dłuższego przechowywania. Wszystko to stało popakowane w workach, stojących blisko drzwi, żeby w razie potrzeby wszystko było pod ręką. W sieni każdy trzymał też ciepłą odzież, zwłaszcza kożuchy, buty i czapki. Moi rodzice też liczyli się z możliwością wywózki i byli na nią przygotowani. Ludziom jednak powoli wyczerpywały się zapasy. Sprzedawali wszystko, często dorobek całego życia, by zdobyć pieniądze na zakup żywności na wsi czy bazarach.

Początkowo w obiegu, po wkroczeniu Sowietów, była jeszcze złotówka. Szybko się jednak okazało, że zrobili to tylko po to, żeby wydrenować polski rynek. Sowieci, po zajęciu Wołynia zaczęli osiedlać na nim nie tylko enkawudzistów i żołnierzy, ale również urzędników, nauczycieli, milicjantów itp. Dysponowali oni tylko meblami, których siła nabywcza była czterokrotnie niższa niż polskiego złotego. Wszystkie sklepy musiały je przyjmować w stosunku jeden do jednego. Sowieci natychmiast rzucili się na sklepy i za swoje bezwartościowe ruble wykupili wszystko, co tylko w nich było. Wartość złotówki drastycznie spadła.

W końcu 1939 r. w ogóle złotówkę wycofano z obiegu. Wszystkie przedsiębiorstwa i banki zostały znacjonalizowane. Kto nie miał pracy, ten nie miał środków do życia. Od początku byliśmy poddani totalnej propagandzie, mającej przekonać mieszkańców Kowal, że

w Związku Sowieckim wszystko jest lepsze. Na każdym kroku wisiały plakaty zachęcające do akceptacji nowego porządku. Sowiecka agitacja podjudzała też Ukraińców przeciwko Polakom. Wytwarzała ona atmosferę wrogości, wynikającą z utożsamiania niesprawiedliwości społeczno-narodowej z pojęciem Polski. Wmawiała ona Ukraińcom, że Sowieci wkroczyli na Wołyń, żeby ich uwolnić od polskiego jarzma! Pamiętam taki plakat, którego bohaterem był dyrektor szkoły podstawowej, do której uczęszczałem. Był to otyły, bardzo gruby mężczyzna. Chorował na cukrzycę i ledwo się ruszał. Sowieci przebrali go za kułaka, zaprowadzili na pole i posadzili na worku pełnym zboża, obok którego stało jeszcze kilka worków. Obok zaś pięciu ukraińskich chłopów ciągnęło pług, poganiani batem przez jakiegoś pomocnika tego kułaka. Obraz taki budził niechęć Ukraińców do Polaków, skłaniało ich to do denuncjowania ich do Sowietów itp.

Sowiecka propaganda nachalnie atakowała mieszkańców Kowla niemal z każdej witryny. Przedstawiała ona w czarnych kolorach sytuację nie tylko w Polsce międzywojennej, ale również w USA. Przekonywały one, że w Ameryce ludzie mieszkają w kartonach na ulicy, że umierają z głodu itp. Człowiek w miejscach publicznych musiał uważać na każde słowo. Nie mógł powiedzieć żadnego krytycznego słowa pod adresem władz, bo zaraz ktoś mógł donieść i człowiek mógł trafić za kraty.

Więzienie w Kowlu było zapchane do granic możliwości. W czasach polskich był to niewielki areszt przeznaczony dla około dwustu więźniów. Sowieci upchnęli w nim jednak cztery razy więcej ludzi. Warunki bytowe w nim musiały być koszmarne. Polak w tamtym czasie nie znaczył nic! Był na dole drabiny społecznej. Gdyby okupacja sowiecka trwała dłużej, to pewnie wszystkich Polaków by wywieźli jako element niepożądany. Tuż przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej, na stację w Kowlu podstawiono około stu

towarowych wagonów. Na wszystkich padł blady strach. Mieszkańcy Kowla zdawali sobie sprawę, że Sowieci szykują kolejną wielką deportację ludności polskiej na wschód. Wywózka miała się zacząć 24 czerwca, ale 21 czerwca nad ranem w Sowietów uderzyli Niemcy.

Ich napaści Sowieci w ogóle się nie spodziewali! Był to dla nich grom z jasnego nieba. Wcześniej często się słyszało wypowiedzi Ruskich, że Niemcy to nasi „druzja", przyjaciele. Jak ich ci „przyjaciele" zaatakowali, to uciekali, gdzie pieprz rośnie. Widziałem, jak bez broni, w niekompletnych mundurach uciekali na wschód. Niemcy hurtem brali ich do niewoli i traktowali gorzej niż bydło. W Kowlu urządzili dla nich obóz jeniecki. Mieścił się on w magazynach koło koszar wojskowych. Magazyny te mieściły się w murowanych barakach. Niemcy te baraki ogrodzili drutem i stłoczyli w nich ogromną masę jeńców. Byli oni dziesiątkowani przez choroby. Nie było dnia, żeby nie wywieziono z obozu kilka furmanek trupów. Jak wychodzili na robotę, to też wszyscy żywi nie wracali. Wiele razy widziałem, jak dźwigali zmarłych kolegów, którzy padli z wycieńczenia. Niemcy karmili ich rozgotowaną brukwią i obierkami przywożonymi z kuchni w niemieckich koszarach, a oprócz tego pędzili do pracy przy układaniu torów.

Na odcinku od Chełma do Dęblina biegła podwójna linia do torów, a od Chełma dalej na wschód pojedyncza. Niemcy, chcąc zwiększyć przepustowość linii, zaczęli układać drugą nitkę torów i gonili do tego sowieckich niewolników, których traktowali jak dzicz. Ja już podczas okupacji sowieckiej byłem związany z konspiracją. Należałem do tzw. grupy Maciejowskiej. Aktywnej działalności ona nie prowadziła i była mocno zakonspirowana.

Polskie podziemie NKWD tępiło z całą bezwzględnością. Najbardziej trzeba było uważać na donosicieli. Za bochenek chleba ludzie sprzedawali swoich sąsiadów. Rekrutowali się oni nie tylko z Ukraińców czy Żydów, ale także niestety spośród Polaków. Nasza

grupa spotykała się ukradkiem, najczęściej nocami. Na zebraniach zaznajamiano nas z ogólną sytuacją, uczono podstaw konspiracji, zasad prowadzenia działalności wywiadowczej i kontrwywiadowczej, metod obserwacji np. ruchu kolejowego itp.

Gdy Niemcy wkroczyli do Kowla, to wielu ludzi odetchnęło i zaczęło traktować ich niemalże jak wyzwolicieli. Ci, którzy tak jak ja pracowali na kolei, nie mogli narzekać. W porównaniu z czasami sowieckimi sytuacja na kolei się poprawiła. Jak na warunki okupacyjne kolejarze mieli całkiem nieźle. Też oczywiście trzeba było uważać, bo z wszystkimi podejrzanymi o przynależność do podziemia Niemcy także się nie patyczkowali.

Po umocnieniu się w Kowlu, w pierwszej kolejności zajęli się przede wszystkim Żydami. Najpierw postanowili ich ograbić. Niemiecki starosta miasta nałożył na Żydów kontrybucję. Mieli złożyć półtorej tony złota. Żydzi myśleli, że składając tę daninę, zapewnią sobie możliwość przeżycia. Ów starosta został jednak szybko przeniesiony do Berlina. Przyszedł na jego miejsce drugi i też nałożył na kowelskich Żydów kontrybucję. Również zażądał jakiejś ilości złota, ale ci już nie mieli co dawać. Starosta ten długo się nie utrzymał, bo szybko go odwołali. Trzeci starosta przystąpił już do bezlitosnej eksterminacji Żydów. Zostali oni spędzeni do getta, które mieściło się w trójkącie trzech ulic: Włodzimierskiej, Długiej i Brzeskiej. Było tam zgromadzonych z piętnaście tysięcy osób. Któregoś dnia przechodziłem wcześnie rano koło tego trójkąta, idąc do pracy.

Pamiętam, że była straszna mgła. Od tego trójkąta dochodził głos, jakby gęsi zaniepokojonych zbliżaniem się do ich obórki lisa. Nagle przede mną wyrósł patrol niemieckich żandarmów. Zapytali, czy jestem Żydem. Oczywiście zaprzeczyłem! Żandarmi nie wierzyli i kazali mi spuścić spodnie! Sądzili, że mogę być uciekinierem z getta i chcieli sprawdzić, czy jestem obrzezany.

„Pili i mordowali”

— Gdy Niemcy obejrzeli moje przyrodzenie i uznali, że nie jestem Żydem, kazali mi założyć spodnie i wracać do domu — wspomina Franciszek Leszczyński. – Zaprotestowałem, mówiąc, że muszę iść do roboty. Dowódca patrolu zdecydowanie jednak podkreślił: „dzisiaj nie musisz!”. Odwróciłem się więc na pięcie i pomaszerowałem do domu. Wkrótce rozległy się strzały! Miałem takiego znajomego Niemca, pochodzącego z Czechosłowacji, który mi później opowiedział, jak tych Żydów mordowano. Poszedł do tego getta, by jak inni Niemcy najzwyczajniej się obłowić. Z jego relacji wiem, że Niemcy Żydów nie mordowali, oni całą operację tylko nadzorowali. Było ich tam zaledwie kilku. Resztę zrobiła policja ukraińska i litewska. Funkcjonariusze tych formacji pędzili Żydów na kirkut, gdzie nad wykopanymi rowami rozstrzeliwali kolejne „partie” z dwóch ciężkich karabinów maszynowych typu „Maxim”.

Żydzi rozbierali się do naga i wchodzili na deskę ułożoną nad rowem. Po serii z „Maxima” spadali do rowu. Niektórzy jeszcze pewnie żyli. Oprawcy przesuwali deskę i wpędzali na nią kolejną „partię”. Zwłoki przesypywane były wapnem przez jeńców sowieckich. Część Żydów zamordowano na żwirowisku koło wsi Werbka. Oprawcy w czasie mordowania Żydów pili, jak mi opowiadał ten Niemiec, alkohol. Obok karabinów maszynowych stały skrzynki z wódką, którą raczyli się oprawcy. Pili i mordowali! Ubrania zamordowanych Żydów policjanci ukraińscy rozdawali swoim ziomkom.

Opuszczone domy plądrowała ludność ukraińska. Szukała ona przede wszystkim kosztowności, które mogli pozostawić Żydzi. Zrywała podłogi, rozbierała piece, kuła ściany i przekopywała ogródki. Zachowywała się jak stado cmentarnych hien. Jak

wymordowano Żydów, miejscowi Ukraińcy zaczęli mówić, że teraz to samo trzeba zrobić z Polakami. Nie przystąpili jednak jeszcze do jakiegoś totalnego uderzenia. Pojedyncze napady na Polaków się, oczywiście, zdarzały.

Przygotowania do rozprawy z Polakami szły jednak pełną parą. Do takiego wniosku doszedłem jednak dopiero po paru miesiącach, gdy rzezie się zaczęły i osiągnęły swoje apogeum. Znałem takiego Ukraińca z Kowla o nazwisku Przysuchin. Wstąpił do armii niemieckiej i chodził po Kowlu w niemieckim mundurze. Znałem go bardzo dobrze, bo mieszkał przy ulicy Szlacheckiej, w tym samym budynku, co niejaki Łuckiewicz, też Ukrainiec, który zajmował się reperowaniem samochodów. W jego warsztacie zdawałem egzamin praktyczny po trzecim roku gimnazjum mechanicznego. Często do niego w czasie okupacji przychodziłem i ocierałem się o Przysuchina. Pamiętam, że przed wybuchem II wojny światowej gdzieś zniknął, a później nagle wrócił z Niemcami.

Pewnego razu, działo się to wiosną, gdy policja ukraińska zdezerterowała już do lasu i stała się podstawową kadrą dla UPA, odwiedziłem tego Łuckiewicza. Przyjął mnie bardzo gościnnie. Postawił wódkę. Po jakimś czasie przyszedł ten Przysuchin, popatrzył na mnie z obrzydzeniem i zapytał: „Jak długo ten Lach będzie tu chodził?”. Po chwili sam sobie odpowiedział, mówiąc: „Do Makoweja!”. Następnie zabrał się i poszedł. Ja jeszcze przez kilka dni zastanawiałem się, o co chodzi z tym Makowejem. Dopiero gdy rzezie się zaczęły, uświadomiłem sobie, że ten „Makowej” to prawosławne święto Matki Boskiej Zielnej, podczas którego prawosławni święcą mak, pierwszy chleb i ikonę, a następnie chodzą z nimi od chałupy do chałupy.

Gdy ten „Makowej” się zaczął, za dnia było spokojnie. Wieczorem jednak na horyzoncie pokazała się łuna. Coś paliło się w Dubowej, polskiej wsi. Myśleliśmy, że to jakiś przypadkowy pożar. Po chwili

jednak łuna gwałtownie się zwiększyła. Było jasne, że płonie cała wieś! Wtedy zaczęli rżnąć Polaków, a ja już następnego dnia dowiedziałem się, co to znaczy „Makowej". Podczas tego święta zebrani w cerkwiach Ukraińcy otrzymali sygnał, że trzeba przystąpić do rżnięcia Lachów. Wielu popów ten rozkaz z dowództwa UPA pobłogosławiło.

Takie łuny, jak te z Dubowej, widać było z naszego domu co drugi dzień. Scenariusz był zawsze ten sam. Najpierw pojawiała się niewielka łuna. Była ona sygnałem do zbiórki uczestników rzezi. Gdy ci przybyli na miejsce, mordy zaczynały się na całego. Uczestniczyła w nich ukraińska ludność cywilna, która przed spaleniem polskich gospodarstw rabowała dobytek polskich sąsiadów.

Jeżeli dzisiaj ukraińscy historycy twierdzą, że na Wołyniu był jakiś konflikt polsko-ukraiński, to najzwyczajniej kłamią. Ukraińcy zaplanowali, przygotowali i przeprowadzili na Wołyniu ludobójstwo bezbronnej ludności polskiej, której nie miał kto bronić. Niemcy, z którymi się stykałem w pracy, Polakom bynajmniej nie współczuli. Raczej zacierali ręce. Mówili: „Ukraińcy biją się z Polakami, to bardzo dobrze! My mamy spokój!".

Ja szybko musiałem z Kowla uciekać i iść do oddziału „Jastrzębia", pierwszego oddziału partyzanckiego, który powstał w naszej okolicy, by bronić ludności polskiej przed ukraińskim ludobójstwem. Gdybym został w mieście, Niemcy z pewnością by mnie aresztowali. Z warsztatu, w którym pracowałem, wyniosłem bowiem silnik, który służył do napędu walców w młynie mielącym zboże dla potrzeb ludności polskiej. Niemcy wcześniej zdemontowali w nim napęd i cały obiekt zamknęli. Było do niego jednak wejście od strony sąsiadów. Potrzebny był jednak silnik, by uruchomić młyn. Ja ten silnik zdobyłem, kradnąc go Niemcom z warsztatu. Młyn nie mógł oczywiście pracować na okrągło. Był włączany tylko nocą, gdy było wiadomo, że w pobliżu nie ma Niemców i ukraińskich szpicli. Młyn,

jak sobie przypominam, należał do Wiśniewskich, a wejście do niego było od Stasalów.

Gdy zginął silnik, było wiadomo, że Niemcy będą sprawdzać, co się z nim stało i dojdą do tego, kto go im gwizdnął. Musiałem więc schronić się u „Jastrzębia". Gdy się u niego zjawiłem, oddział był w fazie organizacji. Pierwszy pluton, już sformowany, chodził w polu. Mnie przydzielono do drugiego, który się dopiero tworzył. Miał już wszystkie drużyny, ale ich stan był niewielki, do każdej należało trzech, czterech chłopaków. Drużyny te jednak szybko rosły w siłę. Chętnych do oddziału nie brakowało. Bandy ukraińskie szalały, krew polska lała się strumieniami. Nie było nocy, żeby nie widać było łun płonących polskich wsi. Gdyby dowództwo AK zdecydowało się na utworzenie wcześniej zbrojnego oddziału, to ofiar wśród ludności polskiej mogło być znacznie mniej. Podobno Władysław, czyli „Jastrząb", chciał je tworzyć, ale nie dostał zgody. Zaczął organizować oddział w Zasmykach, gdy rzezie osiągnęły swoje apogeum. Do oddziału garnęli się różni ludzie, zarówno młodzi chłopcy, jak i dorośli mężczyźni, mający za sobą służbę w Wojsku Polskim i boje w kampanii wrześniowej. Wszyscy chcieli się bić i przeciwstawić się ukraińskiemu zwyrodnialstwu!

Wieści, które docierały do Zasmyk, przywożone przez uciekinierów z mordowanych polskich wsi, budziły przerażenie. Młodzi ludzie, którzy byli świadkami mordów, w ciągu jednej nocy potrafili osiwieć. Ukraińcy rąbali Polaków siekierami, miażdżyli głowy żelaznymi łomami, podrzynali gardła, wrzucano niemowlęta do płonących domów. Wstępujący do oddziału przyjmowali różne pseudonimy. Ja przyjąłem pseudonim „Pomsta". Nie znaczy to, że chciałem się mścić. Doskonale wiedziałem, że wśród Ukraińców są różni ludzie. O tym także, że boją się przeciwstawić nacjonalistom, bo ci na wszystkich swych ziomków, którzy odważyliby się pomagać Polakom, wydali wyrok śmierci. Jak złapali takiego, to też ginął w męczarniach.

Nie tylko on, ale cała rodzina. Zbrodniarze oczywiście wśród Ukraińców też byli. Ich odsetek był znacznie wyższy niż wśród innych narodów.

Pamiętam, jak w latach dziewięćdziesiątych, już jako kombatant, pojawiłem sie w Zasmykach. Była w nich już zbudowana kaplica, będąca pomniejszoną repliką kościoła zniszczonego w czasie II wojny światowej. Obok tej wskrzeszonej świątyni rósł dąb, pod którym siedział jakiś staruszek. Drogą szła jakaś kobieta, też staruszka, która, jak było widać, znała tego dziadka. Gdy zobaczyła, że siedzi, przystanęła i laską wskazała na kapliczkę, a potem spytała tego mężczyznę:

— Jak twoje serce pozwala ci tu siedzieć, skoro ty tylu Polaków zarżnąłeś?

Spytałem ją, kim jest. Powiedziała, że Ukrainką i że dobrze zna tego mężczyznę banderowca-zbrodniarza! Wielu tych oprawców ludności polskiej jeszcze żyje. Czy gryzie ich sumienie, czy nie mogą spać po nocach, czy słyszą jęki mordowanych ludzi, nie wiem. W każdym razie, gdyby oddział „Jastrzębia" nie zaczął szybko działać, to straty wśród ludności polskiej byłyby o kilkadziesiąt tysięcy wyższe. Gdy zaczęliśmy krążyć wokół Zasmyk, Ukraińcy nie mogli bezkarnie na tym terenie dokonywać rzezi. Swoją pierwszą, walkę stoczyłem w Peresiece, gdzieś w okolicy Hołub. Walczyliśmy jednak nie z Ukraińcami, ale z Niemcami. Ukraińcy bowiem stosowali taką metodę walki z Polakami, że gdy sami nie mogli nam dać rady, to napuszczali na nas Niemców. Namówić ich do ataku na oddział „Jastrzębia" pod Hołobami nie było łatwo. Blokowaliśmy bowiem drogę wiodącą do Hołub, w których znajdowały się zorganizowane przez Niemców magazyny.

Naszą intencją nie była wówczas jeszcze walka z Niemcami. W Peresiece nasze dowództwo postanowiło zorganizować coś w rodzaju szkoły podoficerskiej. Wieś miała charakter mieszany.

Mieszkali w nim zarówno Polacy, jak i Ukraińcy. Banderowcy jeszcze tu nie dotarli, żeby „zrobić porządek z Polakami". Jakiś patrol UPA tu się jednak musiał zapuścić, bo zanim tu przyszliśmy, ktoś wrzucił granat do jednego z domów, w którym przebywał żołnierz „Jastrzębia", kapral „Błyskawica". Jeden z domowników zginął, a „Błyskawica" został ciężko ranny. Gdy my się pojawiliśmy, banderowcy wyparowali. Chcieli się jednak nas pozbyć i donieśli o tym, że przebywamy w Peresiece, Niemcom.

Jak wynikało to z późniejszych zeznań jeńców niemieckich, których wzięliśmy do niewoli, Ukraińcy poinformowali, że na ich zapleczu powstaje armia polska. Jeden z jej oddziałów miał stacjonować w Peresiece. Niemcy nie wierzyli i wysłali niewielki oddział, żeby sprawdził tę informację. Myśmy oczywiście zachowywali środki ostrożności. Na wzgórzu dominującym nad wsią od północnego zachodu stali wartownicy-obserwatorzy. Mieli dobry widok na całą okolicę. Zazwyczaj się jednak nudzili, bo na przedpolu ruchu zazwyczaj nie było żadnego.

Pamiętam, że zdarzenie to miało miejsce w grudniu, ale dzień był ciepły i słoneczny. Należałem do plutonu, który kwaterował najbliżej wzgórza. Odbyliśmy zajęcia przedpołudniowe i zjedliśmy obiad, gdy nagle rozległy się strzały. To wartownicy zauważyli, że na furmankach jadą Niemcy i dali ognia. W zasadzie nie byli pewni, że są to Niemcy, bo banderowcy też chodzili w ich mundurach, które zdobyli, gdy byli ich sprzymierzeńcami na wszelki wypadek. Napastnicy jechali na furmankach. Nie pamiętam, ilu ich było — dziesięć czy piętnaście. Niemcy byli całkowicie zaskoczeni.

Gdy zaczęły koło nich gwizdać kule, to większość z nich zawróciła furmanki i uciekła. Myśmy dali ostro ognia. Pięciu Niemców zginęło, a trzech wzięliśmy do niewoli. Oficerowie ich przesłuchiwali i zwolnili. Niemcy się jednak wściekli i na drugi dzień najechali wieś i nie zastawszy w niej nikogo puścili ją z dymem. Nas tam już nie było, bo

jeszcze tego samego dnia wymaszerowaliśmy do lasu Lityńskiego. Warunki życia i działania podczas pierwszych dni pierwszej partyzanckiej zimy były bardzo trudne. Biwakowaliśmy przede wszystkim w lesie w zaimprowizowanych szałasach, a zima była śnieżna i mroźna. Brakowało nam żywności, a oddział się rozrastał. Od ludności polskiej nie mogliśmy uzyskać żadnej pomocy, ta bowiem sama nie miała co jeść. Całą posiadaną żywnością dzieliła się z uciekinierami z mordowanych polskich wsi, która szukała schronienia na obszarze kontrolowanym przez oddział „Jastrzębia".

Nasz dowódca podjął decyzję: ruszymy na zamożną ukraińską wieś, stanowiącą bazę zaopatrzeniową UPA. Jego wybór padł na Łowiszcze. Gdy tam się zjawiliśmy, mieszkańcy tej miejscowości, razem z kwaterującymi u nich banderowcami, uciekła do pobliskiego lasu. Banderowcy usiłowali się ostrzeliwać, ale strzelali niecelnie. Myśmy nie odpowiadali, wiedząc, że wśród uciekających są kobiety i dzieci. Załadowaliśmy na wozy, co się dało i odjechaliśmy. Nie wszystkim chłopakom ta rekwizycja się podobała, ale nie mieliśmy wyjścia. To Ukraińcy zaczęli palić i mordować polskie wsie, rabując ich dobytek. Gdyby ich nie ruszyli, to mielibyśmy w polskich wsiach bazy zaopatrzeniowe. Walczylibyśmy też tylko z Niemcami.

Broń maszynowa do przodu

— Z przeżyć w oddziale „Jastrzębia" z pierwszego okresu jego działania tak jak wielu jego członków zapamiętałem szczególnie wigilię w Kupiczowie — wspomina Franciszek Leszczyński. — Miała ona miejsce w Domu Ludowym w w tej wiosce. Wzięło w nim udział kilka naszych oddziałów, które powstały na Wołyniu, by bronić narodowej ludności polskiej. Gospodarze, czyli Czesi mieszkający w tej miejscowości, przyjęli nas bardzo gościnnie. Na stole nie było

wprawdzie dwunastu potraw, ale atmosfera utworzyła się wspaniała. Wszyscy łamali się opłatkiem, składali sobie życzenia.

Dla wielu oddział „Jastrzębia" był już jedyną rodziną, bo ich bliscy zostali już zamordowani, często w okrutny sposób, przez Ukraińców. Każdy zdawał sobie sprawę, że może być to jego ostatnia wigilia. Gdy ksiądz Michał Żukowski zaintonował kolędę „Bóg się rodzi", wielu z nas głos się łamał. Niewielu chłopaków przypuszczało, że za parenaście godzin przyjdzie im ruszyć w bój z banderowcami, którzy postanowili urządzić Polakom „krwawe świętowanie". Sądzili, że w czasie świąt Bożego Narodzenia Polacy będą mniej czujni i będzie można ich podejść i wyrżnąć.

W pierwszy dzień świąt banderowcy, przebrani za Niemców, zaatakowali dwie polskie wsie, Janówkę i Radomlę. Były w nich oddziały polskiej samoobrony, ale niestety za słabe, by stawić banderowcom skuteczny opór. Musiały się wycofać i napastnicy mogli bezkarnie mordować! Ci, jak później zobaczyliśmy to na własne oczy, szli od chałupy do chałupy i palili wszystkie zabudowania. Jeżeli ktoś nie zdążył uciec, był mordowany w okrutny sposób. My staliśmy w odległości kilkunastu kilometrów i nie mogliśmy szybko doskoczyć z pomocą. Banderowcy przewidzieli także, że będziemy chcieli ruszyć im z odsieczą i w Litynie przygotowali na nas zasadzkę. Moja kompania ruszyła na saniach w stronę Janówki i Radomla.

Lityń objechaliśmy, by nie wdawać się w walkę z banderowcami. Zaszliśmy napastników z boku, od strony Piórkowicz. Byli oni na skraju Stanisławówki i w niej zaczęli swoje zbrodnicze dzieło. Daliśmy ognia i banderowcy, nie podejmując walki, rzucili się do ucieczki. Mogliśmy tylko zaopiekować się gromadą uciekinierów, którzy w efekcie ukraińskiego ataku stracili domy i dobytek. W sumie banderowcy spalili niestety całą Janówkę i Radomlę, mordując w obu wsiach 53 osoby! Udało się na schwytać popa, którego banderowcy wieźli ze sobą, żeby odprawił w Zasmykach nabożeństwo

dziękczynne za sukces w wymordowaniu Polaków. Miał ze sobą komplet szat liturgicznych, żeby wykonać swoje zadanie. „Jastrząb" był wściekły, uznał, że następnego dnia wyruszymy do Radowicz, ukraińskiej wsi, żeby wziąć odwet.

Z tej miejscowości mieli się wywodzić rezuny, którzy dokonywali mordu w Radomli i w Janówce. Gdy tam ruszyliśmy, nie napotkaliśmy żadnego oporu. Wszyscy z tej miejscowości uciekli. Było to potwierdzenie, że rozpoznanie „Jastrzębia" było bardzo celne i winowajcy, spodziewając się kontrakcji, najzwyczajniej uciekli. Wróciliśmy do Zasmyk, a później przenieśliśmy się do Suszybaby. Kiedyś, już dokładnie nie pamiętam, było to chyba w połowie stycznia 1944 r., otrzymaliśmy wiadomość, że ktoś pacyfikuje Zasmyki. Natychmiast się poderwaliśmy, ale „Jastrząb" zatrzymał oddział i pchnął rozpoznanie do wsi. Zwiad przyniósł wiadomość, że w Zasmykach „gospodarzą" nie Ukraińcy, ale Niemcy, pacyfikując kolejne zabudowania. „Jastrząb" chciał natychmiast ruszyć, ale został zatrzymany przez innych oficerów. Pułkownik „Luboń", szef ówczesnej konspiracji, zakazywał bowiem walki z Niemcami. Uważał, może i słusznie, że walki na dwa ognie Polacy nie wytrzymają.

Po kilku dniach, czyli w styczniu 1944 r., nasz oddział zaczął się rozrastać. Z Kowla do naszego oddziału zaczęła przybywać cała młodzież kowelska. Oddział „Jastrzębia" przekształcono w batalion. Zaczęły się też tworzyć inne bataliony, dające podstawę do tworzenia jednego z dwóch zgrupowań dywizji. Powstawał pułk piechoty z wszystkimi towarzyszącymi służbami. Formalnie jednak dywizja nie została jeszcze powołana do życia. W tym okresie nasz batalion wykonywał różne zadania. Odprowadzaliśmy m.in. oddział „Krwawej Łuny" pod tory kolejowe Kowel–Włodzimierz. Dowództwo bowiem obawiało się, że będzie on za słaby, żeby odeprzeć atak banderowców lub Niemców. Szliśmy przez wsie ukraińskie, demonstracyjnie pokazując swoją siłę. Wielu ich mieszkańców

wychodziło na ulicę, sądząc, że to idą banderowcy. Gdy nie dostrzegli jednak na naszych czapkach tryzubów, byli wyraźnie zmieszani. Po powrocie, wraz z innymi oddziałami, ruszyliśmy na wieś Szczurzyn, stanowiącą banderowską bazę. Według naszych informatorów wyruszały z niej banderowskie watahy, by napadać na polskie wsie. Ruszyliśmy na tę wieś tyralierą, chcąc ją okrążyć, by żaden z banderowców nie zdołał uciec. Ci jednak nie czekali na nasz atak, tylko porzucili swoją bazę i najzwyczajniej uciekli.

Byli oni mocni, gdy mordowali bezbronnych. Gdy musieli stawić czoło uzbrojonym oddziałom o wysokim morale, to zawsze uciekali, nie podejmując walki. Podobnie było w Wierzbicznie. Stacjonujący w nim banderowcy też stchórzyli i uciekli. Później zajęliśmy Ossę, w której staliśmy trochę dłużej. Ukraińcy bali się Ossy. Kursowało wśród nich powiedzenie: „Ossa zdarowo kusajetsa!".

Dla Ukraińców nasze wyprawy istotnie były groźne! Pamiętam jedną z nich, rajd gdzieś aż pod Sokół nad Bugiem, by dodać otuchy mieszkającym tam Polakom. Ukraińcy także ich mordowali. Polacy z tamtejszych wsi w dzień byli w domu, a nocami, kiedy to banderowcy najczęściej atakowali, chronili się na drugiej stronie Bugu, kontrolowanej przez Niemców. Rano ponownie wracali. Mieszkańcy dwóch wsi, którzy na jedną noc pozostali w domach, zostali przez Ukraińców wymordowani. Wracając, trafiliśmy do Różyna, gdzie banderowcy też dokonali rzezi. Gdy maszerowaliśmy dalej, na nasze tyły najechali poruszający się furmankami banderowcy. Nie mogli się już wycofać, więc dali do nas ognia. Tylna straż oddziału szybko jednak opanowała sytuację. Ci banderowcy, którzy od razu nie rzucili się do ucieczki, zginęli. Zabito też, o ile sobie dobrze przypominam, cztery konie. Przy jednym z zastrzelonych Ukraińców znaleźliśmy książkę rozkazów oddziału, w której było napisane, gdzie toczył walki, gdzie mordował, ilu Polaków, w jakiej wsi padli jego ofiarą. Z książki tej wynikało, że

jechali do sztabu UPA do Świniarzyna, wokół którego znajdowały się bazy banderowców. Myśmy jednak stanęli im na drodze.

W Ossie dowiedzieliśmy się, że stanowimy część składową 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, która będzie zorganizowana na wzór wojskowy z wszystkimi służbami. Poinformowano nas też, że dowódcą nowej jednostki zostanie ppłk „Oliwa". Zobaczyliśmy go, gdy przed frontem zgrupowania przyjmował meldunek. Był młody, szczupły, doskonale się prezentował. Chętnych do walki w szeregach dywizji było sporo. Z Kowla ściągnęła do dywizji cała polska młodzież. Brakowało jednak broni. Ja miałem takie szczęście, że zostałem cekaemistą. Byłem rosły i silny. „Jastrząb" przydzielił mnie do obsługi ciężkiego karabinu maszynowego. Żelastwo to ważyło trzydzieści kilogramów i musiałem to dźwigać na ramieniu. Tyle samo nosił mój amunicyjny Władziu Myśliński, noszący taśmy z amunicją. To, że przeżyliśmy wszystkie boje, to prawdziwy cud! Gdy tylko zaczynał się bój, padała komenda: „Broń maszynowa do przodu!". Jeszcze i dziś śni mi się ona po nocach. Budzę się cały oblany potem i nie mogę spać. Czasami krzyczę: „Władziu!, gdzie jesteś?" — Władziu zawsze chodził za mną jak cień. Ile on się, biedak, nadźwigał tej amunicji! Do walki ruszaliśmy co rusz.

Nasz batalion w zgrupowaniu uchodził za jeden z najlepszych i rzucano go do boju na najbardziej zagrożone bądź najtrudniejsze odcinki walki, toczone przez dywizję. Pamiętam walki o Hołoby. Mieliśmy opanować miasteczko, w którym znajdowały się duże magazyny niemieckiej broni. Nasz oddział ruszył do przodu i zrobił to bardzo skutecznie. Opanowaliśmy całe miasteczko i utrzymywaliśmy swoim ogniem Niemców na pozycjach. Niemcy od czasu do czasu się ostrzeliwali, ale widząc, że my im nie robimy krzywdy, to i oni strzelali w powietrze. Później okazało się, że cały nasz atak poszedł na darmo. Batalion „Siwego" stał bezczynnie na boku i nie wykonał

rozkazu! Bał się ruszyć do ataku. Ponoć czekał na majora „Kowala", który zatrzymał się w pobliskiej Dąbrowie i usnął po paru nieprzespanych nocach. Ordynans go podobno nie obudził i „Siwy" nie wszedł w odpowiednim momencie do akcji. „Jastrząb", widząc, że akcja się nie rozwija tak, jak powinna, kazał nam odskoczyć i dzięki temu nie ponieśliśmy żadnych strat. „Jastrząb", jak go widziałem, był jednak wściekły. Cała akcja nie udała się tylko z powodu, że paru dowódców okazało się gówniarzami, bojącymi się poderwać oddział do natarcia.

W drugiej połowie marca Sowieci podeszli pod Kowel. Tempo ich natarcia wskazywało, że kontynuując je, zajmą Kowel z marszu. Rzeczywistość okazała się jednak inna. Niemcy ufortyfikowali jednak Kowel i przez cztery miesiące zażarcie go bronili, sądząc, że bez opanowania tego ważnego węzła kolejowego Sowieci nie będą w stanie szybko pójść do przodu. Dywizja wspierała w walkach o Kowel wojska sowieckie i wraz z częścią z nich znalazła się w okrążeniu, tocząc ciężkie boje z Niemcami. Mimo miażdżącej przewagi wroga stawialiśmy zacięty opór, ponosząc ciężkie straty. Zapamiętałem szczególnie walkę pod Staweczkami, Władynopolem i Pustynką. W toku walk poległ dowódca dywizji, a ona sama znalazła się w okrążeniu. By się z niego wydostać, dywizja przeszła tory i pomaszerowała do Lasów Szackich. Nie wszystkim to się udało. Część batalionu „Jastrzębia" wraz z dowódcą nie zdołała przejść torów. Ja też znalazłem się w tej grupie, która, wchłaniając innych rozbitków, szybko rozrosła się do dwustu ludzi.

Niemcy zdawali sobie sprawę, ze nie wszyscy żołnierze dywizji przeszli tory i usiłowali nas wytropić i zlikwidować! Czuliśmy się jak ścigana zwierzyna. Oddział stale się rozrastał. „Jastrząb" robił, co mógł, żeby przywrócić w oddziale dyscyplinę i porządek. Wszystkim nam doskwierał głód. Mieliśmy bardzo duże problemy ze zdobyciem żywności. Po jakimś czasie udało się nam przejść przez tory

i przedostać się na Polesie. Ruszyliśmy w pogoń za dywizją. Była to dla nas ciężka przeprawa. Dwa razy przechodziłem kanał po szyję w wodzie, dźwigając nad głową karabin maszynowy. Chodziliśmy po bagnach, żeby nie natknąć się na Niemców, Węgrów lub ukraińskich esesmanów w służbie niemieckiej.

Bagna były naszym przekleństwem,ale z drugiej strony ratowały nam życie. Pamiętam, że raz dostaliśmy się pod silny ostrzał z moździerzy. Pociski te nie eksplodowały jednak. Każdy z nich, żeby wybuchnąć, musiał uderzyć zapalnikiem w twardy grunt. Wpadając do bagna, moździerzowe granaty się wbijały w niego jak w masło, nie robiąc nikomu krzywdy. Niektóre wybuchały, ale nie przypominam sobie, żeby ktoś od nich zginął.

Z tego okresu pamiętam smutne wydarzenie. Pociągnąłem serią i przestrzeliłem piersi jednemu Węgrowi. Żył jeszcze, gdy do niego podszedłem. Jeńcy, których wtedy wzięliśmy, zabrali go na nosze i ponieśli do swoich. Pokazałem im nawet, jak w polowych warunkach zrobić nosze, bo tego nie potrafili. Robi się zaś je prosto: zapina się płaszcz żołnierski i nakłada przez rękawy na dwa karabiny. Węgrzy zrobili tak, jak im radziłem i ponieśli swego kamrata, ale żywego go chyba nie donieśli. Szkoda mi bardzo tego chłopaka, ale wiadomo: wojna to wojna!

Po jakimś czasie udało się nam dotrzeć do Bugu. Przeszliśmy go w bród. Miejscami woda sięgała do szyi. Zatrzymaliśmy się po drugiej stronie Bugu we wsi Zabłocie, gdzie przyjęto nas bardzo gościnnie. Wkrótce dotarliśmy do dywizji, która kwaterowała w okolicach Ostrowa Lubelskiego. Mogliśmy wreszcie trochę odpocząć, wyleczyć rany i wszelkie dolegliwości. Dowództwo umieściło nas w Rudce Kijańskiej. Mieszkaliśmy w dwóch dużych stodołach w środku wsi, a stołowaliśmy się u gospodarzy. Każdy z nas otrzymał karteczkę, do jakiego gospodarza ma się zgłosić, żeby otrzymać pożywienie. Gdy tylko zdążyliśmy odpocząć, otrzymaliśmy

rozkaz wymarszu do Lasów Parczewskich. Dotyczył on wszystkich oddziałów, wchodzących w skład dywizji. Na dotychczasowym miejscu pozostać nie mogliśmy, bo Niemcy zaczęli je otaczać, żeby zlikwidować stacjonujące w niej oddziały.

„To akowiec niech zdycha”

— Udało się nam wyjść z niemieckiego okrążenia — wspomina Franciszek Leszczyński. — Walki nie udało się jednak uniknąć. Niemcy obsadzili bowiem linię kolejową Lubartów–Parczew i musieliśmy się przebijać. Następnie skierowano nas do Lubartowa. Mieliśmy zająć to miasto. Zadanie to wykonaliśmy bez większych trudności. Następnie przeszliśmy w szyku dwójkowym przez całe miasto, entuzjastycznie witani przez ludność miasta. Inne oddziały dywizji zajęły wtedy Kock i Firlej. Z Lubartowa niestety musieliśmy się wycofać. Przybył do miasta niejaki Grzegorz Korczyński, który oświadczył, że jest przedstawicielem PKWN i z jego pełnomocnictwa przejmuje kontrolę nad miastem. Dowództwo dywizji, aby uniknąć niepotrzebnej walki, zgodziło się na opuszczenie miasta.

Na rogatkach Lubartowa stały bowiem sowieckie czołgi. Szeregowi żołnierze niewiele z tej całej sytuacji rozumieli. W pierwszej chwili byliśmy gotowi bić się z Sowietami, ale nasi dowódcy przypomnieli o dyscyplinie. Opuściliśmy więc Lubartów, lokując się w Kamionce i Nowym Dworze. Stamtąd pomaszerowaliśmy do Skrobowa, gdzie miano nas dozbroić, żebyśmy mogli iść na Warszawę.

Tam niestety Sowieci przygotowali dla nas zasadzkę. Weszliśmy do worka, z którego nie było możliwości ucieczki. Gdybyśmy stawili opór, wystrzelaliby nas jak kaczki. „Jastrząb” z kilkoma odważnymi próbował się wymknąć i niestety musiał z nimi zawrócić, gdy nad ich głowami przeleciała seria z karabinu maszynowego. Sowieci otoczyli

teren Skrobowa trzema liniami piechoty, wzmocnionymi czołgami i artylerią. „Jastrząb" był wstrząśnięty sytuacją. Zwolnił nas z obowiązków żołnierskich i dał każdemu po 5 dolarów! Podziękował wszystkim za służbę, zapewnił też nas, że krew żołnierska przelana za ojczyznę nie pójdzie na marne i że nawet po latach wyda oczekiwany plon. Ze Skrobowa większość z nas pomaszerowała do Lublina. Wielu wstąpiło do Wojska Berlinga. Niektórzy dobrowolnie, bo nie mieli dokąd pójść, inni pod przymusem, bo podlegali mobilizacji. Część żołnierzy „Jastrzębia", wraz z nim samym, zaczęła się ukrywać i wstąpiła do antykomunistycznego podziemia. Ja też zacząłem się kamuflować i szukać rodziców. Gdy wstąpiłem do oddziału „Jastrzębia", rodzice postanowili opuścić Wołyń i przejechać na drugą stronę Bugu, do Generalnego Gubernatorstwa. Pomógł im w tym starszy nastawniczy ze stacji w Kowlu, niejaki Pogorzelski, który przewiózł ich w towarowym wagonie. Otrzymał za to od rodziców krowę.

Tato z mamą najpierw zatrzymali się w Dęblinie. Tam jednak za długo nie mieszkali. Musieli się przenieść do Puław. Stamtąd również ruszyli dalej. Najpierw przebywali w jakiejś miejscowości pod Warszawą, której nazwy już nie pamiętam. Następnie udali się do Czesławic koło Nałęczowa, a następnie do samego Nałęczowa. Tu został zatrzymany przez Ruskich, którzy wcielili go do czegoś w rodzaju kolejowego batalionu pracy, zajmującego się przekuwaniem torów. Sowieci, gdy stanęli nad Wisłą i zaczęli zbierać siły do przełamania frontu niemieckiego, przystąpili bowiem do poszerzania torów, by transporty wojskowe mogły podjeżdżać jak najbliżej jednostek wojskowych.

Praca przy przekuwaniu torów była bardzo ciężka. Odbywała się ona niezależnie od warunków atmosferycznych. Ojciec się zaziębił, dostał zapalenia płuc i zmarł w wieku 57 lat! Ja w tym czasie krążyłem po Lubelszczyźnie. We Włodawie na ulicy zostałem

postrzelony przez patrol UB. Szedłem pod silny wiatr i nie słyszałem jego wezwania do zatrzymania. Puścili za mną serię z pepeszy. Upadłem na chodnik, mocno krwawiąc. Podeszli do mnie ostrożnie, z wycelowaną bronią. Spytali mnie, kim jestem. Myślałem, że to już koniec ze mną, więc powiedziałem, że byłem żołnierzem 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Uznali, że zaraz umrę, więc mnie nie zabrali ani nie udzielili mi pomocy. Ich dowódca stwierdził krótko: „To akowiec, niech zdycha!". Widocznie uznał, że szkoda kuli, żeby mnie dobić!

Z ulicy do szpitala zabrały mnie dwie kobiety. Tam mnie opatrzono, ale nie chciano mnie przyjąć. Kobiety zawiozły mnie do Wołoskiej Woli, gdzie w prywatnym domu mieścił się szpitalik dla okolicznej ludności. Tam jednak felczer orzekł, że moje rany wymagają leczenia szpitalnego. Stamtąd trafiłem do Lubartowa, a z niego do szpitala w Lublinie. Tam pracowała taka siostra szarytka, która się mną profesjonalnie zajęła. W szpitalu pracował też taki doktor Skowroński, który oczyścił mi rany, powyciągał odłamki i doprowadził mi biodro do porządku. Później odnalazłem w Nałęczowie rodzinę. Długo się jednak u niej nie zatrzymałem. Wszędzie polowano na akowców, więc aby zatrzeć za sobą ślady, zacząłem wędrować po Polsce. Pracowałem w Łodzi, Krakowie, Katowicach, Częstochowie, Wrocławiu, Połczynie-Zdroju, Szczecinku.

Na dłużej zatrzymałem się w Płocicznie koło Suwałk. W końcu przyjechałem do Lublina, gdzie zacząłem pracować w Zakładach Metalowych na Długosza. Po półtora roku przyszedł do nich nowy dyrektor. Czytać i pisać za bardzo nie umiał, ale był strasznym komunistą. Zaczął robić w zakładach swoje porządki. Uznał, że młodzież robotniczą, która przychodzi do pracy, mają wychowywać tylko komuniści!

Ponieważ ja nim nie byłem, więc zwolniono mnie z pracy, żebym nie wywierał złego wpływu na młodzież. Na szczęście spotkałem

znajomego, który pracował na kolei w rejonie budynku. Powiedział mi: „Przychodź, chłopie, do nas do pracy!”. Przez cztery lata byłem tam zatrudniony. Później przeniosłem się do szpitala kolejowego, z którego przed trzydziestu sześciu laty odszedłem na emeryturę. Gdy pracowałem w szpitalu kolejowym jako kierownik brygady remontowej, to Służba Bezpieczeństwa już się mną nie zajmowała. Przynajmniej nie bezpośrednio. Nie znaczy to, że o mnie zapomniała. Oficer, zajmujący się nadzorem nad szpitalem, przychodził do mego przełożonego i pytał, jak się zachowuję, jakie mam poglądy, czy nie uprawiam wrogiej propagandy itp.

Dyrektor mnie cenił, bo zawsze byłem pod ręką i naprawiałem wszystkie awarie. Pozostawałem też dostępny pod kolejowym telefonem i jak coś z urządzeń technicznych w szpitalu nawaliło, to zawsze mnie wzywano i musiałem zakasywać rękawy i brać się do roboty! Robotnicy w mojej brygadzie mieszkali na wsiach i ich ściągnięcie trwałoby zbyt długo, by szybko usunąć awarię. Nawet w czasie urlopu mnie ściągano. Gdy poskarżyłem się dyrektorowi, to ten poradził mi: „Jak pan masz urlop, to nie siedź, pan, w domu, tylko wyjedź pan na wczasy, bo tak zawsze będzie pan ściągany”. Posłuchałem oczywiście jego rady.

Jak komuna upadła i powstało lubelskie środowisko kombatanckie 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, to ja oczywiście nawiązałem z nim kontakt. Tym bardziej, że na jego czele stał wówczas mój serdeczny przyjaciel, Leon Karłowicz. Znałem go bardzo dobrze jeszcze pod prawdziwym nazwiskiem — jako Leona Mariańskiego. Był moim towarzyszem broni w oddziale „Jastrzębia”. Często braliśmy udział w tych samych akcjach, strzelając ze stanowisk znajdujących się obok siebie. W jednej z bitew został ciężko ranny i na kilka tygodni trafił do szpitala polowego. Po wojnie działał w konspiracji i żeby zatrzeć za sobą ślady, zmienił nazwisko, przyjmując nazwisko ciotki. Zamieszkał w Pszczelej Woli, gdzie po ukończeniu studiów na

KUL-u, został nauczycielem historii w Technikum Pszczelarskim w Pszczelej Woli. Często do niego jeździłem.

W latach dziewięćdziesiątych, gdy zdrowie mi jeszcze dopisywało, byłem z kolegami kilkakrotnie na Wołyniu. Odwiedziłem m.in. Kowel, Zasmyki, Kupiczów i Polesie. Byłem z innymi na grobach naszych towarzyszy broni. Po polsku niestety z nikim tam już nie porozmawiałem. Spotkałem tam kobietę, która mówiła, że jest Polką, zacząłem więc mówić do niej po polsku, a ona do mnie po ukraińsku:

— Howoryty do mene pane po ukraiński, bo ja zabyła howoryty po polsku! Rozumiju, ale howoryty ne umieju!

Mieszkających na Wołyniu Polaków, tych żyjących tam z dziada pradziada, już nie ma. Wszyscy stanowią praktycznie element napływowy. Głównie z części Wołynia, która po Traktacie Ryskim pozostała za Wilią i Horyniem. Większość z nich ma za sobą wywózki do Kazachstanu i pobyt na zesłaniu w tym kraju przez wiele lat. Pozwolono im wrócić, a że nie mieli gdzie wracać, bo ich siedziby zostały w większości zniszczone, więc osiedlili się na zachodnim Wołyniu. Są jednak całkowicie ukrainizowani. W czasie jednej z naszych kombatanckich wycieczek na Wołyń spotkaliśmy też kiedyś taką grupę Ukraińców, spoglądających na nas spode łba. Jeden z nich oświadczył nam:

— Wołyń to nasza ukraińska Zemla!

Ja mu odpowiedziałem:

— Nie! To nie wasza ukraińska ziemia. Pan Bóg stworzył tę ziemię dla wszystkich narodów, żeby wszyscy żyli zgodnie jak ludzie, żeby jeden drugiego nie mordował, nie zabijał. Ręce powinny służyć człowiekowi do pracy, nie do mordowania. A wy co na tej ziemi zrobiliście? — zapytałem na koniec.

Ukraińcy pospuszczali głowy, a jeden z nich powiedział:

— Prawdu howoryty!

Mówiąc o swoich podróżach, chciałbym wspomnieć jeszcze o swoich wyjazdach do Związku Radzieckiego. Korzystając z zaproszenia rodziny, jeździłem tam bardzo często. Moja rodzina znalazła się tam w efekcie wywózek. W Barnaule na Syberii mieszkała moja ciotka, czyli siostra matki. Jej mąż zginął nie wiadomo po dziś dzień, gdzie — czy w Katyniu, czy w Miednoje. Jej dzieci rozjechały się po dawnym Związku Radzieckim i ona już została w nim na wsiegda!

Pierwszy raz pojechałem tam jeszcze z mamusią. Gdy zobaczyłem ciotkę, to się przeraziłem. Boże, jak ona była pomarszczona. Wyglądała jak zgnieciona! Jak zaczęła opowiadać, co przeszła wraz z innymi zesłańcami, to włosy zjeżyły mi się na głowie. Od razu oświadczono mi, że są biezpawarotni — czyli bez prawa powrotu. Po wielu zesłańcach, którzy zmarli w czasie wojny, nie pozostał nawet grób. Zimą nie było jak w wiecznej zmarzlinie kopać grobu. Zmarłych wywożono za osadę i wyrzucano w śnieg. Resztę robiły wilki i niedźwiedzie.

Dwie córki ciotki mieszkały w Krasnodarze. Jedna z nich zapisała się jako Rosjanka i dzięki temu mogła ukończyć studia i zostać głównym inżynierem ruchu lotniczego na lotnisku w Krasnodarze. Była bardzo lubiana przez pilotów. Podpisywała książkę lotów i żaden z nich nie wystartował ani nie wylądował bez jej zgody. Jej siostra, czyli druga moja kuzynka, dużo piła. Bożę, jak ona piła! Straszną cukrzycę miała, ale nie zwracała na to uwagi. Piła szklankami. Ustrój sowiecki niszczył ludzi. Ludzie szukali zapomnienia w alkoholu i topiąc swoje smutki, niszczyli swoje zdrowie. Pracowała jako kierowniczka hotelu lotniczego. Obie już nie żyją! Jeździliśmy do nich bardzo często.

Trochę byliśmy z żoną w Krasnodarze, a następnie jechaliśmy do miejscowości Grendzik nad Morzem Czarnym, gdzie znakomicie wypoczywałem. Czasami robiłem tak, że siedziałem tam półtora

miesiąca, a nawet dwa, wykorzystując zaległy urlop. Po powrocie tłumaczyłem dyrektorowi, że nie mogłem wcześniej wrócić, ponieważ nie dostałem biletu na samolot, a inną drogą stamtąd wrócić nie można. Dyrektor się tylko uśmiechał. Sam mi przecież radził, że jak mam urlop, to powinienem wyjechać, bo inaczej w przypadku awarii zawsze będę do szpitala ściągany. Dziś jestem już mocno schorowany i z domu praktycznie nie wychodzę. Środowisko lubelskie 27 WDP AK praktycznie o mnie zapomniało. Nikt mnie nie odwiedza. Ja zaś nie mam siły, żeby pójść na jakieś spotkanie. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Wstaję rano i byle do wieczora.

Dyoniza Szwed

Tę szkołę będę pamiętać do końca życia

— Urodziłam się 16 lipca 1925 r. w Łucku, który był stolicą województwa wołyńskiego — wspomina Dyoniza Szwed. — Żyję już 90 lat i nigdy nie spotkałam kobiety o takim imieniu jak ja. Do niedawna pisałam się Dioniza, ale przy okazji wyrabiania kolejnego paszportu wezwano mnie do biura paszportowego, informując, że muszę poprawić wniosek. Okazało się, że przy zmianie zasad językowych, kiedy literę „y" zamieniono na „i", pisownia imion nie uległa zmianie. Pisze się więc Dyoniza.

Moja mama miała na imię Anna, z domu Kornatka, a ojciec Michał. Mama pochodziła z Chęcin, a ojciec z Mińska Mazowieckiego. Poznali się i pobrali w Łucku, gdzie ja się urodziłam. Jak się tam znaleźli, nie wiem. Mój tato zajmował się budową sierocińca w tym mieście. Po I wojnie światowej na całym Wołyniu i w Łucku było wiele sierot, którymi nie miał się kto zająć. Problem ten usiłował rozwiązać Kościół rzymskokatolicki. Rektor Łuckiego Seminarium Duchownego postanowił zbudować dla nich sierociniec i zatrudnił do tego mojego ojca. Był stolarzem, ale znał się na ciesielce i wszystkich pracach budowlanych. O tym, że ceniono go jako fachowca, świadczy fakt, że pełnił funkcję prezesa Izby Rzemieślniczej w Łucku.

Przy budowie sierocińca ojciec prowadził wszystkie roboty. Do tego stopnia zaprzyjaźnił się z księdzem, że postanowił z jego bratem zbudować Łucku dom dla własnej rodziny. Wznieśli go na działce, która znajdowała się przy ulicy Unii Lubelskiej. Była to krótka ulica biegnąca od ulicy Jagiellońskiej, głównej w tym mieście, do mostu

Bema na Styrze. W moich czasach Styr był szeroką i głęboką, często wylewającą rzeką, w której mało kto się kąpał. Uchodziła za groźną, w której było sporo wirów i łatwo było się w niej utopić. Gdy w latach dziewięćdziesiątych odwiedziłam Łuck, to się mocno zdziwiłam. Nie zobaczyłam potężnej rzeki, ale rzeczkę. Na Styrze Sowieci zbudowali zaporę i zbiornik wodny, w rezultacie czego zamienił się w strumyczek.

W domu przy ulicy Lubelskiej nie mieszkaliśmy długo. Ksiądz rektor uznał, że potrzebny jest kolejny sierociniec w Kowlu i ojciec postanowił się do niego przenieść wraz z rodziną. Dom w Łucku był co prawda duży, bardzo wygodny, ale tato się bardzo zadłużył, żeby go zbudować i uznał, że trzeba go sprzedać. Jak się okazało, zrobił bardzo dobrze. W 1933 r. w Kowlu wylał Styr i mocno uszkodził zbudowany przez ojca dom. Gdy przed paroma laty byłam w Kowlu, to nie było już po nim śladu. Ostała się tylko jego część należąca do brata księdza.

Swoje dzieciństwo w Łucku wspominam bardzo dobrze. Zapamiętałam zwłaszcza długie rozmowy, które mój ojciec toczył z księdzem rektorem przy planach budowy sierocińca. Miło wspominam też wigilię spędzoną u sióstr zajmujących się prowadzeniem zbudowanego przez ojca sierocińca. W Kowlu zamieszkaliśmy w domu należącym do Żydówki. Oprócz mieszkania na wynajem, jak pamiętam, mieścił się też w nim sklep. Muszę dodać, że jeszcze w Łucku urodził się mój młodszy o dwa lata brat.

Gdy miałam sześć lat, mój tatuś postanowił, że trzeba już wysłać mnie do szkoły. Zaprowadził mnie do kierownika, którego do dziś bardzo dobrze wspominam. Ten popatrzył na mnie i powiedział:

— To pan tę mizerotkę chce już zmusić do chodzenia do szkoły?

Pokręcił głową i nie zgodził się na przyjęcie mnie do szkoły. Za rok zrobił to już z ogromną chęcią. Uczyłam się bardzo dobrze i tatuś lubił chodzić na wywiadówki. Oficjalnie placówka ta nazywała się

Szkoła Powszechna nr 2 im. Ignacego Mościckiego. Była nowa, dobrze wyposażona. Uczono w niej nie tylko przedmiotów podstawowych, ale także praktycznych, np. w piątej klasie — szycia, krojenia. Trzeba było uszyć fartuszek, nocną koszulę, umieć robić na drutach i posługiwać się szydełkiem. Uczono nas także gotowania. W szkole była kuchnia, a w niej dwa komplety naczyń. Nauczycielka dzieliła klasę na dwie drużyny. Te dalej na grupy i każda z grup przygotowywała co innego. Jedna gotowała zupę, kolejna — drugie danie, trzecia — deser. Nauczycielka każdej grupie dawała przepis. Obie drużyny przygotowywały to samo i ze sobą konkurowały. Której grupie lepiej wyszło, w nagrodę nauczycielka jadła obiad. Rodzice za każdy taki obiad przygotowany przez dzieci płacili 50 groszy, które szły na zakup produktów. Nie były to zaś jakieś byle jakie obiady. Składały się one z dań, których przygotowanie wymagało trochę umiejętności, wysiłku i pomyślunku.

Uczono nas także grać na różnych instrumentach i publicznie występować. Ja nie grałam, tylko śpiewałam. Nauczyciel Bartko Ukrainiec szykował mnie nawet do roli solistki. Ja jednak nie podołałam stresowi i solistką nie zostałam. W naszej szkole funkcjonował także teatr. Uczniowie starszych klas musieli angażować się w wystawianie różnych sztuk. W szkole odbywały się też bale. Dziewczęta, które były bardziej utalentowane kulinarnie, przygotowywały na bale kanapki, które można było za parę groszy kupić. Na bale zapraszało się chłopców.

Tu muszę wspomnieć, że nasza szkoła nie miała charakteru koedukacyjnego, ale składała się z dwóch części. Do jednej uczęszczały dziewczęta, a do drugiej chodzili chłopcy, chodził do niej m.in. mój brat. Program chłopców był oczywiście odpowiednio zmodyfikowany. Uczono ich m.in. majsterkowania i robótek ręcznych. Podkreślić też chciałabym, że młodzież w szkole była wychowywana

w duchu patriotycznym, w atmosferze szacunku do starszych i osób sprawujących władzę.

Imieniny patrona szkoły były dniem wolnym od zajęć szkolnych. Przed lekcjami mieliśmy 15 minut gimnastyki. Następnie przez 10 minut słuchaliśmy audycji radiowej, w czasie której podawano najważniejsze wydarzenia w kraju i na świecie. Lekcje rozpoczynaliśmy modlitwą. Żadne z moich czworga dzieci nie miało szczęścia chodzić do takiej szkoły.

Po ukończeniu szóstej klasy tato postanowił, że rozpocznę naukę w gimnazjum. Wtedy obowiązywała taka zasada, że kto kończył naukę w szkole powszechnej, ten szedł do klasy siódmej. Kto chciał iść do gimnazjum, mógł to uczynić już po szóstej klasie, co oczywiście wiązało się z wcześniejszym zdaniem egzaminu. Ja go zdałam i rozpoczęłam naukę w nowej szkole. Pierwszą klasę skończyłam, a naukę w klasie drugiej mieliśmy rozpocząć pierwszego września. Jak pamiętam, podczas wakacji w naszym domu panował niepokój.

Ten niepokój narastał zresztą od dłuższego czasu. Po śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego ludzie nie widzieli godnego następcy, który mógłby oddalić wybuch kolejnej wojny. 1 września 1939 r. na Kowel spadły pierwsze bomby. Zabiły one m.in. dwie moje koleżanki, mieszkające niedaleko nas. Kowel, obok Warszawy i Lwowa, był największym węzłem kolejowym w Polsce i Niemcy chcieli go za wszelką cenę zniszczyć i sparaliżować. Ojciec uznał, że musimy go opuścić i szukać schronienia pod miastem. Na wsi, w odległości 5 km od Kowla, mieliśmy znajomego Ukraińca i u niego zamieszkaliśmy. Znaliśmy go od kilku lat. Przynosił do nas do Kowla mleko, a czasem też inne produkty. Przed udaniem się do tego Ukraińca zdążyliśmy jeszcze wziąć udział w uroczystym pogrzebie ofiar, wśród których były także moje koleżanki. Potem trzeba było z Kowla uciekać, bo zaczęło się piekło! Do Kowla z centralnej Polski kierowano pociągi

z różnymi dobrami, ewakuowanymi po to, by nie wpadły w ręce Niemców. Ci niszczyli więc węzeł kowelski, by polskie dobro im nie uciekło. Ten Ukrainiec umieścił nas na tzw. brodle, czyli stogu siana, nad którym na czterech słupach umieszczony był daszek. Wchodziło się na to brodło po drabinie. Przykrywaliśmy się jesionkami i dało się wytrzymać. Ukrainiec ten budował nowy dom i w nim miał taki żelazny piecyk, na którym mamie pozwolił gotować. Mogła też korzystać z warzyw w ogródku i ziemniaków. Ojciec codziennie chodził wieczorem do Kowla, aby zaopatrzyć nas w chleb i dostępne jeszcze artykuły żywnościowe. Przynosił też coraz gorsze wiadomości o ogromnych zniszczeniach spowodowanych bombardowaniem okolic dworca kolejowego.

U tego Ukraińca czuliśmy się bezpiecznie. Zawsze nam sprzyjał. Ja zapamiętałam zwłaszcza smak przynoszonych przez niego pierogów z jagodami. Siedzieliśmy więc u tego Ukraińca. Ja kopałam ziemniaki, a mama gotowała. Musiała tej strawy przygotowywać coraz więcej, bo w okolicach Kowla przybywało uchodźców z centralnej Polski, uciekających przed Niemcami. Byli oni głodni i wdzięczni za jakąkolwiek pomoc. Stale więc należało tej zupy gotować więcej i więcej!

Pamiętam, że 17 września przyszła do nas żona tego Ukraińca, która oświadczyła z dumą w głosie:

— Ne ma waszej Polszczy, ne ma! Niemcy zajmują Polskę do rzeki Bug, a od Bugu nasi. Już chłopi nie będą bici przez polskich panów! Możecie wracać do domu!

W tę porażającą wiadomość trudno było uwierzyć. Pamiętam, że jeden z tych bieżeńców, który właśnie jadł zupę, powiedział:

— Co ty mówisz babo, co ty mówisz?

Nikt nie chciał uwierzyć, że w plecy uderzył nam drugi napastnik. Musieliśmy wrócić do Kowla.

W naszym domu brakowało wielu szyb. Nie pamiętam, czy było to 18, czy 19 września, chciałam iść do koleżanki mieszkającej w drugiej części miasta. Żeby to zrobić, musiałam przejść przez główną ulicę Kowla, czyli ulicę Warszawską. Okazało się to bardzo trudne. Całą jej szerokością ciągnęło sowieckie wojsko. Żołnierze szli pieszo, jechali na konikach, na furmankach. Byli brudni, zakurzeni, do mojego nosa dochodził bijący od nich smród. Zdumienie wszystkich budziły karabiny żołnierzy, które nosili na sznurkach. Usiłowałam jakoś przejść między oddziałami, ale nie byłam w stanie. Co robiłam krok, to musiałam się cofnąć, bo bałam się stratowania przez brudne kudłate koniki, od których śmierdziało niemożebnie. Jakie to wszystko było przerażające. Pomyślałam sobie: „Boże! I ta hołota jest zwycięska! I ta hołota goni nasze wojsko!”.

Jakże inaczej prezentowało się nasze wojsko. W Kowlu stacjonował 55 Pułk Piechoty, który zawsze latem wyruszał na manewry. Gry po kilku tygodniach pułk wracał do koszar, to zawsze czynił to w formie defilady. Było to wspaniałe widowisko, służące podtrzymaniu kontaktu społeczeństwa z wojskiem i patriotycznemu wychowaniu młodzieży. Całe miasto wylegało na ulice, żeby zobaczyć wojskową defiladę. Żołnierz polski zawsze był czysty, ale na defiladzie żołnierze szli szczególnie wypucowani. Wszystko lśniło. Konie i broń były wypielęgnowane.

Obraz tych wkraczających Sowietów zapamiętałam do końca życia. Z ich wkroczenia można było wnioskować, że przynoszą głównie brud i smród. Za wojskiem przyjechała do nas cała masa przybyszy ze wschodu, której przyjazd przypominał prawdziwy najazd szarańczy. Ludzie ci obsadzili wszelkie stanowiska w administracji, oświacie, kolei, milicji, szkolnictwie itp. Ściągali oni za sobą całe rodziny, które swoje przybycie potraktowały jako okazję do zdobycia rzeczy niedostępnych w głębi Związku Radzieckiego. Jak się patrzyło na tych ludzi kupujących towary, odnosiło się wrażenie, że większość

z nich kupowała nawet artykuły całkowicie im nieznane. Nabywali przedmioty, nie wiedząc, do czego one służą. Wkrótce większość sklepów przestała w ogóle istnieć z powodu braku nowych towarów, co utrudniało zdobywanie podstawowych artykułów niezbędnych do życia. W nielicznych sklepach, które wyszły cało z najazdu tej szarańczy ze wschodu, można było kupić tylko pół kilograma cukru lub kawałek mydła. Powstał handel wymienny. Na targu można było nabyć artykuły żywnościowe w zamian za odzież i sprzęt domowy. Część rzeczy sprzedawano też Ruskim, którym można było wepchnąć każdy, nawet popsuty przedmiot. Jak słyszę opowieści, że kupowali nawet niedziałające zegarki, to całkowicie się zgadzam, iż są one prawdziwe i nieprzesadzone.

Moja matka, która w czasie I wojny światowej mieszkała w Sankt Petersburgu, pracując w fabryce nici, nie mogła się nadziwić, co rewolucja bolszewicka zrobiła z Rosji, zamieniając jej mieszkańców w zabiedzoną, nędzną hołotę! Rodzice zapisali mnie do szkoły, którą przemianowano na dziesięciolatkę. Zostałam przyjęta do ósmej klasy, a mój brat do piątej. Wykładowym językiem był w tej placówce oczywiście język rosyjski. Uczono też w niej języka ukraińskiego i niemieckiego. Dyrektorem szkoły i nauczycielami byli Rosjanie i polscy Żydzi, znający język rosyjski.

Zmiana okupantów

— W szkole z językiem rosyjskim czułam się źle — wspomina Dyoniza Szwed. — I to z wielu powodów. Przede wszystkim nie znałam go, a zwłaszcza cyrylicy, czyli alfabetu. W szkole chciano nas też wychować na ludzi radzieckich, czyli głównie niewierzących. Gdy zbliżało się Boże Narodzenie, to dyrektor placówki oświadczył nam, że podczas nich mamy normalnie przyjść do szkoły, bo w państwie

sowieckim takie święta nie obowiązują. Ja z góry powiedziałam, że nie przyjdę, bo to jest ważna dla katolików uroczystość i w tym czasie pójdę do kościoła. Dyrektor, kiedy to usłyszał, to się wściekł i zapowiedział mi, że jak nie przyjdę, to pojadę na białe niedźwiedzie! Do szkoły nie przyszłam, ale na białe niedźwiedzie też nie pojechałam!

Dyrektor, który uczył języka rosyjskiego, po jakimś czasie nawet mnie polubił. Początkowo, jak jeszcze nie znałam alfabetu, to jak przyszło dyktando, dostawałam same dwójki. Ja jednak szybko się nauczyłam i stałam się bardzo dobrą uczennicą. Doszło nawet do tego, że moje opowiadania musiałam czytać na środku klasy jako najlepsze, a wśród uczniów byli przecież rdzenni Rosjanie, m.in. dzieci urzędników, których tu przywieziono do pracy. Gdy później już na Lubelszczyźnie chciałam skończyć gimnazjum i pokazałam świadectwo uzyskane w szkole sowieckiej, jego dyrektor zastanawiał się, do jakiej klasy mnie przyjąć. Z trudem przeczytał na świadectwie identyczne stopnie ze wszystkich przedmiotów. Zapytał się: „Atliczno — co to znaczy?”. Powiedziałam, że bardzo dobry.

Gdy chodziłam do szkoły, sytuacja Polaków na Wołyniu stawała się coraz trudniejsza. Wręcz tragiczna! W lutym 1940 r. zaczęły się wywózki polskiej ludności na białe niedźwiedzie. Do ustawionych na stacji wagonów towarowych przywożono ciężarówkami rodziny wojskowych, rodziny urzędnicze i bogatych gospodarzy ze wsi, a także zamożniejszych mieszkańców Kowla. Przyświecały im nie tylko motywy polityczne, ale rabunkowe. Osoby wywożone w głąb Związku Sowieckiego mogły ze sobą zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Resztę ich rzeczy dostawali miejscowi komuniści lub przybysze z ZSRR, w tym funkcjonariusze NKWD.

Po Kowlu poszła plotka, że będą wywozić na Sybir wszystkich Polaków. W każdym domu zaczęto suszyć z trudem zdobyty chleb i szykować worki z sucharami i co tam można było jeszcze kupić.

W sklepie jednak kupić praktycznie nie było co. Raz w miesiącu na przykład przysługiwało pół kilograma cukru albo kawałek mydła. By kupić te pół kilo cukru, trzeba było stanąć wieczorem w kolejce. Ja się więc poświęcałam i chodziłam do tych kolejek. Zakładałam swoje palto, na to kożuch tatusia i czymś tam jeszcze opatulałam buty i szłam do tej kolejki. Rano bardzo często przychodziła grupa mężczyzn, która odpychała kolejkowiczów i sama wdzierała się do sklepu. Ja jednak nigdy się nie dałam wypchnąć. Zawsze się gdzieś wślizgnęłam pod ramiona najbardziej rosłych mężczyzn i cukier ten kupiłam.

Dzień 22 czerwca 1941 r. też zapamiętałam. Wybierałam się do kościoła na godzinę 10. Kościół w Kowlu — wspaniały, stanowiący pomnik polskości na Wołyniu — przetrwał bowiem szczęśliwie całą sowiecką okupację. Ludzie zbierali środki na nakładane przez Sowietów na kościół kontrybucje podatkowe i świątynia funkcjonowała bez przeszkód. Gdy maszerowałam na mszę św., nagle na niebie pojawiły się nisko lecące samoloty z czarno-żółtymi znakami na skrzydłach. Żadnego wybuchu jednak nie usłyszałam. Gdy wyszłam z nabożeństwa, zobaczyłam pospieszny ruch na ulicach. Sowieci pospiesznie się ewakuowali. O godzinie 19 w Kowlu nie było żadnego najeźdźcy ze wschodu. Ewakuacja była przez nich sprawnie przeprowadzona. Wyjechali wszyscy, łącznie z kolejarzami i nauczycielami. Sowieci musieli mieć opanowany plan, który zadziałał w stu procentach.

Swoje oczywiście zrobiło też NKWD. Dowiedzieliśmy się tego od trzech więźniów, którym udało się uciec i uniknąć masakry z rąk sowieckich oprawców. Schronili się oni w naszym domu. Jak opowiadali, więzienie było zatłoczone do granic możliwości. Większość osadzonych w nim nie wiedziała nawet, za co siedzi! Część więźniów strażnicy wyprowadzili z cel i kazali im kopać doły. Tym trzem, którzy się u nas schronili, udało się jakoś ukryć,

a później uciec. Z ich opowiadania wynikało, że Sowieci, gdy tylko dół został wykopany, wprowadzali kolejne partie więźniów i rozstrzeliwali. Więźniowie, którzy schronili się u nas, bardzo cieszyli się, że ocaleli z masakry. Chcieli się napić jakiegoś alkoholu, ale my nie mieliśmy ich czym częstować. Gdy wyszłam przed dom, zobaczyłam ludzi biegnących od strony stacji kolejowej. Któryś z nich powiedział, że Sowieci zostawili w jej piwnicach duży skład alkoholu. Też pobiegłam na dworzec z workiem i istotnie trafiłam na rozbity magazyn z alkoholem. Naładowałam do worka tyle butelek, ile zdołałam unieść. Były to głównie „ćwiartki" z jakąś kolorową wódką. Inna została już rozszabrowana. Wiele butelek było potrzaskanych i w magazynie szkło chrzęściło pod nogami. Gdy wyszłam z tego magazynu i ruszyłam w stronę domu, dźwigając ten worek z wódką, zobaczyłam, że na naszej ulicy zatrzymała się niemiecka tankietka, z której wysiadło dwóch żołnierzy. Pode mną nogi się ugięły. Bałam się, że żołnierze mnie zatrzymają, zabiorą worek albo nawet zastrzelą. Nie wiedziałam, jak do Polaków odnoszą się Niemcy. Zaczęłam gorączkowo przypominać sobie niemieckie zwroty. Niemcy mnie jednak nie zatrzymali. Zaniosłam worek z wódką do domu i mieliśmy tych uciekinierów z więzienia czym poczęstować.

Tankietka niemiecka, którą widziałam, nie należała jednak do głównych sił hitlerowców, które wkroczyły do miasta kilka dni później. Sowieci też się przez nie przewinęli. Pamiętam, że niemiecka czołówka wkroczyła do miasta ulicą równoległą do tej, przy której stał nasz dom, a tą naszą wycofywał się oddział radziecki. Obie strony były uzbrojone w tankietki. W pewnym momencie obie strony zaczęły do siebie strzelać, a nasz dom znalazł się na linii ognia. Pamiętam, jak sąsiadka wpadła do nas z piernikiem, wyciągniętym z pieca, krzycząc: „Kładźcie się, bo strzelają!". Leżała na podłodze i pod wpływem emocji szurała blachą z tym piernikiem po podłodze.

Na szczęście walka trwała krótko i strzały oddaliły się od naszego domu.

Kilka dni później Niemcy na dobre zajęli Kowel i zaczęła się nowa okupacja, tym razem niemiecka. Mój tato podjął pracę na kolei. Mama imała się przeróżnych zajęć, ale generalnie w domu się nie przelewało. Nie mieliśmy co jeść. Ja z niedożywienia dostałam kurzej ślepoty. Po zmroku prawie nic nie widziałam. Poszłam do lekarza, ale ten rozłożył bezradnie ręce i oświadczył, że nie jest w stanie mi pomóc. Radził mi pojechać do Łucka do okulisty. W tym czasie Niemcy łapali polską młodzież i wywozili na roboty do Rzeszy. Młodzież musiała się nawet meldować regularnie w Arbeitsamcie. Gdy miałam jechać do Łucka do okulisty, też się tam udałam i powiedziałam, że wyjeżdżam do okulisty. Odnotowali ten fakt, a ja nie pojechałam do Łucka, tylko wróciłam do domu.

Mama w tym czasie znalazła inną pracę. Poznała kolejarzy, którzy jeździli do Generalnego Gubernatorstwa. Najczęściej do Chełma, leżącego tuż za granicą na Bugu i oddzielającą GG od ukraińskiego dystryktu. W Chełmie były dostępne produkty, o których w Kowlu już dawno zapomniano. Mama je od nich kupowała i używała do wymiany na żywność. Najczęściej kupowała u kolejarzy drożdże, farby do bielizny i tkaniny, a także drobne produkty przemysłowe. Artykuły te kolejarze przywozili z Chełma. Mama wędrowała z nimi na polskie albo czeskie wsie i wymieniała je u gospodarzy na żywność. Z niektórymi odbiorcami mamie udało się zaprzyjaźnić, co później miało pozytywny wpływ na nasze losy. Ja dzięki żywności przynoszonej przez mamę doszłam do siebie. Domu oczywiście nie opuszczałam. Mama, gdy wychodziła na handel, to zamykała drzwi.

Czekaliśmy, co przyniesie wojna. Armia niemiecka szybko posuwała się do przodu, nie napotykając większego oporu ze strony armii i ludności cywilnej, która spodziewała się, że Niemcy uwolnią je od komunistycznego ucisku. Niemcy niestety obchodzili się z nimi gorzej

niż z bydłem. Na własne oczy widziałam, jak traktują jeńców, bo w Kowlu urządzili dla nich obóz. Do dziś pamiętam widok rosyjskiego jeńca, który wiózł na taczce dwa wynędzniałe ludzkie szkielety w podobnych płaszczach. Dopiero po Stalingradzie stało się jasne, że Niemcy wojnę przegrają. Niemcy zaczęli wtedy m.in. fortyfikować Kowel, zamieniając go w twierdzę. Od wschodu i północy zaczęto kopać rów szerokości pięciu metrów. Do jego kopania Niemcy zapędzili polską młodzież. Władze niemieckie zaczęły też werbować do służby w policji młodych Ukraińców, którzy po otrzymaniu broni nie chcieli jednak im służyć, tylko zdezerterowali do lasu. Niemcy ponowili werbunek i Ukraińcy zrobili dokładnie to samo. Nie wiedzieliśmy, co to wszystko znaczy, lecz wkrótce się dowiedzieliśmy.

Ukraińcy szykowali się do mordowania Polaków. Ja jeszcze, zanim zaczęły się mordy, znalazłam się w Zasmykach. Zabrał mnie tam jeden z gospodarzy zaprzyjaźniony z mamą, by ustrzec mnie przed wywózką do Niemiec. Rodzice nie protestowali, bo wiedzieli, że Kowel Niemcy przekształcają w twierdzę, która będzie wkrótce zamknięta i nawet mysz się z niej wtedy nie wydostanie. Rodzice z bratem po jakimś miesiącu dołączyli do mnie, chroniąc się także w Zasmykach. Wkrótce zaczęły się mordy ludności polskiej. Ukraińcy przystąpili do bezwzględnej rozprawy, mordując nie tylko mężczyzn, ale także starców, kobiety i dzieci z niemowlętami włącznie. Łuny pożarów informowały nas, że bandy ukraińskie przystąpiły do rzezi kolejnej polskiej wsi. Zasmyki zaczęły zapełniać się uciekinierami, szukającymi w nich schronienia przed ukraińskimi nożami i toporami. W Zasmykach powstał oddział „Jastrzębia", który zapewniał wsi bezpieczeństwo.

Zasmyki były straszliwie zatłoczone. W obejściu gospodarza, u którego zatrzymała się moja rodzina, gnieździło się jeszcze kilka innych. Z Kowla stale napływała polska młodzież, która zasilała kolejne tworzące się oddziały. Mój ojciec, który do Zasmyk przyjechał

ze mną i z moim bratem furmanką, przywieziony przez gospodarza zabrał ze sobą narzędzia stolarskie. Prosił go o to właśnie ten gospodarz, mówiąc, że to one będą najpotrzebniejsze. Ojciec oczywiście to zrobił, nie zdając sobie sprawy, na czym będzie polegało w Zasmykach stolarstwo. Tatuś tworzył trumny, w których chowano poległych partyzantów i cywilów zamordowanych przez Ukraińców.

Pamiętam pierwszą wigilię w Zasmykach, podczas której wszyscy przebywający w tym obejściu razem z gospodarzami łamaliśmy się opłatkiem. Rano o szóstej w miejscowym kościele miała się odbyć Pasterka. O świcie obudziła nas strzelanina. Szybko okazało się, że to banda UPA napadła na odległą o kilometr od Zasmyk Janówkę i zaczęli mordować. Zanim na odsiecz przybył oddział „Jastrzębia", ukraińscy oprawcy w bestialski sposób zamordowali 42 osoby. Gdyby nie nasi chłopcy, to Ukraińcy po Janówce wzięliby się za Zasmyki. Byli na to przygotowani. Mieli ze sobą nawet popa, który miał wyświęcić nasz kościół na cerkiew. Woził ze sobą szaty liturgiczne. Cudem zostaliśmy uratowani.

Jednak nie na długo. Wkrótce do Zasmyk wkroczyli Niemcy i dokonali ich pacyfikacji. Doszli do połowy wsi i zostali zatrzymani w pobliżu kościoła przez oddziały samoobrony. Kilkadziesiąt chałup zostało jednak spalonych. Kilku Polaków w czasie walk, chyba sześciu, zginęło. W tym czasie zaczęła się formować 27 Wołyńska Dywizja Piechoty Armii Krajowej. Oficjalnie się oczywiście o tym nie mówiło, ale struktury dla jej funkcjonowania powstawały. Tworzyła się m.in. służba zdrowia. W Kupiczowie zorganizowano szpital, a przy nim uruchomiono kurs sanitarny dla dziewcząt. Ja też na ten kurs się zapisałam.

„Widzisz, że matka umiera…"

— Kupiczów, w którym odbywał się kurs sanitarny, był osadą czeską — wspomina Dyoniza Szwed. — Miejscowość ta liczyła kilkaset gospodarstw. Pośrodku niej znajdowało się coś w rodzaju rynku. Na środku placu stała duża wieża triangulacyjna. Po jednej jego stronie znajdowała się stara modrzewiowa cerkiewka. Przy głównej ulicy znajdował się duży, nowoczesny kościół ewangelicki ze strzelistą wieżą. Za kościołem była szkoła, a kawałek za nią okazały parterowy budynek Domu Ludowego. Na przeciwległym krańcu Kupiczowa stał stary murowany kościółek katolicki, otoczony sztachetkami. Wszystkie obejścia w Kupiczowie imponowały schludnością i zamożnością. Prawie wszystkie budynki były kryte blachą, co na Wołyniu stanowiło rzadkość. Większość domów w Kupiczowie było też murowanych, składały się zazwyczaj z sześciu izb, połączonych z suszarniami chmielu. Stały one także wśród sadów i klombów kwiatowych. Mieszkańcy Kupiczowa słynęli z gospodarności. Byli zawsze wzorowymi rolnikami, lepszymi niż Niemcy, a także Polacy i Ukraińcy. Poza tym we własnym zakresie produkowali wszystko. Sami wyprawiali skóry na obuwie czy siodła i uprzęże dla koni.

Działał w Kupiczowie także zakład krawiecki i szewski. Byli w nim kołodzieje, kowale. Ci ostatni nie tylko podkuwali konie, ale też naprawiali maszyny rolnicze, robili narzędzia gospodarskie oraz gwoździe. Produkowali też znakomity tytoń i warzyli wyśmienite piwo. Nie wspomnę już o wspaniałych kiełbasach i kiszkach czy miodzie. Jak w czasie wojny nie było cukru, to mieszkańcy Kupiczowa zaczęli wytwarzać syrop z buraków cukrowych, który znakomicie nadawał się m.in. do robienia konfitur i powideł. W Kupiczowie oprócz Czechów przed wojną mieszkało trochę Polaków i Ukraińców. Jak się zaczęły mordy ludności polskiej, to ci ostatni prawie wszyscy uciekli. Pozostały tylko dwie rodziny: popa

i felczera. Na początku, gdy Ukraińcy przystąpili do rozprawy z Polakami, Czesi trzymali się z boku, chcieli zachować neutralność. Gdy jednak Ukraińcy zaczęli napadać na Czechów, mieszkańcy Kupiczowa sami poprosili „Jastrzębia" o ochronę. Zdali sobie sprawę, że dla UPA Kupiczów stanowi wspaniały kąsek.

Oprócz oddziału „Jastrzębia" w Kupiczowie zaczęły też stacjonować również inne. Czesi też utworzyli swoją samoobronę. Na wieży triangulacyjnej został zorganizowany punkt obserwacyjny, z którego żołnierz przez lornetkę czuwał nad bezpieczeństwem osady. Kurs sanitarny, na który uczęszczałam wraz z innymi koleżankami, prowadził doktor Grzegorz Fedorowski „Gryf", który przyjechał do tworzącej się dywizji z Warszawy. Kurs odbywał się w szpitalu, który został ulokowany w dawnym budynku szkolnym. Uczestnicząc w kursie, zamieszkałyśmy z koleżanką w czeskim domu, gdzie poznawałyśmy ich język, obyczaje, kuchnię, a nawet muzykę, gdy studenci konserwatorium w czasie odwiedzin śpiewali i grali na pianinie. Dowiedziałam się, że Czesi przybyli do Kupiczowa przed stu laty i nawet ich dziadowie urodzili się już na Wołyniu. Mimo to zachowali swoją odrębność narodową. Po polsku tamtejsi Czesi nie umieli, podobnie jak my po czesku, ale jakoś dogadywaliśmy się. Oni mówili w swoim, a my w swoim języku i nie było problemu. Tylko ksiądz katolicki, Polak z pochodzenia, wygłaszał zawsze dwa kazania, rano po czesku, na sumie po polsku, a w następną niedzielę na odwrót i jakoś szło.

Gdy nasze oddziały zaczęły kwaterować w Kupiczowie, ilość jego wiernych zdecydowanie wzrosła. Pobyt w tej miejscowości wspominam jako najszczęśliwszy miesiąc w czasie mojej wojennej tułaczki. Będąc w Kupiczowie, dowiedziałam się też sporo o historii osadnictwa czeskiego na Wołyniu. Car pozwolił im nabywać parcelowaną ziemię wielkiej własności, której nie mogli nabywać chłopi polscy z powodu zakazu osiedlania się na Wołyniu. Koloniści

czescy, którzy przybyli na Wołyń po 1881 r., oficjalnie musieli przejść na prawosławie, aby móc nabyć ziemię. Czesi robili to oczywiście tylko formalnie. Do cerkwi nie chodzili. Ta, która powstała w Zasmykach, była używana przez Ukraińców, którzy osiedlili się w Kupiczowie.

Po ukończeniu kursu sanitariuszki zostały rozesłane do poszczególnych placówek. Mnie skierowano do Zasmyk, gdzie w szkole, która ocalała z pożogi, zorganizowano oddział szpitalny dla osób po zabiegach chirurgicznych. Na początku marca 1944 r., w czasie mojego dyżuru, otrzymaliśmy wiadomość, że do Zasmyk zbliża się oddział niemiecki. Wszystkich nas ogarnęło ogromne przerażenie. Towarzyszące mi osoby, nie oglądając się na nic, najzwyczajniej uciekły. Zostałam z chorymi żołnierzami sama. Nie przeraziłam się jednak i szybko zaczęłam szukać ubrań i kijów do podparcia chorych. Zanim nadeszli Niemcy, udało mi się wyprowadzić ich do pobliskiego lasu. Do tej pory pamiętam słowa chorego:

— Wszyscy nas opuścili, tylko ta dziewczyna ratowała nas do końca!

Oddział niemiecki trafił do Zasmyk przypadkowo. Po prostu zabłądził. Przechodziły tamtędy różne oddziały, złożone z Polaków, ale niekoniecznie podległych dywizji. Jeden z nich zostawił w szpitalu chorego żołnierza i poszedł dalej. Musiałam tego chorego umyć, obciąć paznokcie, karmić i troszczyć się o niego. Miał wszy, które gryzły zarówno jego, jak i mnie. Po jakimś czasie jego koledzy zabrali go, ale wątpię, aby przeżył. Był bardzo chory. Wszy, które z niego przelazły na mnie, przeszły z kolei na moją mamę i zaraziły ją tyfusem. Dlaczego wcześniej nie zaraziły mnie, nie mogę do dziś zrozumieć. Z mamą było bardzo źle!

W tym czasie dostałam rozkaz udania się na inną placówkę. Nie mogłam go jednak wykonać, ponieważ stan mojej mamy się pogorszył. W tym samym czasie Sowieci zamknęli kocioł wokół

Kowla i zaczęło się jego oblężenie. W domu, w którym mieszkaliśmy, ulokował się sztab pobliskiego odcinka frontu. Musieliśmy wynieść się do stodoły. W dzień musiałam przyrządzić coś do jedzenia, w nocy ogrzewać chorą matkę własnym ciałem. Ojciec w pewnej chwili powiedział: „Widzisz, że matka umiera, ty nie musisz iść za nią!”. Ja jednak byłam uparta.

Wokół nas toczyła się natomiast zażarta wojna. Nad naszymi głowami bez przerwy przelatywały eskadry samolotów. Wszędzie było pełno czołgów, armat i wojska. Odległy o 15 km Kowel był bombardowany i ostrzeliwany bez przerwy w dzień i w nocy, przypominając morze ognia. Sowieccy dowódcy co rusz wymieniali swoje oddziały na linii frontu i pozwalali im w rejonie Zasmyk odpocząć, a do okopów posyłali inne.

W pewnym momencie władze wojskowe uznały, że wszyscy cywile muszą opuścić strefę przyfrontową i udać się 50 km na wschód. Otrzymaliśmy na drogę furmankę z koniem i krowę. Jak Sowieci wkroczyli na Wołyń, rozpoczęli od razu robić porządek z Ukraińcami wspierającymi UPA. Wywozili ich, a majątek rekwirowali. Dzięki temu otrzymaliśmy tę furmankę i krowę. Mogliśmy zabrać ze sobą trochę żywności, naczynia kuchenne i pościel, na której ułożyliśmy chorą mamę i wyruszyliśmy razem z innymi na wschód.

W wyznaczonym nam miejscu było opuszczone gospodarstwo rolne, składające się z domu, dużej pustej stodoły i studni. Musieliśmy ulokować się w stodole, bo dom był już zajęty przez wcześniej przybyłe rodziny. Brata wtedy z nami nie było. W 27 WDP AK był taki porucznik „Nagiel”, który zebrał wszystkich kilkunastoletnich chłopaków, w tym brata i stworzył z nich oddział, który dotrwał aż do końca istnienia dywizji.

Warunki życia w tej stodole mieliśmy koszmarne. Zakwaterowano w niej jakieś piętnaście rodzin. Gdy się wszyscy pokładli, to ruszyć się nie było jak, jak ktoś chciał wyjść na zewnątrz, to musiał deptać

po innych. Cztery tygodnie po przybyciu do tej miejscowości u mojej mamy nastąpiło przesilenie choroby i zaczęła ona odzyskiwać siły. Udało mi się nie dopuścić do epidemii tyfusu, choć jedynym sposobem walki, który mogłam zastosować, było wiadro z wodą i palenisko, na którym ciągle gotowałam pościel i odzież. Dzięki temu nikt więcej nie zachorował. Ktoś oczywiście naskarżył, że jest taka chora i rosyjski felczer wojskowy przyszedł sprawdzić. Zrobił to oczywiście na odległość, bo bał się zarazić. Zapytał mnie: „Wasdza mać bolnaja?". Ja oczywiście potwierdziłam. Kazał mi odkryć kołdrę i sprawdzić, czy mama ma na brzuchu plamy. Miała, ale felczer stał daleko, więc powiedziałam, że nie ma. Nie chciałam dopuścić, żeby ją zabrali do sowieckiego szpitala zakaźnego, bo ten, kto tam poszedł, już z niego nie wracał. Oni się tam z chorymi nie patyczkowali!

Jakoś udało się nam przetrwać do maja, kiedy wróciliśmy do Zasmyk. Stamtąd udało mi się wziąć przepustkę i udać się do Kowla, żeby zobaczyć, co stało się z naszym domem. Była to bardzo dramatyczna wyprawa. Wędrowałam przez morze ruin. Nie widziałam ani jednego całego domu. Wszystkie były rozwalone. Kwartał, w którym stał nasz dom, był tak zniszczony, że nie mogłam znaleźć śladów gruzu naszego domu.

W Zasmykach dowiedziałam się, że w nowych granicach Polski Wołynia już nie będzie, a granica polsko-sowiecka zostanie wytyczona na Bugu. Wiedzieliśmy, że nie ma tu co dłużej siedzieć, tylko trzeba się zabierać i wyjeżdżać na Lubelszczyznę. Oczywiście mogliśmy to uczynić dopiero w lipcu, gdy Sowieci przekroczyli Bug i doszli do Wisły. Przez Bug przeszliśmy po moście pontonowym w Dubieńcu. Skierowaliśmy się w stronę Lublina, zatrzymując się u kolejnych gospodarzy, pomagając im w żniwach.

Szukaliśmy miejsca, w którym mogliśmy się zatrzymać i dostać jakąś pracę. Gdy żniwa się skończyły, zaczęliśmy uczestniczyć

w kopaniu ziemniaków. Potrzeba było do tego dużo ludzi, bo robiliśmy to kopaczkami. Przeszliśmy chyba tego lata i jesieni ze dwudziestu gospodarzy. Od kilku dostałam nawet propozycje matrymonialne. Jeden koniecznie chciał się ze mną żenić. Hektarów miał chyba ze trzydzieści, jeżeli nie więcej. Głównym jego felerem był fakt, że miał siedemdziesiąt lat, a ja dziewiętnaście. Po tej robocie, do której nie byłam przyzwyczajona, przez dwa lata bolał mnie kręgosłup. Szczególnie dopiekło mi kopanie ziemniaków. Gdy byliśmy u tego mojego siedemdziesięcioletniego amanta, przyjechał do nas jakiś człowiek, który powiedział, że w Brzezinach koło Puchaczowa właścicielka dużego gospodarstwa, której mąż nie wrócił z wojny, poszukuje rodziny, która pomogłaby jej w jego prowadzeniu. W zamian daje mieszkanie i utrzymanie. Pojechaliśmy tam i spędziliśmy u tej kobiety całą zimę z 1944 na 1945 rok.

Niedaleko, jakieś 8 km od tego gospodarstwa, znajdowała się opuszczona kolonia niemiecka. Ojca zaagitowano wiosną 1944 r., żebyśmy objęli jedno z poniemieckich gospodarstw i zaczęli pracować na swoim. Ojciec się zgodził. Uznał, że będzie to bezpieczne miejsce jako schronienie podczas wojny między aliantami zachodnimi a Sowietami. Wierzył, że alianci Polski im na łup nie oddadzą. Dom w tej poniemieckiej kolonii, która nazywała się Jasieniec. Mieliśmy ze sobą prowadzoną z Wołynia krowę, a także furę i konia, więc było od czego zaczynać.

Zasiedliliśmy ten dom w marcu 1945 r. Ze względu na to, że był on duży, jego część zajął gajowy, który miał pod opieką pobliski las. Za długo z nami jednak nie pomieszkał. Któregoś dnia przyjechało UB i go aresztowało. Miał podobno kontakty z partyzantami Armii Krajowej, którzy wciąż żyli w lasach. Co się z nim stało, nie wiadomo. Nigdy go już nie widzieliśmy. Nas UB nie ruszyło.

Mój ojciec wciąż czekał na wojnę aliantów z Sowietami, która miała wybuchnąć lada dzień. Codziennie czekał na wiadomości

potwierdzające jej zbliżanie. Te jednak nie nadchodziły. Gdy zbliżał się wrzesień, czyli początek nowego roku szkolnego, powiedziałam do ojca: „Trudno, ty sobie siedź tu i czekaj na tę wojnę, a ja jadę się uczyć!”. Zwerbowałam do wyjazdu do Lublina koleżankę z sąsiedztwa i pojechałyśmy w nieznane. Nie widziałam na wsi dla siebie przyszłości, ciągnęło mnie do świata. Poza tym nie wierzyłam w wybuch wojny aliantów z Sowietami. Oczywiście w powojennym Lublinie nie było łatwo, ale jakoś udało mi się zacząć.

Moje uniwersytety

— Szkoły wówczas były oczywiście wieczorowe dla pracujących — wspomina Dyoniza Szwed. — By się w nich kształcić, trzeba było mieć pracę i mieszkanie w Lublinie. Na szczęście spotkałam w Lublinie koleżankę z Kowla, która wyszła tu za mąż. Zamieszkałyśmy u niej i razem z koleżanką spałyśmy razem na tapczanie. Zapisałam się do gimnazjum. Zaczęłam szukać pracy. Nagle po paru dniach coś mnie zaczęło gryźć w głowę. Poprosiłam koleżankę, tę z Kowla, u której mieszkałam, żeby zobaczyła, co mnie gryzie? Ta zajrzała i z przerażeniem stwierdziła, że są to wszy! Dostałam je od tej koleżanki ze wsi, z którą spałam. Sytuacja ta mocno mnie przestraszyła. Miałam wtedy piękne, długie włosy. Wpadłam po prostu w rozpacz. Jak z wszami w głowie miałam chodzić do szkoły i pracy? Na szczęście spotkałam na ulicy drugą kowelską koleżankę, która powiedziała mi: „Dziecko, nie martw się, chodź do mnie, ja ci pomogę”. Udałam się do jej mieszkania, które mieściło się na jakimś rumowisku, bo Lublin w czasie wojny był mocno zniszczony. Nasmarowała mi głowę naftą i zawinęła, po jakimś czasie mi ją umyła i było po wszach… Mogłam dalej funkcjonować.

Jakoś to gimnazjum w Lublinie skończyłam. Najpierw utrzymywałam się z korepetycji, a później zatrudniłam się w „Lubzelu". Praca w nim jednak była ponad moje siły. Myślałam, że nie wytrzymam. Po pracy udałam się do lekarza. Było sporo ludzi i tego dnia się nie dostałam. Przyszłam następnego i też się zanosiło, że się nie dostanę. Na szczęście pielęgniarka, która rejestrowała pacjentów, gdy spojrzała na mnie na korytarzu, uznała, że taką dziewczynę jak ja trzeba przyjąć, bo tak źle wyglądam, że chyba mam gruźlicę!

Kiedy rok szkolny się skończył, pojechałam do rodziców do Jasienia na wieś, gdzie się podkurowałam. Gdy zaczął się nowy, poszłam do liceum. Minęło kilka tygodni nauki i wezwała mnie do siebie dyrektor szkoły i mówi powiedziała:

— Przyjechał pan dyrektor z Kijan i szuka sekretarki, czy by pani się nie zgodziła?

Wiedział, że bardzo potrzebuję pieniędzy, żeby się utrzymać. Trochę się zastanawiałam, bo obawiałam się, czy podołam i czy to nie przeszkodzi mi w zrobieniu matury. Kijany to była bowiem duża, przedwojenna jeszcze, szkoła ogrodniczo-rolnicza. Pomyślałam jednak o bracie, że jak ja się w tej szkole urządzę, to ściągnę również jego i on też coś skończy.

Praca w tym sekretariacie nie była łatwa. Musiałam nauczyć się prowadzenia księgowości, a placówka była duża, był też przy niej internat. Dyrektor szkoły pochodził z Krakowa i był genetykiem. Razem z Wydziałem Rolnictwa Uniwersytetu Jagiellońskiego prowadził badania genetyczne na owcach. To oznaczało dla mnie dodatkowe obowiązki.

Gdy zakończyłam pracę sekretarki w szkole, musiałam przepisywać na maszynie efekty naukowych badań dyrektora, który krzyżował czarne owce z białymi. Było to dla mnie bardzo uciążliwe, ale nie narzekałam. Dostałam mieszkanie w kompleksie szkolnym,

ściągnęłam brata, który też zaczął się uczyć. W sekretariacie szkoły bez przerwy odbywały się nieformalne zebrania nauczycieli. Przychodzili, dyskutowali: „Co dalej będzie z Polską?”.

Sytuacja wówczas była niepewna. Nauczyciele nie godzili się z komuną i wcale tego nie ukrywali. Naradzali się, co robić dalej? Któregoś dnia przyszedł do mnie jakiś mężczyzna i powiedział, że jutro przyjdzie ze mną poważnie porozmawiać. Prosił, by w tym czasie nikogo w mieszkaniu, w którym przebywałam, ani w przylegających do niego pokojach nie było. Mieszkanie to, należące przed wojną do dyrektora szkoły, składało się z pięciu pokoi. Ja z bratem zajmowałam dwa, a w pozostałych mieszkali inni pracownicy szkoły. Wszystkim powiedziałam, żeby o oznaczonej godzinie nie było nikogo w tych pomieszczeniach. Ten mężczyzna oczywiście przyszedł. Nie przedstawił się nawet, że jest z Urzędu Bezpieczeństwa, nie pokazał żadnej legitymacji, tylko od razu przeszedł do rzeczy. Powiedział, że ma do mnie propozycję. Zapytałam go, jaką. Domyśliłam się, kim on jest. Oświadczył mi, że zależałoby mu na tym, bym od czasu do czasu w umówionym miejscu pozostawiła mu karteczkę z informacjami. Zapytałam się:

— Jakimi informacjami?

— Dowie się pani w odpowiednim czasie — odpowiedział.

Ja mu wtedy powiedziałam, że nie mogę zgodzić się na jego propozycję, bo nie zamierzam tu długo pracować, bo chcę się dalej uczyć i pójść na studia.

— O, to dobrze! — ucieszył się tamten. — My wam pomożemy, żebyście dostali się na studia, dostaniecie stypendium.

Ja mu wtedy oświadczyłam, że takiej kariery ja nie chcę robić.

— Nie chcecie! — zdenerwował się tamten i wyjął pistolet, którym zaczął się bawić.

Po trzech godzinach rozmowy, gdy się nie zgodziłam, kazał mi podpisać oświadczenie, w którym stwierdziłam, że nie przyjmuję

propozycji współpracy i całą rozmowę zachowam w tajemnicy pod groźbą odpowiedzialności karnej.

Przez całą noc nie mogłam usnąć i czekałam tylko rana, żeby całą rzecz powtórzyć dyrektorowi. Zdawałam sobie bowiem sprawę, że jeżeli ja się nie zgodziłam, to ten ubowiec będzie dalej węszył, by zwerbować kogoś innego. Chciałam dyrektora ostrzec. Dyrektor, który w tym czasie kończył badania genetyczne, oświadczył mi, że za niedługo wyjeżdża do Krakowa, a jak tam się urządzi, to mnie tu nie zostawi. Nadmienił też, że Uniwersytet Jagielloński organizuje rok zerowy dla takich, którzy nie mają pełnej matury. Po jego zaliczeniu będą mogli podjąć na nim normalne studia. Zgodził się, tylko poprosił, że zanim odejdę, żebym przeszkoliła moją następczynię. Następczyni istotnie się zjawiła, ale bardzo trudno było jej ogarnąć to wszystko, co ja robiłam. Ponadto szybko zorientowałam się, że giną mi pieniądze. Tu może zaznaczę, że przy szkole działały szklarnie, na których szkoła zarabiała. Cały utarg trafiał do mnie. Wtedy nie było takiego zwyczaju, że utarg przekazywało się do banku. Nie było zresztą takich możliwości. Cały utarg z tych szkolnych szklarni zabierałam ze sobą do domu. Często zaś były to duże pieniądze. Powiedziałam o tym dyrektorowi. Ten tylko się uśmiechnął i powiedział:

— A kto będzie przypuszczał, że nosi pani w torbie tyle pieniędzy!

Nikt mnie na szczęście nie napadł i pieniędzy nie zabrał. Zaczęła je, jak nadmieniałam, podbierać ta nowa dziewczyna. Jak powiedziałam o tym dyrektorowi, ten natychmiast ją zwolnił.

W tym czasie dotarła do mnie wiadomość o dacie egzaminów na rok zerowy, które miały wkrótce się odbyć. Gdy powiedziałam dyrektorowi, że muszę kończyć pracę i jechać do Krakowa, ten oświadczył, że mnie nie zwolni, bo nie ma mnie kto zastąpić. Powiedziałam mu, że w takim razie porzucę pracę i pojadę do Krakowa bez jego zgody. On wtedy znalazł inny sposób, żeby mnie

zatrzymać. Oświadczył, że nie pojadę, bo on mi nie zapłaci! Byłam zrozpaczona — wielka szansa życiowa mogła mi przejść koło nosa. Na szczęście miałam wielu znajomych wśród nauczycieli. Jeden z nich powiedział, żebym się nie martwiła, bo on mi pożyczy tyle, ile mi potrzeba.

— Jak pani skończy studia, będzie pracować i zarobi, to mi pani odda!

Wyszukał on też jeszcze jednego zdolnego maturzystę i wysłał razem ze mną do Krakowa. Pojechaliśmy pociągiem, ale ten się spóźnił i my również nie przybyliśmy na egzamin na czas. Na szczęście jednak nas do niego dopuszczono, ale wolna w niej była tylko pierwsza ławka. Tuż przed komisją. Mnie to jednak nie zdeprymowało. Pamiętam, że najpierw pisaliśmy jakieś zadania z polskiego i matematyki. Później były pytania z geografii Związki Radzieckiego, o której miałam niewielkie pojęcie, chociaż w szkole rosyjskiej w Kowlu się jej uczyłam.

W każdym razie zdałam egzamin. Oddałam swoją prace jako jedna z pierwszych. Któraś z egzaminatorek, widząc, że sobie doskonale daję radę, powiedziała nawet, że ci, co ostatni przyszli, są najlepsi. Ten chłopak, który ze mną przyjechał, też szybko napisał i wyszedł ze mną z auli. Również zdał egzamin.

Przez pierwsze dwa tygodnie mieszkałam u tego dyrektora, który odszedł z naszej szkoły i czuwał nade mną. Później oczywiście musiałam sobie radzić sama. Po ukończeniu roku zerowego zdałam egzamin na Wydział Medyczny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na uniwersytecie funkcjonował on jeszcze rok, a później został przekształcony w samodzielną uczelnię, Akademię Medyczną. Przez całe studia miałam indeks wydany mi przez Uniwersytet Jagielloński. Egzamin oczywiście był trudny, a nawet bardzo trudny, ale udało mi się dostać za pierwszym razem. Podsłuchiwaliśmy przez dziurkę od klucza obrady komisji kwalifikacyjnej. Byłam pewna, że mnie nie

przyjmą i smutna siedziałam na schodach. Wtedy podszedł do mnie kolega, któremu udało się dopchać jak najbliżej tej dziurki i powiedział:

— Co się martwisz, zdałaś przecież egzamin najlepiej z całej grupy!

Podsłuchał to, co mówili na obradach komisji. Po ogłoszeniu wyników jego słowa się potwierdziły. Zaczęłam szukać jakiegoś kąta, w którym mogłabym zamieszkać. Gdy dowiedziałam się, że na uczelni jest przedstawiciel ministerstwa nauki, udałam się do niego i poprosiłam o pomoc. Powiedziałam mu, że zdałam egzamin na studia, chcę się kształcić, a jestem bezdomna i nie mam gdzie mieszkać. Ten podzwonił po kilku akademikach i powiedział, że jest jedno wolne miejsce, ale tylko dlatego, że mieszka w pokoju dziewczyna, z którą nikt nie chce mieszkać. Połamała swojej współlokatorce żebra… Ja jednak nie miałam wyboru. Musiałam zaryzykować.

Wprowadziłam się do pokoju zajmowanego przez tę dziewczynę, która okazała się dziwolągiem. Nie była ani babą, ani chłopem. Miała potężne bary i siłę wyćwiczoną podczas ćwiczeń z ciężarkami pod kierunkiem ojca. Studiowała, o ile dobrze pamiętam, geologię na Akademii Górniczo-Hutniczej. Już pierwsza noc była dla mnie traumatycznym przeżyciem. Położyłam się spać, ale już o dwunastej w nocy miałam pierwszą próbkę tego, co ona potrafi. Zwołała o tej godzinie proszoną kolację. Nie zaprotestowałam i w końcu wszyscy się rozeszli. W pewnym momencie światło jednak zgasło. Byłam szczęśliwa, a tu nagle ta dziewczyna zaczyna rzucać krzesłami i wyrzucać je na korytarz. Ja wtedy twardo się postawiłam, mówiąc, że sobie nie życzę takiego zachowania. Ona zdębiała! Nie spodziewała się, że ktoś ośmieli się zaprotestować przeciwko jej zachowaniu. Zbaraniała, ale po jakimś czasie zaakceptowała moją postawę. Wytłumaczyłam jej, że ja się bardzo dużo muszę uczyć!

Po jakimś czasie z moją współmieszkanką udało mi się zaprzyjaźnić. Miała ona bardzo duże stypendium fundowane z przedsiębiorstwa geologicznego i nawet pożyczała mi pieniądze. W wakacje pojechałam na kolonie pracować jako higienistka i jej pieniądze oddałam. Podczas studiów medycznych uznałam, że nie zostanę lekarzem, tylko stomatologiem. Stwierdziłam bowiem, że jestem już starsza i mogę nie dać rady przyswoić sobie odpowiedniej porcji wiedzy. Odpowiedzialność lekarza za zdrowie i życie chorego jest zaś bardzo duża. Odpowiedzialność dentysty jest jednak mniejsza. Studia stomatologiczne nie były lżejsze. Przez pierwsze trzy lata mieliśmy wspólne zajęcia. Na studiach poznałam mojego męża, Bogusława Szweda. Pochodził on z dobrej krakowskiej rodziny, ale bezpartyjnej, co w tamtych czasach w tym mieście nie było mile widziane. Mój przyszły mąż nie należał też do ZMP, co też stanowiło obciążenie. Miał kłopoty z dostaniem się na studia. Po raz pierwszy zdawał na Wydział Lekarski UJ i nie został przyjęty. Egzamin oczywiście zdał, ale zabrakło dla niego miejsca. Pierwszeństwo w przyjęciu mieli członkowie ZMP i ci, których rodzice należeli do partii. Na drugi rok mój mąż spróbował szczęścia na prawie i rezultat jego starań był taki sam. Nie został przyjęty z powodu braku miejsc. Zmienił więc uczelnię i w kolejnym roku złożył papiery na Akademię Handlową. Też się nie dostał z tego samego powodu. Do ZMP się jednak nie zapisał. Spróbował po raz kolejny na Wydział Lekarski UJ i wreszcie się dostał. Był znakomitym studentem i już w czasie studiów jeden z profesorów uczynił go swoim asystentem.

Ślub cywilny wzięliśmy z mężem w 1953 r., a kościelny rok później. Po studiach, tak jak wszyscy, dostaliśmy nakaz pracy. Musieliśmy podjąć pracę w Jaworznie. Nie było to miejsce wymarzone, ale cóż było robić? Tam na szczęście dali nam mieszkanie, więc przynajmniej o to nie musieliśmy się martwić. Gdy tylko zaistniała możliwość, przeprowadziliśmy się na Lubelszczyznę, gdzie było czyste powietrze.

Powietrze na Śląsku i w Krakowie nie bardzo mi służyło. Ostatecznie osiedliliśmy się w Łącznej, gdzie dostaliśmy pracę i mieszkanie. Tu z czasem się pobudowaliśmy i odchowaliśmy nasze dzieci, które urodziły się w Krakowie i Jaworznie.

W sumie mamy czworo dzieci. Dwóch synów i dwie córki. Mamy też trzynaścioro wnuków i ośmioro prawnuków. Ze wszystkich możemy być dumni. Mają dobre rodziny, dają sobie doskonale radę w życiu i wstydu nam nie przynoszą. Jedna z córek jest ordynatorem w szpitalu na oddziale neonatologii. Jeden z synów też jest lekarzem. Zdrowie mi już szwankuje, co wynika z faktu, że mam już dziewięćdziesiąt lat. Jako osoba głęboko wierząca, czująca stale opiekę Bożą nad sobą, uważam, że największą wartością na tym świecie jest wiara, miłość, pokój i dobro oraz ufność w Opatrzność.

Wacława Borucińska

Uciekać nie było gdzie

— Urodziłam się w 1925 r. w Oktawinie — wspomina Wacława Borucińska. — Była to samodzielna gromada do gminy Mikulicze w powiecie Włodzimierz Wołyński. W jego skład wchodziło 7 gmin wiejskich, dwie miejskie, dwa miasta i 250 gromad wiejskich, czyli sołectw. Od zachodu powiat graniczył z powiatem hrubieszowskim województwa lubelskiego. Od południa z powiatem sokolskim województwa lwowskiego, a od wschodu z powiatami horochowskim i kowelskim. Ludność powiatu liczyła około 150 tysięcy osób. Dominowali w niej Ukraińcy, których odsetek wynosił 58 proc., Polaków żyło w powiecie o połowę mniej. Stanowili oni 26,7 proc. mieszkańców. Oprócz Ukraińców i Polaków w mieszkali w nim też Czesi i Żydzi. Ci ostatni głównie w miastach — Włodzimierzu Wołyńskim i Uściługu.

Nazwa naszej wsi pochodziła od tego, że została założona przez Polaków w oktawę Bożego Ciała. Kiedy jednak to się stało, nie potrafię powiedzieć. Wiem tylko, że mój dziadek w Oktawinie się urodził. Gdy ja przyszłam na świat, wieś ta należała do parafii Sielec, kościół w Chrynowie miał być dopiero budowany. Zostałam ochrzczona w kościele w Sielcu, do niego też początkowo uczęszczałam na msze święte. Był to murowany kościół, ufundowany przez księżną Helenę Sapieżankę w XVII w. Znajdowały się w nim, jak pamiętam, trzy obrazy, które mocno zapadły w moją dziecięcą pamięć. Były to obrazy Św. Trójcy, Matki Bożej i św. Józefa. Następny kościół w Chrynowie, z którym związałam swój los, był znacznie

skromniejszy. W zasadzie stanowił drewnianą, większą kaplicę, kościół murowany w Chrynowie miał zostać dopiero zbudowany, ale wybuch wojny to uniemożliwił.

Kolonia Oktawin, w której się urodziłam, w odróżnieniu od innych okolicznych miejscowości miała charakter polski. Mieszkało w niej około osiemdziesięciu rodzin, z których tylko dwie były ukraińskie. W innych miejscowościach proporcje narodowościowe układały się różnie. W Sielcu Polacy stanowili tylko jedną trzecią mieszkańców. Mówiąc jeszcze o Oktawinie, chciałabym nadmienić, że te dwie ukraińskie rodziny były bardzo zżyte z Polakami. Praktycznie niczym się od nich nie odróżniały. Uczęszczały, jak reszta mieszkańców, nie do cerkwi, ale do kościoła. Wspomnieć może też warto, że Oktawin, mimo że liczył, jak już mówiłam, tylko osiemdziesiąt gospodarstw, miał sporo mieszkańców. W każdym domu było sześcioro, ośmioro, a często i dziesięcioro dzieci. Wszyscy mieszkańcy utrzymywali się z rolnictwa. Innej możliwości zarobkowania w okolicy nie było. Moi rodzice, czyli Stanisław i Maria Sorokowie, bo tak brzmi moje panieńskie nazwisko, też oczywiście zostali rolnikami. Ich gospodarstwo miało 8 hektarów, co jak na wołyńskie warunki nie stanowiło zbyt dużego areału. Ojciec starał się gospodarstwo powiększać i jak tylko pojawiała się możliwość, to dokupywał jeszcze jakieś kawałki gruntu.

Początkowo było nas w domu tylko troje dzieci, ale w czasie wojny urodziło się rodzicom jeszcze dwoje. Tuż przed wojną ojciec planował zbudować większy dom. Zgromadził nawet materiał budowlany, ale wybuch wojny to uniemożliwił. Ziemia była w Oktawinie żyzna, każdy gospodarz miał krowy, świnie, kury, konia albo nawet dwa i starał się być samowystarczalny. Luksusów nie było, ale nikt głodny nie chodził. Ze swojego dzieciństwa zapamiętałam fakt, że jak miałam chyba cztery lata, to brodą dostawałam do stołu. Raz też z domu bez zgody rodziców wyszłam

na wycieczkę, ale pomyliłam polne drogi, bo tylko takie były w okolicy i o mało się nie zgubiłam. Na szczęście zobaczyła mnie stryjenka i powiedziała: „Przecież to córka Stasia!”, więc odprowadziła mnie do domu.

Do szkoły zaczęłam chodzić w Oktawinie. Była to czteroklasówka, w której przerabiało się cały program szkoły podstawowej. Polegało to na tym, że przez dwa lata chodziło się do klasy trzeciej, a następnie dwa lata do klasy czwartej. Szkoła była odległa od mojego domu o jakieś trzy kilometry. Oktawin bowiem należał do dużych wsi rozciągniętych na dużej przestrzeni, w pagórkowatej okolicy. Wiosną, gdy maszerowałam do szkoły rano, wszędzie na wzniesieniach zalegał śnieg. Gdy słońce wzeszło i śnieg zaczynał topnieć, z pagórków spływała woda i cała droga była poprzecinana potokami. Trudno było wrócić przez nie do domu.

Po ukończeniu szkoły w Oktawinie przez rok chodziłam do szkoły w Stężarzycach. Moja rodzina, tak jak większość mieszkańców, należała do bardzo religijnych. Jako dziecko zawsze z rodzeństwem uczęszczałam nawet na roraty, gdy jeszcze było ciemno. Funkcję proboszcza w parafii w Chrynowie pełnił wówczas ksiądz Stanisław Symon. On też podjął przygotowania do budowy nowego kościoła. Miał być murowany, a nie drewniany. W tym celu parafianie zbudowali małą cegielnię, by wypalić potrzebną do tego celu cegłę i wykopali dół, z którego mieli wydobywać glinę. Nie zdążyli jej jednak uruchomić, bo wybuchła wojna. Ksiądz Symon został też przeniesiony do Włodzimeirza Wołyńskiego i tylko dojeżdżał do Chrynowa.

W 1942 r. naszym proboszczem został ks. Jan Kotwicki. Pochodził on z diecezji żytomierskiej. Początkowo pracował wśród rodaków po sowieckiej stronie granicy. Bolszewicy kilkakrotnie go więzili i to w najgorszych więzieniach. Siedział, jak opowiadał, m.in. w moskiewskich Butyrkach. Zesłano go też do specjalnego łagru na

Sołowki. Do Polski wrócił w ramach wymiany więźniów. Był to znakomity kapłan, bardzo oddany ludziom.

Wybuch wojny we wrześniu 1939 r. pamiętam doskonale, choć działania wojenne bezpośrednio naszej wsi nie dotknęły. O tym, że jest wojna, dowiedzieliśmy się przede wszystkim z fali cywilnych uchodźców, która przewalała się przez naszą miejscowość. U nas się raczej nie zatrzymywali. Przenocowali i jechali dalej. Wojna otarła się o Włodzimierz, w którym stacjonowało kilka jednostek wojskowych Wojska Polskiego i lotnictwo niemieckie je bombardowało. Zrzuciło też, jak pamiętam, bomby na stację kolejową. Niektórzy mężczyźni z Oktawina dostali powołanie i poszli do wojska. Mój ojciec nie został zmobilizowany. Urodził się w 1896 r. i takich starszych panów do armii nie brali. Mojej mamy brat, który służył w ułanach, poszedł na wojnę i dostał się do niewoli niemieckiej. Całą wojnę przesiedział w obozie.

17 września na Kresy wkroczyli Sowieci, którzy szybko dotarli do Włodzimierza. Niemcy, ścigając cofające się oddziały polskie, podeszli pod miasto, ale jego samego nie zdobywali. Wiedzieli, że w podziale łupów przypadnie ono Niemcom. Sowieci wzięli we Włodzimierzu sporo jeńców polskich, których powieźli na wschód. Jakiś sowiecki oddział przemaszerował przez naszą wieś i wszyscy z zaciekawieniem mu się przyglądali, ale gdzie mu było do naszego wojska? Sowieci byli bardzo nędznie umundurowani. Mieli karabiny na sznurkach, ciągnął się za nimi smród. Od razu rzucało się w oczy, że należeli do innej kultury. Jak wkraczali Sowieci, to Ukraińcy zachowywali się różnie. U nas na szczęście nic się nie działo, bo w Oktawinie, jak już mówiłam, Ukraińcy praktycznie nie mieszkali. W osadzie wojskowej Orlęta na przykład powstał ukraiński komitet rewolucyjny, który „wyzwolił” polskich sąsiadów z całego majątku. Ukraińcy najzwyczajniej ich ograbili. Było to oczywiście przygrywką do tego, co w tej osadzie stało się później.

W Falemiczach, na skutek donosu Ukraińców, NKWD aresztowało właściciela majątku hrabiego Ledóchowskiego i jego syna Leona. Osadzono ich w więzieniu w Łucku, z którego już nie wyszli! W Chmielowie, który był wsią ukraińską, w 1939 r. Ukraińcy też terroryzowali Polaków, których w tej miejscowości mieszkało niewielu. Pięć czy sześć rodzin. Dzieci ukraińskie obrzucały swych rówieśników kamieniami, biły ich kijami, kopały i krzyczały pod ich adresem: „Smert Lacham!". Wybijali też szyby w domach zamieszkanych przez Polaków!

W Bubnowie Ukraińcy, na powitanie wojsk sowieckich, postawili bramę powitalną i powybijali szyby w domach Polaków. Gdy rozpoczęła się okupacja sowiecka, Ukraińcy się trochę uspokoili, choć ci najbardziej agresywni w stosunku do Polaków założyli czerwone opaski, iż zaczęli pełnić obowiązki milicjantów. Szkoła w Stężarzycach zaraz stała się ukraińska i naukę prowadzono w niej w tym w tym języku. Szybko przestałam do niej chodzić. Atmosfera w niej nie była najlepsza. Sowieci początkowo nie byli zbyt dokuczliwi w stosunku do Polaków, choć po Sowietach nikt niczego dobrego się nie spodziewał. Na ich temat wiedzieliśmy tylko same złe rzeczy. Rewolucja i wojna z bolszewikami w 1920 r. pozostawiły w świadomości Polaków opinię jak najgorszą o ich stosunku do nas.

Sowieci pozytywnie odnosili się do Ukraińców, i z wzajemnością — w większości. Podobało się im, że Polaków traktowali jako okupantów ukraińskiej ziemi, którzy narzucili jej swoje jarzmo. W pierwszych miesiącach sowieckiej okupacji po Oktawinie zaczęła chodzić komisja spisująca cały majątek posiadany przez każdego gospodarza. Na podstawie spisów wyznaczono nowy wymiar podatków, dużo wyższych od dotychczasowych. Zaczęto także organizować pogadanki, mające zachęcać ludzi do zbiorowego gospodarowania, czyli wstępowania do kołchozów. W Oktawinie nikt do nich wstępować nie zamierzał. Z min urzędników, którzy urządzali

te uświadamiające pogadanki, dla mieszkańców Oktawina wynikało, że wszystkich z nich Sowieci uważali za kułaków, czyli grupy, która w ich ustroju nie ma racji bytu.

Rozprawę z nami Sowieci odłożyli na później. Szybko się bowiem okazało, że najpierw chcieli się rozprawić z ludźmi, którzy stanowili w ich pojęciu element antysowiecki. Swoja akcją zaskoczyli nas całkowicie. Zima z 1939 na 1940 rok była wyjątkowo mroźna i śnieżna. Z chałupy wychodziło się rzadko i tylko w razie większej potrzeby. Nocą 10 lutego sowieckie grupy operacyjne dokonały wywozu wszystkich osadników wojskowych, mieszkających w naszej okolicy. Wysiedlono tych z osady Orlęta, a także z osady Chrynów. Dla mnie był to wielki wstrząs. Wśród wywiezionych członków rodzin miałam wiele szkolnych koleżanek i kolegów. Na Sybir nie pojechał tylko z rodziną Zygmunt Maguza, z którym utrzymuję kontakt po dziś dzień. Zygmunt ocalał, bo gdy wywozili rodziców, on był akurat w szkole w Sokalu.

W akcji wywózki uczestniczyli też oczywiście miejscowi Ukraińcy. Po kilku tygodniach czy raczej miesiącach zaczęły od zesłańców przychodzić listy. Informowali w nich, gdzie są i co robią. Wszyscy zrozumieli, dlaczego piszą, że można im przysyłać paczki żywnościowe o wadze do 5 kg. Wszyscy zbierali niepsującą się żywność i wysyłali znajomym. Kilkakrotnie woziłam paczki do Kowla, bo tylko z niego można było nadać taką paczkę deportowanym. Niosłam z reguły dwie przesyłki. Najpierw piechotą maszerowałam do Włodzimierza, a z niego jechaliśmy koleją do Kowla. Było to męczące, bo Włodzimierz od Oktawina oddalony był o 10 km, a dwie czapki ważyły przecież 10 kilogramów! Nikt jednak sobie nie krzywdował. Wiedzieliśmy, że dzięki naszej pomocy wywiezieni będą mogli przetrwać.

Po pierwszej wywózce przyszły następne i nikt nie mógł być już pewny dnia ani godziny. Nie tylko wywózki osłabiły oczywiście żywioł

polski w powiecie włodzimierskim i na całym Wołyniu. Na początku 1940 r. zaczęła się akcja przymusowego poboru do Armii Czerwonej. Powołania dostawali nie tylko młodzi, którzy ukończyli osiemnaście lat, ale nawet i pięćdziesięciolatkowie! Wezwanie było równoznaczne z wyrokiem. Uciekać nie było gdzie. Kilku moich kolegów z Oktawina też dostało powołanie do Armii Czerwonej i już nigdy nie wróciło. Przeżył, o ile pamiętam, tylko jeden, ale wyłącznie dlatego, że się dostał do niemieckiej niewoli. Później udało mu się z niej uciec.

Upiekli go żywcem

— W 1941 r. ludzie żyli nadzieją, że coś się zmieni na lepsze — wspomina Wacława Borucińska. — Mój ojciec, który bardzo interesował się polityką, przepowiadał, że wkrótce wybuchnie wojna niemiecko-sowiecka, która zmieni nasze położenie. Często widziałam, jak ojciec stał przy płocie i rozmawiał z sąsiadem o zbliżającej się kolejnej wojnie między dwoma naszymi wrogami. Sowieci w strefie nadbużańskiej pośpiesznie budowali jakieś umocnienia. Ze strefy nadgranicznej kontynuowali też wysiedlenia ludzi, którzy wydawali im się niepewni. Ukraińcy przycichli, jakby się przyczaili.

22 czerwca obudził nas huk wystrzałów. Niemcy uderzyli na Związek Radziecki. Oddziały sowieckie cofały się pod niemieckim uderzeniem, nie stawiając większego oporu. Niemcy parli do przodu tak szybko, że wkrótce byli bardzo daleko. Ich wkroczenie Polacy przyjęli nawet z ulgą. Wszyscy pomyśleli: „Przynajmniej nas nie wywiozą”. Niemcy, przejmując władzę na okupowanych terenach, podporządkowali sobie całą administrację, ale pozostawili cały samorząd ukraiński, rozwiązali milicję i utworzyli „ukraińską policję pomocniczą”. Znaleźli się w niej z reguły ci sami ludzie, którzy wcześniej służyli w milicji.

Praktycznie cała administracja i policja znalazły się w rękach ukraińskich. Polacy bardzo szybko to odczuli. Na polskie osady i wsie zaczęto nakładać znacznie większe kontyngenty niż na miejscowości zamieszkane przez Ukraińców. Policja ukraińska, w porozumieniu z Arbeitsamtem i władzami ukraińskimi, na przymusowe roboty do Niemiec wysyłali przede wszystkim Polaków. Jak ustalił pochodzący z Iwanicz mój rówieśnik i towarzysz broni z 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, prof. Władysław Filar, transporty z Wołynia do Niemiec składały się przede wszystkim z Polaków, którzy stanowili 16 proc. ludności na Wołyniu.

Ukraińcy starali się przede wszystkim chronić przed wywózką do Niemiec swoją młodzież. Mnie groziła ona także. W 1942 r. miałam 17 lat i w każdej chwili mogło mnie to spotkać. Ojciec poszedł do księdza i ten wypisał mi metrykę, z której wynikało, że jestem o rok młodsza. Tato uznał, że to może nie wystarczyć i wysłał mnie do Włodzimierza, gdzie zaczęłam pracować jako pomoc w rodzinie lekarza. Dzięki temu zostałam wymeldowana z gminy Mikulicze i zameldowana we Włodzimierzu. Przestalam figurować w kartotekach tam, gdzie Ukraińcy mnie znali.

Gdy byłam we Włodzimierzu, na wywózkę na przymusowe roboty do Niemiec wyznaczono mojego ojca. Policja ukraińska zabrała go z domu. Gdy byli już na stacji, udało mu się jednak uciec przez dziurę w płocie. Do domu jednak od razu nie wrócił. Miał rodzinę gdzieś koło Kisielina i tam początkowo się ukrył. Później, jak trochę się uspokoiło, wrócił do domu. Nie bardzo się jednak afiszował i starał się nie pokazywać. Sąsiedzi oczywiście wiedzieli, że wrócił, ale żaden z nich nie śpieszył się, żeby o tym donieść.

Czasami do wsi przyjeżdżali też niemieccy żandarmi, ale oni byli lepsi od ukraińskich policjantów. Z nimi można było się dogadać. Przyjeżdżali się napić, najeść i zabrać swój „prywatny kontyngent". Oni też chcieli żyć. Wśród nich byli także różni ludzie, choć

zwyrodnialcy również się znaleźli. W najbrudniejszej robocie Niemcy woleli wysługiwać się Ukraińcami, którymi najzwyczajniej gardzili. Za zgodą Niemców policja ukraińska strzelała bezkarnie do Polaków, dokonując licznych mordów.

W grudniu 1942 r. patrol policji ukraińskiej zaatakował grupę młodzieży polskiej, powracającej z próby w kościele. Najpierw zaczęli bić zatrzymanych, a następnie jeden z policjantów wydał komendę: „Strzelać!". Na szczęście zaatakowanym udało się uciec. Na początku 1943 r. banda ukraińska wywlekła z domu Polaka, Ignacego Nieradkę, byłego organistę, rozebrała go do naga, przywiązała do drzewa i podpaliła ognisko. Biedak upiekł się żywcem w strasznych mękach! Jego syna Eugeniusza, chłopaka w moim wieku, ukraińscy bandyci zastrzelili. Prawdopodobnie zaczął uciekać. Dzięki temu uniknął męki.

Napady na Polaków nasiliły się, gdy policja ukraińska zdezerterowała i z pełnym uzbrojeniem poszła do lasu. W maju i czerwcu już się spodziewaliśmy, że coś się szykuje. W okolicy nocami słychać było przemieszczające się po drogach kolumny chłopskich wozów konnych. Miały one żelazne obręcze na drewnianych kołach i było je doskonale słychać. Ojciec od razu uznał, że to Ukraińcy jeżdżą i się organizują. Ja już wtedy wróciłam z Włodzimierza do domu, bo niebezpieczeństwo wywózki zmalało. Za dnia też widziałam, jak przez Oktawin przejeżdżają grupki Ukraińców na rowerach, co już dawało do myślenia. Polacy rowerów nie mogli mieć. Ukraińska policja, z polecenia Niemców, wszystkie je pozabierała. Nie zdała ich jednak Niemcom w całości. Znaczną część zachowała i przekazała tworzącym się w lasach oddziałom UPA. Dzięki temu ich czujki mogły się po drogach bardzo szybko poruszać i zaskakiwać.

W niektórych wsiach, gdzie silne było polskie środowisko, zaczęła się tworzyć samoobrona. U nas też powstała, chociaż wtedy do niej

nie należałam, a nawet nie wiedziałam o jej istnieniu. Wchodziła ona w skład Odcinka „Południe” Komendy Obwodu AK Włodzimierz Wołyński. Ta grupa konspiracyjna była jednak bardzo nieliczna. Była też bardzo słabo uzbrojona. Dowodził nią niejaki Dorociński. Ojciec, który czuł się za nas odpowiedzialny, bardzo przeżywał tę sytuację, zwłaszcza że lato w 1943 r. było bardzo piękne i zapowiadały się niezłe zbiory. Zboża porosły bardzo duże. Można się było w nich schować.

Wreszcie nadszedł ów krytyczny dzień, czyli niedziela 11 lipca 1943 r. Jak zwykle w niedzielę mieszkańcy Oktawina wybierali się na mszę św. do kościoła parafialnego w Chrynowie. Najkrótsza droga do świątyni wiodła przez las. Tu jednak na ścieżce stali uzbrojeni Ukraińcy, którzy nie przepuszczali mieszkańców Oktawina do Chrynowa i kazali im zawracać. Dopiero później uświadomiłam sobie, że Ukraińcy obawiali się, że jak wszyscy Polacy przyjdą na mszę św., to sobie z nimi nie poradzą i nie zdołają ich wszystkich wymordować. Po jakimś czasie usłyszeliśmy strzały. Od razu seryjne. Później, gdy już byłam żołnierzem 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, dowiedziałam się, że tak strzela karabin maszynowy.

Wszyscy byli bardzo zaniepokojeni tym, co dzieje się w Chrynowie. Ojciec kazał opróżnić duży kufer, w którym złożyliśmy najcenniejsze rzeczy, m.in. ubrania, żywność, dokumenty i zdjęcia i zakopaliśmy na podwórku. Po południu grupa mężczyzn z Oktawina pojechała konno do Chrynowa zobaczyć, co się w nim stało. Udali się tam głównie ci, co mieli broń. Wcześniej do Oktawina dotarło kilka osób, którym udało się wydostać z ukraińskiej obławy. Widok, który ekspedycja z Oktawina zastała w Chrynowie, był przerażający. Po obu stronach wejścia do kościoła w wykopanych rowach leżeli pomordowani mieszkańcy Chrynowa. Zabici leżeli też wokół świątyni. Po stwierdzeniu mordu nasi wysłannicy natychmiast popędzili do wioski. Obawiali się bowiem, że teraz Ukraińcy mogą zaatakować

i wymordować Oktawin. W oddali słychać było bowiem strzały. Ukraińcy nie napadali jednak na Oktawin, tylko wyruszyli wymordować Stasin, który był mniej liczny.

W masakrze, przeprowadzonej przez Ukraińców, zginęło około stu mieszkańców tej miejscowości. Zapędzili ich do dwóch stodół. Do jednej mężczyzn, a do drugiej kobiety z dziećmi. Następnie mordowano ich z broni palnej, widłami i siekierami. Jednak paru udało się uciec i przedostać do Oktawina. My w Oktawinie spodziewaliśmy się najgorszego. W nocy mężczyźni, a także kobiety uzbrojeni w co kto miał, w widły i siekiery, trzymali straż. My w domu nie nocowaliśmy. Spaliśmy w znacznym oddaleniu od gospodarstwa w kopach koniczyny, wysuszonej na paszę. Jak można było jednak spać, gdy wokół widać było łuny płonących polskich wsi? Ukraińcy uderzyli praktycznie na wszystkie skupiska w okolicy. Rano wszyscy się zebrali i zaczęli dyskutować, co robić dalej. Głos zabierali przede wszystkim mężczyźni. Długo się jednak nie zastanawiali. Zdecydowana większość uznała, że nie ma na co czekać i trzeba uciekać do Włodzimierza Wołyńskiego, bo tu zostaniemy wyrżnięci przez ukraińskie bandy. Zaraz uformowała się kolumna, złożona z kilkudziesięciu konnych wozów i wyruszyła w kierunku Włodzimierza. Każdy zabrał tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Ojciec przywiązał do wozu naszą karmicielkę, krowę. Rodzice mieli przecież, oprócz nas trojga, dwoje małych dzieci, czyli trzyletnią naszą siostrę Halinę i kilkumiesięcznego Henia. Czymś te maleństwa trzeba było karmić. Dorośli zdolni do tego, by w razie napadu stawić opór Ukraińcom, szli pieszo po obu stronach drogi. Widły, siekiery i trochę broni mieli ukryte na wozach.

Nasza podróż byłą bardzo niebezpieczna.. Przejeżdżaliśmy przez cztery ukraińskie wsie. W każdej z nich mogliśmy zostać zaatakowani przez ich mieszkańców. Wsie te wyglądały na wymarłe. Tutejsi Ukraińcy byli pewnie zajęci mordowaniem Polaków gdzie indziej —

tego dnia tyle, że po południu wyrżnęli bestialsko polską wieś Smołową, w pobliżu której przejeżdżaliśmy. Była to kolonia bardzo rozproszona i to ułatwiło zbrodniarzom zadanie. Otoczyli kolonię i po kolei zabijali mieszkańców, których zastali w zabudowaniach, a je same podpalali. Niektórzy Polacy zdołali uciec i schronić się w gliniankach. Część z nich uciekała przed oprawcami w zboża, ale ci starali się ich wyszukiwać, by nie ostał się żaden świadek zbrodni. Rzeź Smołowej trwała do późnych godzin nocnych. Tych mieszkańców Smołowej, których Ukraińcom udało się wyłapać, zapędzali oni do kuźni, a gdy ją już zapełnili, to podpalili. Żywcem spłonęło w niej kilkadziesiąt osób! Bandyci znaleźli też Polaków ukrywających się w gliniankach i ich również wymordowali. Tylko niektórym Polakom udało się uciec ze Smołowej do Włodzimierza i opowiedzieć o tragedii jej mieszkańców.

Gdy my dotarliśmy do Włodzimierza, udało się nam znaleźć kwaterę dla siebie i miejsce dla krowy. Wszystkim uciekinierom w znalezieniu kąta dla zamieszkania pomagał ks. Stanisław Kobyłecki. Nasz domek, w którym umieszczona została także druga rodzina, należał wcześniej do Żydów. Tych w 1941 r. spędzono do getta, a następnie wymordowano. Dom był ograbiony ze wszystkiego, ale cieszyliśmy się, że mamy dach nad głową. Przy domu znajdowała się też obórka, w której mogliśmy umieścić krowę i konia. Żyd, w którego domku zamieszkaliśmy, trudnił się wcześniej handlem obwoźnym i trzymał w tej obórce konika.

We Włodzimierzu działy się wówczas sceny dantejskie. Uciekinierów przybywało z godziny na godzinę. Pochodzili oni nie tylko z powiatu włodzimierskiego, ale także horochowskiego, który Ukraińcy również mordowali. Ulice miasta były zapchane furmankami, na których leżeli ranni i okaleczeni ludzie, których Ukraińcy nie zdołali dorżnąć. W środę 14 lipca zaczęto szukać chętnych do wyjazdu do Chrynowa, żeby przywieźć do Włodzimierza

i pochować ciało księdza Kotwickiego. Jego siostra przyszła do mojego ojca i poprosiła, by ten pożyczył konia. Chciała bowiem do wozu zaprząc dwa konie, by w pagórkowatej okolicy można było jechać szybko, a w razie potrzeby przyśpieszyć, gdyby zaistniało niebezpieczeństwo ze strony Ukraińców. Ojciec konia dał, a ja zgodziłam się z siostrą księdza i jeszcze jedną kobietą pojechać do Chrynowa i przywieźć ciało księdza. Myślałam, że uda nam się zahaczyć o Oktawin i wyjąć z kufra, który zakopaliśmy, swoje rzeczy. Zależało mi szczególnie na świadectwach szkolnych i zdjęciach. Załadowaliśmy na wóz trumnę na zwłoki księdza i pojechałyśmy. Przed wyjazdem organista przykazał mi, abym zabrała z kościoła księgę metryk chrztu.

Do Chrynowa dotarłyśmy bez przeszkód. Siostra księdza poszła na plebanię po jakieś rzeczy, a ja udałam się do kościoła, żeby szukać tych ksiąg metrykalnych. Nie mogłam ich znaleźć, postanowiłam zabrać więc monstrancję i ornaty. W kościele przed ołtarzem zobaczyłam straszny widok. W zastygłej kałuży krwi leżała moja szkolna koleżanka Liza. Innych zwłok nie widziałam. Na środku kościoła znajdowało się wygasłe ognisko. Napastnicy myśleli, że od niego zajmie się cały kościół i spłonie, ale tak się nie stało. Przynieśli oni za mało gałęzi i wypaliła się tylko podłoga wokół ogniska. Włożyliśmy ciało księdza, które ktoś wcześniej zaniósł na plebanię do trumny. Następnie z trudem załadowaliśmy je na wóz. Gdy się mocowaliśmy z tą trumną, nadszedł jakiś mężczyzna. Poprosiłyśmy go, by nam pomógł. On jednak odpowiedział: „Nie mogę!”. Przestraszyłyśmy się, że jest Ukraińcem i boi się zemsty swoich ziomków. Szybko się oddalił i bałyśmy się, że zawoła swoich kamratów, by nas zabili. Siostra księdza uznała, że trzeba jak najszybciej wracać do Włodzimierza. Ja jednak postanowiłam dostać się do Oktawina. Zabrałam się z jednym z sąsiadów, który jechał z Włodzimierza do Oktawina po paszę i resztę rzeczy.

Zginął od strzału w głowę

— Wyprawa po zwłoki księdza bardzo mi zapadła w pamięć — wspomina Wacława Borucińska. — Była bardzo przykra. Ksiądz zginął od jednego strzału w głowę, gdy z zakrystii usiłował dojść do plebanii albo z plebanii szedł do kościoła. Nie zginął przy ołtarzu, jak gdzieś czytałam. Dostał kulę w czoło. Ta, wychodząc, wyrwała mu część czaszki i mózgu. Miał praktycznie rozwaloną głowę. Nie był to widok przyjemny dla młodej dziewczyny. Wtedy jednak o tym nie myślałam. Gdy jechałam z tym sąsiadem do Oktawina, myślałam tylko o tym, czy spotkamy na swojej drodze jakąś bandę ukraińską, czy nie. Tej na szczęście nie spotkaliśmy. Ja koło naszego domu zeskoczyłam, a sąsiad pojechał dalej. Po naszym obejściu dreptały jeszcze dwie gęsi. Każdej z nich dałam siekierą po głowie i przygotowałam do zabrania do domu. Z żywymi miałabym większy kłopot. Zapakowałam je do tobołka. Pozbierałam do niego jeszcze wszystko, co tylko nadawało się do jedzenia i z sąsiadem pojechaliśmy w powrotną drogę do Włodzimierza. Z naszego inwentarza poza tymi gęsiami nie zostało nic. Znikły kury, cielna jałowica i coś tam jeszcze. Gdy przejechaliśmy jakieś 2 kilometry, spotkaliśmy po drodze ludzi, którzy dopiero jechali po swoje rzeczy do Oktawina. Kiedy nas mijali, nie zdawałam sobie sprawy, że widzimy się po raz ostatni.

Gdy byliśmy w Szustowie, w połowie drogi zobaczyliśmy dymy. Nie mieliśmy wątpliwości, ze płonął Oktawin. Wszyscy, którzy pojechali do naszej wsi, zostali złapani przez Ukraińców i zamordowani. Nasz dom wtedy nie został spalony. Brat, który później jeździł konikiem, szukając przede wszystkim paszy dla krowy i konia, zajechał do Oktawina i zobaczył, że dom stał. Był ograbiony ze wszystkiego, miał

wyłamane okna i drzwi, ale stał. Gdy brat przyjechał jeszcze raz do Oktawina, to domu już nie było, stał tylko komin. Muszę się przyznać, że nigdy takiego działania Ukraińców nie rozumiałam. Do dziś sobie zadaję pytanie, dlaczego, jeżeli już wyrżnęli bądź zmusili do ucieczki, to palili wszystkie domy swych ofiar? Mogli je przecież zająć i zamieszkać w nich. Ukraińcy żyli przecież w niewielkich chałupach, ciasnych, brudnych, i jak się później, już jako żołnierz 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, przekonałam, że także zawszonych. Ukraińcy chcieli, jak się wydaje, zniszczyć wszystko, co polskie, by Polacy nie mieli gdzie wracać, by zniknął wszelki ślad po nich na Wołyniu.

Gdy wróciłam do Włodzimierza z płonącego Oktawina, zastałam go jeszcze bardziej zatłoczonego. Księża Stanisław Kobyłecki, a także Andrzej Gładysiewicz z pomocą sióstr zakonnych dwoili się i troili, żeby pomóc uciekinierom, którzy zdołali ujść ukraińskiej rzezi. Ludzie gnieździli się wszędzie. W domach brakowało dla nich już miejsc. Koczowali wszędzie na ulicach, w szkołach, kościołach, w kinie. Księża zorganizowali na plebanii sierociniec dla dzieci, których rodziców zamordowali Ukraińcy, a które uratowali ich sąsiedzi czy znajomi. Pomoc charytatywna, organizowana przez Kościół, nie była w stanie zaradzić wszystkim biedom. Wszyscy, którzy mieli jakiś punkt oparcia na terenie Generalnego Gubernatorstwa, starali się tam jechać.

Niemcy, wykorzystując sytuację, zaczęli organizować przymusowe wyjazdy na roboty do Rzeszy, na które wielu Polaków, niemających alternatywy, dobrowolnie się decydowało. Niemcy zaczęli też werbować młodzież polską do Schutzmannschaften oraz Hilfspolizei, czyli żandarmerii i policji pomocniczej. Chłopaki wstępowali do obu tych formacji za aprobatą konspiracji. Przynależność do nich dawała bowiem szansę na zdobycie broni, której bardzo brakowało.

Schultzmannschaften była też potrzebna do obrony Włodzimierza przed napadami ukraińskich bojówek. Te bowiem bez przerwy napadały na przedmieścia miasta i mordowały bezbronnych. Schutzmannschaften osłaniało też wyjazdy Polaków na żniwa czy wykopki. Niemcy zabierali im jakąś część, ale większość pozwalali zatrzymać. Ja w tym czasie zatrudniłam się w szpitalu jako salowa. Czego ja się tam nie naoglądałam! Leżeli w nim strasznie pokiereszowani i zmaltretowani ludzie, którzy cudem uszli spod ukraińskich noży i siekier.

Oglądając tych pokaleczonych ludzi, zawsze zadawałam sobie pytanie: do jakiego zezwierzęcenia może posunąć się człowiek? Ukraińcy łamali swym ofiarom ręce, nogi, podrzynali im gardła. Widziałam konającą kobietę, której oprawca wbił nóż do gardła, ale przez usta. Trupów do szpitala nie przywożono, tylko od razu na cmentarz i chowano w grobach zbiorowych. W mieście tworzyła się na dobre polska konspiracja, ale ja o tym jeszcze nie wiedziałam i nie miałam z nią kontaktu. W mieście mówiło się, ze w Bielinie, oddalonym od Włodzimierza o kilkanaście kilometrów, działała polska samoobrona i gromadzili się uciekinierzy z innych miejscowości, szukający w niej schronienia. W jego okolice Polacy z Włodzimierza jeździli często po żywność. Kiedyś, zimą z 1943 na 1944 r., ja też pojechałam z dwoma wujkami po słoninę. Gdy byliśmy w Bielinie, w kolonii Sewerynówce, która wchodziła w skład pierścienia otaczającego Bielin, wybuchły walki. Ukraińcy zaatakowali ją, chcąc zdobyć Bielin. Ich atak został odparty, ale droga powrotna do Włodzimierza była zbyt niebezpieczna. Wujkowie orzekli, że oni mimo wszystko zaryzykują i pojadą, a ja mam tu zostać i poczekać, aż sytuacja się uspokoi. W Bielinie spotkałam koleżankę ze szpitala, Laskownicką, która zaproponowała mi wstąpienie do służby sanitarnej w tworzącym się zgrupowaniu Armii Krajowej. Zgodziłam

się, i tak przez przypadek zostałam sanitariuszką w służbie sanitarnej zgrupowania „Osnowa”.

Moją i innych sanitariuszek przełożoną była Janina Siemaszko „Kropka”. Najpierw przeszłam intensywne szkolenie, a później zostałam skierowana do szpitala. Szkolenie było krótkie. O ile pamiętam, trwało dziesięć, najwyżej czternaście dni. Prowadziła je „Kropka”. Po jego zakończeniu każda z nas otrzymała torbę sanitarną z podstawowym zestawem leków i środków opatrunkowych, niezbędnych do udzielenia pierwszej pomocy. Były tam jakieś bandaże, gaza, wata, jodyna, woda utleniona i łupki do unieruchamiania kończyn. Ja do swojej torby wrzuciłam jeszcze swój służbowy pistolet. Była to „szóstka”, typowa damska broń. Chłopaki nauczyli mnie z niej strzelać, ale do walki czy nawet obrony nie bardzo się nadawała. Praktycznie stanowiła atrapę. Dano im bowiem do niej tylko trzy naboje. Nigdy z niej nie wystrzeliłam. Szefem całej służby zdrowia zgrupowania „Osnowa”, formowanego w Bielinie, był lekarz Ignacy Jakira, pseudonim „Butrym”, komendantem szpitala zaś lekarz Zygmunt Podlipski „Samus”. Pomagał mu dentysta Seweryn Kowalski „Maska”. Łącznie pion sanitarny z personelem gospodarczym liczył kilkanaście osób.

Dla „Samusa” zgrupowanie stanowiło nie tylko miejsce walki z Niemcami, ale także schronienie. Był znakomitym chirurgiem pochodzenia żydowskiego. Pracował w Warszawie. Uciekł do Włodzimierza przed Niemcami, gdzie w tutejszym szpitalu został ordynatorem. Niemcy, gdy zajęli Włodzimierz, to początkowo tolerowali go jako Żyda, bo brakowało im lekarzy. Ale gdy w 1942 r. zaczęli mordować Żydów, o nim nie zapomnieli. Uciekł z żoną i córeczką do polskiej rodziny, a następnie przedostał się do Bielina. Początkowo jako chirurg nie miał on jednak dużo do roboty.

Gdy zgrupowanie „Gromaga” toczyło już ciężkie walki z Niemcami, to u nas panowała jeszcze rodzinna atmosfera. Dowódcy szkolili

swoje oddziały i nic specjalnego się nie działo. Spokój zakłócały nam tylko „ramy”, czyli niemieckie samoloty zwiadowcze, za którymi niestety przylatywały niemieckie bombowce, które dawały się nam mocno we znaki. Bywało, że jeden potrafił krążyć nad jednym człowiekiem, którego sobie wypatrzył i za wszelką cenę starał się go dopaść, strzelając do niego z karabinów maszynowych. Na przełomie lutego i marca w niektórych oddziałach zgrupowania stwierdzono przypadki tyfusu. Stworzono wtedy dla nich oddział zakaźny szpitala w Turówce, a dla wszystkich żołnierzy zgrupowania zorganizowano szczepienia przeciw tyfusowi. Część chirurgiczna szpitala została przeniesiona z Siedlisk do Puzowa. Niemcy z Włodzimierza oczywiście zdawali sobie sprawę z tego, że pod ich bokiem powstaje zgrupowanie partyzanckie i nie mogliby tego fakt tolerować. Tym bardziej, że zbliżał się front. Starali się rozpoznać siłę zgrupowania, wysyłając oddziały mające nasze siły. Jako sanitariuszka brałam udział w dwóch bitwach z Niemcami. Pierwsza to była bitwa pod Kapitułką. Niemcy usiłowali wkroczyć na zajmowany przez nas teren i przejść przez Turię. „Garda”, który dowodził zgrupowaniem, odparł skutecznie ich atak. Niemcy się wycofali, ale i nasze oddziały poniosły straty. Mieliśmy 7 zabitych i 12 rannych. Dwóch z nich sama opatrywałam.

Szłam wtedy razem z żołnierzami. Pamiętam, że zalegliśmy na jakiejś porębie, z której ścięte drzewa zostały już uprzątnięte i żołnierze kryli się za pniami ściętych drzew. Padłam na ziemię koło jakiegoś żołnierza, ale ten kazał mi odczołgać się do tyłu i nie przeszkadzać mu w strzelaniu. Bał się, że za tym jednym pniem nie zdołamy się we dwójkę ukryć i jego albo mnie dosięgnie kula.

Druga bitwa pod Stężarzycami była jednym z większych sukcesów zgrupowania, bo w jego trakcie do niewoli wzięło ono 72 Niemców. Ich dowódcy się wściekli. Bombardowali zgrupowanie z samolotów, a później zorganizowali wymianę jeńców. By zmusić „Gardę” do

zwolnienia jeńców, Niemcy wzięli we Włodzimierzu czterystu zakładników i zagrozili, że ich rozstrzelają, jeżeli ten nie odda jeńców. Wysłali do „Gardy" księdza Stanisława Kobyłeckiego, by przedstawił mu sprawę. „Garda" nie miał wyboru. Zwolnił jeńców.

W tamtym okresie, jak pamiętam, głównym zadaniem sanitariuszek była przede wszystkim opieka nad nogami żołnierzy. Mało który z nich miał odpowiednie buty. Na każdym postoju w trakcie odpoczynku musiałam dezynfekować i opatrywać poodparzane nogi żołnierzy. Za dużo środków nie mieliśmy, ale zawsze jakoś starałyśmy się pomóc żołnierzom. Front tymczasem zbliżał się do nas coraz szybciej, co sprawiło, że znaleźliśmy się między młotem a kowadłem. Z jednej strony parły na zachód oddziały sowieckie, a z drugiej usiłujące je zatrzymać oddziały 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK znalazły się na głównej osi niemieckiego kontruderzenia, mającego zatrzymać sowiecki atak na Kowel. Niemcy ściągnęli znaczne siły, w wyniku czego cała 27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK znalazła się w kotle wraz z częścią sił sowieckich, usiłujących wcześniej zdobyć Kowel. Obie strony nawiązały współpracę, co było niezbędne dla przetrwania.

Sytuację pogarszały wiosenne roztopy, które na Wołyniu są szczególnie dokuczliwe. Tamtejszy czarnoziem przemienia się w lepką maź, w której grzęzną ludzie, konie i wozy. Z polnych dróg, którymi się przede wszystkim poruszaliśmy, zamieniły się w bagno. Niewielkie rzeczki zamieniały się w rwące potoki. Tabory grzęzły. Po jakimś okresie tego piekła w kotle, kiedy należałam do batalionu „Zająca", dowództwo dywizji zdecydowało się na przebicie na Polesie do lasów Szackich. Dalsze pozostawanie w kotle groziło nam unicestwieniem. Byliśmy bombardowani z powietrza i atakowani przez czołgi. Brakowało nie tylko lekarstw, ale i opatrunków. Nie było czym opatrywać rannych. Nie miałyśmy nawet bandaży. Dramatycznie pogarszał się stan sanitarny wśród żołnierzy dywizji.

Niemal wszyscy mieli wszy. Czochrali się przeraźliwie. Mnie też gryzły, ale drapanie się przez mundur i koszulę nic nie dawało.

Największy dramat, jaki musieli rozwiązać dowódcy i lekarze, był los rannych. Wielu nie nadawało się do transportu. Trzeba było ich zostawić w szpitalu w lesie, co mogło oznaczać dla nich śmierć. Niektórzy ranni prosili, żeby ich dobić. To się jednak tylko tak mówi, jak tu bowiem dobić kolegę? Połączone szpitale na wozach zostały zaciągnięte głębiej między trzęsawiska. Mieliśmy nadzieję, że natarcie Armii Czerwonej pójdzie szybko i ocali kolegów. W sumie na bagnach na stu wozach pozostawiliśmy około dwustu rannych. Jak się później dowiedzieliśmy, czterdziestu lżej rannych wydostało się ze szpitala i zostało przyjętych pod opiekę placówki Armii Krajowej w Jagodzinie. Ponad stu rannych uratowali Węgrzy, którzy przekazali ich do szpitala przy obozie jeńców radzieckich w Chełmie. Części kolumny marszowej udało się przejść tory, ale druga jej część, w której szedł batalion „Zająca", została przez Niemców zatrzymana. Napotkała na swojej drodze piekło. Niemcy otworzyli wzdłuż torów ogień z karabinów maszynowych. Kolumna pękła. Nastąpił niesamowity chaos i zamieszanie. Nikt nie wiedział, co się dzieje. Oddziały się rozpraszały i rzuciły się do ucieczki. Część z nas zatrzymała się w jakimś lasku. Nie był on jednak świerkowy, tylko liściasty i bardzo trudno było się w nim ukryć. Dotrwaliśmy w tym lasku do wieczora, starając się, by Niemcy nie wykryli w nim naszej obecności. Niemcy kręcili się wzdłuż torów, a nad nami krążyły ich „ramy", starając się wykryć, czy gdzieś w okolicy nie krążą jeszcze jakieś oddziały.

Gdy sytuacja się trochę uspokoiła, „Zając" i inni oficerowie zaczęli porządkować rozbitków i przygotowywać oddziały do powtórnej przeprawy. Mieliśmy przejść tory dwoma kolumnami. Jedna poszła w pobliżu stacji kolejowej i niemieckich bunkrów, a druga mijała zabudowania i bunkry. W drugiej połowie ja się znajdowałam

i miałam szczęście. Pierwsza nadziała się na niemiecki ogień i omal znów nie utknęła. Kompania „Piotrusia” z batalionu „Zająca” poderwała się jednak do natarcia i poszła do ataku na niemieckie stanowiska, podrywając resztę. Kolumna sforsowała tory, ale poniosła duże straty. Nam niemieckie kule gwizdały nad głowami. Za torami obie kolumny spotkały się i tocząc walki, dołączyły do reszty dywizji w lasach szackich.

Chciałam się utopić

— W lasach szackich zatrzymaliśmy się na wypoczynek. Poszczególne oddziały dywizji były w fatalnym stanie. Żołnierze padali z nóg, po wielotygodniowych bojach byli przemęczeni i mało odporni psychicznie. Brakowało wszystkiego: żywności, amunicji, lekarstw i opatrunków. Wszyscy byli głodni. Kwatermistrzostwo nie miało żadnych zapasów ani możliwości zdobycia nowych. Tutejsze strony były biedne, słabo zaludnione i wyszabrowane przez zaopatrujące się tutaj oddziały partyzantki sowieckiej. Utrata szpitala polowego bardzo też obniżyła morale żołnierzy. Każdy z nich zdawał sobie sprawę, że jeżeli zostanie ranny, to najzwyczajniej zginie, bo nikt nie będzie mu w stanie pomóc. Rannych kładło się na nosze i z powodu braku taborów przenosiło się z miejsca na miejsce siłami żołnierzy, co było dla nich wielkim obciążeniem.

Z przeliczenia stanów osobowych wynikało, że dywizja poniosła bardzo ciężkie straty. Około 1600 żołnierzy nie przeszło torów. Część się rozproszyła, wielu zginęło lub dostało się do niewoli. Dywizja nie była jednak rozbita, a dowódcy zaczęli szybko przywracać dyscyplinę i częściowo na nowo formować oddziały. Ja zostałam przydzielona do „Krwawej Łuny”. Trafiłam do niej z Lodzią Kucabówną. Zostałam sanitariuszką w kompanii „Samsona”, czyli porucznika Władysława

Anuszkiewicza. Dowódcą batalionu „Krwawej Łuny” był natomiast „Ćwik”, por. Józef Malinowski. Nie miał on prawej ręki, więc Kucabówna, oprócz funkcji sanitariuszki, pełniła rolę jego sekretarza, zapisując wszystkie meldunki i rozkazy.

Z tego okresu zapamiętałam szczególnie dwóch braci ciężko rannych, pochodzących gdzieś z okolic Łucka. W tamtych warunkach nie było szans, żeby ich uratować. Obaj umarli i zostali w lasach szackich pochowani. Z tamtych czasów zapamiętałam też bardzo dobrze, co to jest głód, że trzeba szanować każdy kawałek chleba. Chleba praktycznie się nie widziało. Owszem, chłopcy robili wyprawy po żywność, ale jak odrobinę czegoś znaleźli, to sami zjedli, bo też byli głodni. Czasem udało im się znaleźć jakąś mąkę, którą się gotowało z wodą w garnuszku. Dobrej wody też brakowało. Szukało się w miarę czystej kałuży i z niej brało wodę. W pamięci pozostały mi też długie nocne marsze, strasznie męczące. Odbywały się one w koszmarnych warunkach. Teren, przez który maszerowaliśmy, był grząski, miejscami bagnisty. Często maszerowaliśmy po kolana w błocie i wodzie. Gdy przechodziliśmy jakiś większy trakt, padała komenda: „W tył zwrot i naprzód marsz!”. Zawsze takie drogi pokonywaliśmy tyłem, żeby pozostawić ślady mylące Niemców. Mieli myśleć, gdyby je odkryli, że maszerowaliśmy w drugim kierunku. Każdy z nas miał też polecenie przyczepić sobie do pleców coś białego, by żołnierz idący z tyłu widział swojego poprzednika. W szeregach żołnierzy nasilała się też wszawica, wszyscy z trudem opędzali się też od komarów atakujących nas zarówno w dzień, jak i w nocy.

Niemcy stale deptali nam po piętach, usiłując zamknąć w kolejnym kotle. Żołnierzom dywizji brakowało zaś amunicji. Dowództwo podjęło decyzję o przebiciu się dywizji przez front na stronę radziecką. Jako pierwsza miała przejść kolumna dowodzona przez kapitana „Gardę”. Czoło kolumny stanowiły kompanie z batalionu por.

„Zająca”. Zamykały ją oddziały „Krwawej Łuny” dowodzone przez „Ćwika”. W tej kolumnie maszerowałam i ja z Lodzią Kucabówną. Spałyśmy nawet pod jednym kocem. Do Prypeci, na której ustaliła się linia frontu, szliśmy najgorszymi bezdrożami, chcąc ominąć niemieckie posterunki na zaplecze frontu. Maszerowaliśmy przez błota i trzęsawiska, których pokonanie bez przewodnika wydawało się niemożliwe. Pamiętam, jak dochodziliśmy do Prypeci, to podczas ostatniej nocy przed przebijaniem się przez front wszyscy byli skupieni. Widziałam, jak wielu kolegów wyjmowało książeczki do nabożeństwa i modliło się. Być może czuli, że ta noc jest dla nich ostatnia, że rankiem zginą.

Następnego dnia kolumny wyruszyły w absolutnej ciszy w stronę Prypeci. Żołnierze mówili szeptem i szli uważnie, by nie wywołać żadnego hałasu. Przed Prypecią okazało się, że w pewnym miejscu las, który dawał nam schronienie, kończy się i aby dojść do rzeki, trzeba było pokonać łąkę, pociętą rowami melioracyjnymi i zasieki z drutu kolczastego. Następnie należało odszukać kładkę, która według przewodnika miała spinać oba brzegi. Wyszliśmy jednak w niewłaściwym miejscu. Wcześniej jeszcze żołnierze, którzy szli w czołówce, czyli ludzie „Zająca” mieli od tyłu zaatakować pozycje niemieckie i je zlikwidować. Uderzyli jednak w próżnię. Niemców w okopach ani w ziemno-drewnianych umocnieniach nie było. Chłopcy zastali w nich tylko telefony polowe, skrzynki z amunicją, puszki po konserwach itp. Niemcy zorientowali się, że od tyłu zbliża się do nich kolumna licząca kilkaset ludzi i najzwyczajniej uciekli. Żołnierze minęli niemieckie umocnienia polowe i wyszli na łąkę i biegiem rzucili się w stronę rzeki. Ci pierwsi, nie wiem, jakim sposobem, bo nie wiem, czy dysponowali sprzętem, przystąpili do torowania drogi przez zasieki. Miały one kształt rozciągniętych spirali między słupami, które bardzo trudno było przejść. Nie wiem, jak

chłopaki utorowali przez nie drogi, ale gdy ja przez nie przechodziłam, można było to zrobić bez większych przeszkód.

Oczywiście, gdy żołnierze „Zająca" znaleźli się na łące, Niemcy rozpoczęli kanonadę, zasypując łąkę gradem kul z broni maszynowej. Po chwili dołączyła do niej niemiecka artyleria. Sowieci, widząc ruch na sowim przedpolu, też otworzyli w naszym kierunku ogień z karabinów maszynowych. Rozpętało się prawdziwe piekło. Zdawało się, że zostaniemy wystrzelani przez Niemców i Sowietów. Na szczęście Rosjanie połapali się w sytuacji, czy ktoś zdołał przepłynąć rzekę i ich poinformować, w każdym razie wstrzymywali ogień na nas. Ich artyleria zaczęła walić niemieckie pozycje, trochę nas osłaniając.

By dostać się na drugą stronę rzeki, trzeba było albo ją przepłynąć, albo dojść do kładki. Na brzegu powstał ogromny bałagan. Żołnierze rozbiegli się wzdłuż brzegu. Jedni w jedną, drudzy w drugą stronę. Zgubiłam się z Lodzią Kucabówną, którą straciłam z oczu. Ja pobiegłam w jedną stronę, a ona w drugą. Nie umiałam pływać, ruszyłam więc w stronę kładki. Widziałam, jak niektórzy żołnierze wskakiwali do wody w ubraniu, inni je zdejmowali, licząc, że bez niego łatwiej im będzie przepłynąć na drugą stronę. Wielu z tych, co się na to zdecydowali, ginęli jednak w nurcie rzeki. Posuwając się brzegiem rzeki, spotkałem Kazika Sotwińskiego. Zapytałem go, czy mógłby mi pomóc przebyć rzekę, ale on odpowiedział, że słabo pływa. W tym czasie wzmogła się strzelanina z broni maszynowej. Uznałam, że lepiej będzie jak najszybciej pobiec dalej od miejsca zbyt zagęszczonego, gdzie większość żołnierzy gromadziła się, żeby zorganizować przeprawę przez rzekę. Wysunęłam się zupełnie do przodu tak, że oddaliłam się od reszty kolegów o kilkadziesiąt kroków. Przede mną biegł Heniu Wesołek, mój kolega szkolny, a kilkadziesiąt metrów przed nim biegł inny żołnierz, który widział kładkę. Podążyłam za nimi, choć przez chwilę myślałam, czy nie

lepiej wejść, aby się utopić, by nie zostać ranną. Rannymi nikt się bowiem nie zajmował. Padali i jęczeli z bólu.

Gdy myślałam o samobójstwie w nurtach Prypeci, przypomniałam sobie, że czeka na mnie rodzina, która modli się za mnie. Żywo stanął mi w pamięci czas, gdy byłam na Wielkanoc u rodziców na przepustce w Bielinie. Moja mała siostra Halinka modliła się, „aby Wacia zdrowa do nas wróciła". Jako jedna z pierwszych przeszłam kładkę. Za nią znajdowała się jeszcze jedna odnoga Prypeci. Za nią łąka, na której zauważyłam druty. Domyśliłam się, że mogą to być miny. Poruszając się do przodu, starałam się drutów nie dotykać. Za łąką było zaorane pole. Gdy do niego dobiegłam, obok mnie eksplodował pocisk wystrzelony z działa po niemieckiej stronie. Jego podmuch przewrócił mnie. Zostałam zasypana ziemią i odłamkami. Leżałam chwilę, spróbowałam się poruszać, nic mnie nie bolało, więc wstałam i pobiegłam do okopów rosyjskich. Tam okazało się, że jestem ranna. Cała moja lewa noga była zakrwawiona. Na szczęście okazało się, że moje rany nie były groźne. Sanitariusz sowiecki założył mi opatrunek. Mogłam się z innymi kolegami ogrzać w sowieckiej ziemiance.

Wszyscy musieli zdać broń. Ja swojej nie zdawałam. Rzuciłam na kupę moją torbę, w której był pistolet z trzema nabojami, z którego, jak już mówiłam, nigdy nie wystrzeliłam. Następnie zarządzono zbiórkę i policzono żołnierzy. Okazało się, ze brakuje około 240 osób. Zginęło około 30 proc. żołnierzy kolumny kpt. „Gardy". Dowódca „Krwawej Łuny", „Ćwik", choć ranny, przedostał się na drugi brzeg. Poległo kilku oficerów. Zaginął też sam kpt. „Garda". Niektórzy twierdzili, że zginął, nie przeszedłszy Prypeci. Inni, że widzieli go już na sowieckim brzegu. Bardzo prawdopodobne jest, że choć formalnie „Garda" uznany został za zaginionego, to zginął w więzieniu NKWD.

Następnego dnia przez Maniewicze przewieziono nas do Kiwerc, gdzie w pobliżu tamtejszej stacji kolejowej był urządzony obóz,

złożony z kilkunastu ziemianek i strzeżony przez żołnierzy regularnego Wojska Polskiego gen. Berlinga. Dostałyśmy nowe umundurowanie. Zakwaterowano nas w jednej z ziemianek i przemundurowano. Wszystkie dziewczyny, w ramach walki z wszawicą, musiały skrócić włosy. Specjalnych ćwiczeń jakoś nam tam nie robiono. Przydzielono nam różne zajęcia. Ja trafiłam do domu, w którym mieszkał jakiś oficer, chyba porucznik z żoną. Moim zadaniem było gotowanie im obiadów. Kucharką specjalną nie byłam i nową funkcją się nie zachwycałam. Kazali mi gotować jakiś fabryczny makaron w paczkach, który Sowieci dostawali pewnie w ramach amerykańskiej pomocy, którego nie potrafiłam gotować. Nie wiedziałam, czy trzeba wrzucać do zimnej, czy gorącej wody. Sama się tego uczyłam. Żona tego oficera niewiele mi mogła pomóc, bo pracowała w biurze. Ten oficer nie był oczywiście typowym polskim oficerem. Miał polskie pochodzenie, ale został oddelegowany z Armii Czerwonej.

W czasie wolnym robiono nam szkolenia polityczne. Miały one formę pogadanek. Podczas nich starano się nas przekonać do nowej rzeczywistości. Jakoś specjalnie nas nie indoktrynowano. Większej obróbce poddawano oficerów. Trzymali nas tam chyba z miesiąc, po czym zostaliśmy wcieleni do różnych jednostek I Armii Wojska Polskiego. Mnie i trzy koleżanki przydzielono do batalionu kobiecego. Była to Laskownicka, Dębska, które już nie żyją, ja i taka Lodzia, której nazwiska niestety nie pamiętam. Dowództwo Armii Berlinga nie miało do żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty zaufania i nie zdecydowało się na sformowanie z nich jednolitej jednostki, tylko rozparcelowano po różnych jednostkach. Formalnie batalion nosił nazwę I Batalionu Kobiecego im. Emilii Plater. Należał on do I Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki i nie był jednostką pomocniczą, tylko frontową.

W Kiwercach, gdy wcielono nas do tej jednostki, pełniłyśmy służbę wartowniczą przy magazynach. Gdy front poszedł do przodu, my ruszyliśmy przez Lublin pod Dęblin, gdzie stanęliśmy w miejscowości Krzywda. Tu wraz z dwoma koleżankami, Dębską i Lodzią, zostałyśmy zwolnione do cywila z powodów zdrowotnych. Miałam czyraki na całym ciele, kłopoty z żołądkiem i nie nadawałam się do służby. Do cywila, jak pamiętam, przeszłam 14 września 1944 r. Zaraz ze zwolnionymi koleżankami pojechałyśmy do Lublina, gdzie zostałyśmy przez kilka dni. Ktoś nas przenocował i jakoś przetrwałyśmy ten pierwszy okres.

Później zaczęłam szukać rodziny. Okazało się, że jak front się zbliżał, to ona przez Uściług przedostała się na Lubelszczyznę. Moi rodzice z rodzeństwem jechali na jednej furmance z węzełkami, w których mieli resztę jakichś rzeczy i prowadzili za nią krowę. Reszta krewnych jechała na drugiej furmance i też prowadziła za nią swoją krowę. Na moście Niemcy nie chcieli ich przepuścić. By pokonać ich opór, musieli oddać im jedną krowę. Dotarli do Świtańca koło Zamościa, gdzie się zatrzymali. Trzymali się razem, bo siostra mamy miała małe dziecko i musieli dzielić się mlekiem. Ja z Lublina pojechałam do miejscowości koło Krasnegostawu, której nazwy już nie pamiętam, gdzie mieszkał brat ojca, a mój chrzestny. Rodzice dali mu znać, gdzie są i on wskazał mi do nich drogę.

Z rodzicami mieszkałam do lata przyszłego roku. Wtedy to wyjechaliśmy na Ziemie Zachodnie. Początkowo osiedliliśmy się w okolicach Unisławia, gdzie na zabawie wiejskiej poznałam przyszłego męża. Pod tym Unisławiem za długo nie mieszkaliśmy. Z różnych względów przeprowadziliśmy się najpierw do Lęborka, a później do Nowej Soli. Tu mąż pracował w stoczni rzecznej.

W 1970 r. przeprowadziliśmy się do Bydgoszczy. Mój mąż niestety zmarł wcześnie. Nie dożył sześćdziesiątego roku życia. Ja całe życie praktycznie chorowałam. Po nim dostałam rentę rodzinną. Od 40 lat

jestem wdową. Na Wołyniu byłam tylko we Włodzimierzu. W stronach rodzinnych i Bielinie nigdy. Z Wołyniakami utrzymuję głównie kontakt telefoniczny. Z 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty w Bydgoszczy mieszkam tylko ja. Wiem, że swoje przeżyłam, więc nie narzekam. Do Ukraińców jako narodu nie mam pretensji. Nas mordowały bandy ukraińskie, a nie Ukraińcy. W każdym narodzie znajdą się zwyrodnialcy. Nie podoba mi się tylko sposób budowania naszych stosunków z Ukrainą. Budujemy je bowiem na piasku, a to nie wróży nic dobrego.

Tadeusz Wolak

Kapelan Przebraża

— Księdza Stanisława Szczyptę poznałem w 1943 r., kiedy w związku z zagrożeniem ze strony Ukraińców przeniosłem się z Taraża do Przebraża — wspomina Tadeusz Wolak. — Mieszkał on w domu mojej ciotki, Izabelli Galowej. On także w niej miał kwaterę. Widywaliśmy się praktycznie codziennie. Nie był on rodowitym Wołyniakiem. Urodził się w jakiejś wsi koło Zakopanego w 1914 r. O ile dobrze pamiętam, było to Stare Bystre. Do seminarium duchownego wstąpił w Łucku, które ukończył tuż przed wybuchem wojny. Wyświęcony został w czerwcu 1939 r. Biskup Szelążek mianował go administratorem parafii Jezioro, która swym zasięgiem obejmowała także Przebraże.

Mimo iż miał on krótki staż kapłański i był młody wiekiem, szybko zdobył autorytet wśród wiernych. Wszedł on do ścisłego kierownictwa samoobrony Przebraża. Stanął na czele Służby Duszpasterstwa, był członkiem Sądu Ludowego i Przewodniczącym Komitetu Pomocy dla Osób Pozbawionych Środków do Życia. Zapamiętałem go jako człowieka bardzo serdecznego, przystępnego. Wszyscy liczyli się z jego zdaniem. Nie zajmował się oczywiście sprawami wojskowymi, ale cywilnymi. Organizował pomoc dla potrzebujących, podtrzymywał w wierze wątpiących, wlewał w serca ludzi nadzieję. Było to bardzo ważne, bo wielu ludzi, którzy cudem uszli przed banderowskimi nożami, zaczęło wątpić w istnienie Boga i nie wierzyli, że przetrwają w Przebrażu.

Ksiądz Szczypta starał się zawsze panować nad objawami paniki, która w tych warunkach mogła być bardzo groźna. Wykonywał też, rzecz jasna, obowiązki duszpasterskie. Prowadził pogrzeby wszystkich pomordowanych przez Ukraińców, a także poległych w walce obrońców Przebraża. Uspokajał gorące głowy, żądające natychmiastowego odwetu i dokonania wypadku na Ukraińców. Był także, o czym wspomniałem, członkiem Sądu Ludowego, w którym oprócz niego zasiadali jeszcze Marian Sinicki i kierownik szkoły Stanisław Bochniewicz. Nie pamiętam, kto był przewodniczącym sądu. Być może, że właśnie ksiądz Szczypta, ale tego nie jestem pewien. Wie, że w trakcie posiedzeń sądu działał w sposób bardzo rozważny i ludzki. Do sądu trafiały bowiem najcięższe sprawy, typowe dla sądów doraźnych. Wyroki, jakie w nim zapadały, były dwojakiego rodzaju: uniewinnienie albo śmierć przez rozstrzelanie. Pamiętam, że sąd wydał dwa wyroki śmierci. Jeden zapadł na dwóch cwaniaczków z Kiwerc, pospolitych złodziei, którzy, podszywając się pod służby kwatermistrzowskie samoobrony Przebraża, grabili Ukraińców ze wsi Jezioro. Ich działalność była dla nas niesłychanie groźna.

Dowództwo Przebraża starało się bowiem utrzymać poprawne stosunki ze wszystkimi okolicznymi ukraińskimi wsiami. Z Jeziorem łączyły nas stosunki bardzo dobre. Tamtejsza ludność nie była bowiem ogarnięta nacjonalistycznym amokiem i nie współpracowała z UPA. Złodzieje przyjeżdżający z Kiwerc rabowali w nim przede wszystkim bydło, które w lesie bili, patroszyli, a mięso wywozili na nielegalny handel do Kiwerc i Łucka. Proceder ten trwał bardzo długo, dopóki chłopi z Jeziora przysłali delegację do Przebraża ze skargą, że ludzie stamtąd przychodzą nocą i grożąc bronią, uprowadzają z obór bydło. Zarządzono dochodzenie i szybko złapano tych cwaniaczków. Okazało się, że chcieli założyć w Przebrażu podziemie gospodarcze i sprzedawać część kradzionego mięsa

wygłodniałym mieszkańcom Przebraża. Cóż, takie hieny zdarzają się wszędzie. Znaleziono przy nich mięso i słoninę z kradzionej świni, które stanowiło dla sądu koronny dowód. Ten zbadał sprawę wnikliwie i skazał oskarżonych na karę śmierci. Wyrok wykonano.

Drugi raz Sąd Ludowy z udziałem ks. Szczypty zebrał się, gdy w Przebrażu wykryto agentów gestapo. O ich przybyciu dowiedzieliśmy się z łuckiej AK. Byli to małżonkowie, szukający niby w Przebrażu schronienia. Poddano ich dyskretnej obserwacji, która całkowicie potwierdziła meldunek, który otrzymaliśmy od AK z Łucka. Po jakimś czasie dokonano rewizji na kwaterze tego małżeństwa i znaleziono notatki, w których opisany został bardzo dokładnie system obrony Przebraża. Został zwołany sąd, który skazał małżeństwo na rozstrzelanie. Byli to bardzo inteligentni i nieźle przygotowani szpiedzy — o ile dobrze pamiętam, nauczyciele pochodzący z Włodzimierza Wołyńskiego czy gdzieś spod tego miasta. Niemcy najpierw przerzucili ich do Kiwerc, następnie oni sami, podszywając się pod uciekinierów, przyjechali do Przebraża.

Te dwie sprawy, rozpatrywane przez Sąd Ludowy, były bardzo głośne. Ksiądz Szczypta w Przebrażu posługiwał do momentu wkroczenia wojsk sowieckich. Gdy mężczyzn z Przebraża mobilizowano do Wojska Polskiego, został on wezwany przez bpa Adolfa Szelążka i wysłany na tereny diecezji żytomierskiej, leżącej już za przedwojenną granicą polską. Osiadł w Żytomierzu i posługiwał przy tzw. kościele seminaryjnym, czyli dawnym franciszkańskim, odzyskanym przez wiernych w 1942 r. Pamiętam, że w Żytomierzu spotkali go jeszcze przebrażanie, którzy, zmobilizowani do Armii Berlinga, jechali na front z Sum przez Żytomierz i jakiś czas w nim stacjonowali. Był on wtedy kapłanem bardzo zajętym. Z ogromnym poświęceniem pracował wśród tutejszej polskiej ludności na rzecz odrodzenia wiary katolickiej na sowieckiej części Wołynia, która w wyniku Traktatu Ryskiego pozostała poza granicami

Rzeczypospolitej. Udzielał on przede wszystkim sakramentów, czyli chrzcił dzieci, spowiadał, udzielał ślubów itp. Docierał do skupisk ludności polskiej, rozrzuconych po całej Żytomierszczyźnie. Dowiedziałem się o tym stosunkowo niedawno, gdy odnalazła się moja rodzina mieszkająca koło Baranówki, na terenie dawnej polskiej autonomii na Ukrainie, zwanej „Marchlewszczyzną".

Jak ustalił ks. prof. Roman Dzwonkowski, ks. Stanisław Szczypta został oskarżony przez NKWD, że „na polecenie agenta Watykanu, biskupa Adolfa Szelążka, przybył na teren obwodu żytomierskiego dla szerzenia wpływów Watykanu na obywateli Związku Radzieckiego. W tym celu odprawiał nabożeństwa w kościołach, kaplicach i w domach. Dokonywał masowych chrztów dorosłych i dzieci, udzielał ślubów sowieckim obywatelom, żyjącym już od lat w małżeństwie. Jeździł po wioskach obwodu żytomierskiego, organizował katolickie wspólnoty i otwierał nieczynne kościoły. Zgodnie z antysowiecką polityką Watykanu Szczypta usiłował przeciągnąć na stronę rzymskokatolickiej religii obywateli Związku Radzieckiego i w tym celu prowadził aktywną działalność rozpowszechniania literatury katolickiej wśród ludności. Wypełniając polecenia Szelążka, Szczypta zbierał polityczno-ekonomiczne dane na terytorium sowieckim na temat ilości katolików, o ich nastawieniu politycznym, liczbie kościołów, kaplic i ich stanie, które przekazywał Bronisławowi Drzepeckiemu w celu ich przekazania papieżowi rzymskiemu Piusowi XII".

Sowieckie służby nie zapomniały także o działalności ks. Szczypty w samoobronie Przebraża. Do zarzutów na gruncie kościelno-religijnym dopisały mu też działalność na gruncie patriotycznym. Oskarżono go, że brał udział w samoobronie w Przebrażu jako członek PZP–AK, prowadził aktywną antysowiecką i nacjonalistyczną działalność dla odbudowy Polski w granicach z 1939 r. Otrzymał wyrok 10 lat łagru, który odsiedział praktycznie w całości

w „Krasłagu” w Kraju Krasnojarskim. Dzięki staraniom wiernych mógł wrócić na Żytomierszczyznę i otrzymał rejestrację w parafii Słobódka koło Żytomierza.

Po roku pozwolono mu objąć stanowisko proboszcza w katedrze żytomierskiej. Z ogromnym heroizmem pełnił swą posługę przez kilkadziesiąt lat, „obsługując” cały region. Rodzina z Polski chciała go ściągnąć do kraju, ale on nie wyraził na to zgody. W latach siedemdziesiątych odwiedził matkę w Krakowie i wrócił do Żytomierza. Zmarł w 1984 r.

Bogusław Rosiński

„Pisze Stalin do Hitlera”

Przygoda z konspiracją Bogusława Rosińskiego, żołnierza IV kompanii samoobrony w Przebrażu i placówki w Jaźwinach zaczęła się jesienią 1941 r. Wtedy w tej liczącej zaledwie 10 gospodarstw kolonii Jaźwiny, utopionej wśród lasów, bagien i mokradeł w pobliżu Przebraża zjawili się niespodziewani goście.

— Pewnego jesiennego wieczoru 1941 r. zapukał ktoś do drzwi naszego domu i weszło 7 uzbrojonych ludzi, którzy łamaną polszczyzną pozdrowili gospodynię — wspomina Bogusław Rosiński. — Na głowach mieli berety, a spod lekkich płaszczy wystawały im zielone bluzy. Poprosili o wodę. Przerażona matka zaproponowała im mleko. Nie odmówili. Gdy mama zaczęła im je nalewać, przed frontowymi drzwiami domu ktoś zaczął wycierać nogi. To mój ojciec Telesfor wracał z obrządku inwentarza. Zerwali się z ławy na równe nogi, kierując w stronę drzwi broń, którą wydobyli spod płaszczy. Trwało to sekundy, bo ojciec zaraz stanął na progu. To rozładowało napięcie. Jeden z przybyszów, pewnie dowódca, zwrócił się do ojca

— Wot i chaziain! Chcemy z wami gospodarzu pogadać! Możecie nam powiedzieć, gdzie w okolicy znajdują się niemieckie posterunki?

Ojciec mój Telesfor przestępował z nogi na nogę i nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie miał pojęcia, z kim ma do czynienia. Ich dowódca łamaną polszczyzną powiedział ojcu, żeby się nie bał i wyjął mapę. Nasz pies Burek gwałtownie zaczął ujadać, a ja przez okno zobaczyłem na podwórku jakiś cień. Naszych gości to nie

zaniepokoiło. Zostawili po prostu na zewnątrz wartownika. Gdy zbierali się do wyjścia, ojciec zapytał ich, skąd są. Ich dowódca odpowiedział, że z daleka. Podziękował matce, prosząc, by nie mówiła nikomu, a ojca poprosił, by wyszedł z nimi. Matka bała się o jego los. On jednak szybko wrócił. Podniecony oświadczył:

— Już się zaczęło!

— Kim byli ci ludzie? — zapytała matka.

Ojciec nie odpowiedział. Zaznaczył tylko, że będą teraz nas częściej odwiedzać! Byli to, jak się później dowiedzieliśmy, radzieccy zwiadowcy, którzy zostali zrzuceni na spadochronach, by rozpoznać tutejsze warunki i zainicjować ruch partyzancki.

Niedługo potem w okolicach naszej niewielkiej mieściny w lesie zaczęło się coś dziać. Tworzył się sowiecki ruch oporu, z którym wszyscy mieszkańcy Jaźwin i innych kolonii sympatyzowali. Uważali, że znajdą w nim obrońcę przed Niemcami i Ukraińcami, którzy na naszym terenie ich reprezentowali. W 1942 r. w okolicach Jaźwin kierowało się już sporo sowieckich patroli. Zapuszczały się do naszej kolonii, traktując ją jak bazę zaopatrzeniową. Gospodynie nocami wypiekały chleb, kowal klepał okucia do siodeł i podkuwał konie, rusznikarz naprawiał broń i dorabiał części. Kolonia zamieniła się w rodzaj zbrojeniowej manufaktury. Ludzie, nie bacząc na niebezpieczeństwo, pomagali partyzantom sowieckim, sądząc, że ci będą ich bronić przed Niemcami i Ukraińcami, którzy już w czasach sowieckich pokazali, co potrafią. Policja ukraińska stale oczywiście węszyła, starając się ustalić, co dzieje się na naszym terenie. Jej członkowie mieli na nim swoje rodziny i wykorzystywali je jako swoich informatorów.

Któryś z nich musiał złożyć donos na mojego ojca. Pewnego dnia na podwórku zaszczekał pies, a za chwilę zaczął strasznie skowytać. Ktoś z „gości” wchodzących na podwórko kopnął go albo uderzył kolbą. Nikt z nas nie spodziewał się oczywiście niczyich odwiedzin.

Matka wyjrzała na zewnątrz. Zdążyła powiedzieć tylko: „O, Jezu! Schutzmanni!”. Po chwili kilku ukraińskich policjantów weszło do środka domu. Wszyscy musieliśmy stanąć twarzą do ściany. Policjanci zaczęli przeszukiwać dom. Po chwili jeden z nich z triumfem oświadczył: „Jest!” i zaczął wyciągać z kufra radziecki spadochron. Ojciec usiłował tłumaczyć, że znalazł go na polu. Policjant w ogóle z nim nie rozmawiał.

— Nyczoho, nyczoho, tam rozberemo.

Oznaczało to, że ojca zabierają ze sobą do Kiwerc na posterunek. Wraz z nim ukraińscy policjanci pogonili jeszcze kilku mężczyzn z Jaźwin. Jakiś ukraiński szpicel ich sprzedał. Jak nam później opowiadał ojciec, pierwsze ich przesłuchanie odbyło się już w Kiwercach, gdzie ich porządnie skatowano. Stąd przywieziono ich do więzienia powiatowego w Łucku, z którego mało kto wracał żywy. Umieszczenie w nim było w zasadzie równoznaczne z wyrokiem śmierci. Więźniów, jak opowiadał ojciec, przesłuchiwano głównie nocą. Zadawano im krótkie pytania i bito. W celach panował tłok trudny do opisania. Więźniowie w celach siedzieli różni. Niektórzy z nich, dzieląc wspólne cierpienie, okazywali serca słabszym, starając się ich pocieszać, wlać w nich nadzieję. Byli jednak i tacy, którym było obojętne, gdzie przebywają i komu służą.

Ojcu najbardziej utkwił w pamięci karłowaty Ukrainiec, który siał w celi postrach. Jego prycza była wypchana różnymi przedmiotami, które skradł innym więźniom. Był to zawodowy złodziej i nożownik, dla którego zabicie człowieka nie stanowiło żadnego problemu. Nawet najsilniejsi woleli się z nim nie zadawać. Niektórzy więźniowie sądzili, że celowo został wsadzony przez Niemców do celi, by siać w niej zamęt wśród więźniów. Kiedyś przyznał się ojcu, że pomagał Niemcom i pod ich komendą zabił sześćdziesięciu Żydów! Niemcy aresztowali go, bo obrabował ich magazyn. Któregoś dnia do celi weszło dwóch żandarmów i powiedziało krótko: „Bońkowski!” — tak

właśnie nazywał się ten Ukrainiec. Wiedział, że idzie na śmierć! Pożegnał wszystkich, a ojcu na końcu wręczył papierośnicę.

— To na pamiątkę, jeśli przeżyjesz!

Ojciec przeżył, był jeszcze przesłuchiwany przez wiele dni! Jak mi opowiadał, przesłuchania trwały całymi dniami i nocami, zawsze kończyły się jednakowo. Kiedy ojciec na kolejne pytania odpowiedział przecząco, zza biurka wstawał wysoki, szczupły esesman, zbliżał się z uśmiechem na ustach do ojca i walił go nahajem w głowę i plecy. Efekt przesłuchań był taki, że ubranie ojca stało się sztywne od krwi. W podobny sposób przesłuchiwano także i współtowarzyszy ojca: Franciszka Wolaka i Franciszka Ludwikowskiego, ówczesnego sołtysa Przebraża i wszystkich sąsiadujących z nim kolonii.

Ojciec w więzieniu w Łucku wraz z dwoma sąsiadami spędził cały miesiąc. Uszli oni z życiem dzięki Stanisławowi Świtelowi. Znał on język niemiecki i skłonił żandarmów, aby ci, za znaczną łapówkę, wpisali więźniów na listę rozstrzelanych. Tak też się stało. Wypuszczeni z więzienia, zostali cichcem przetransportowani do rodzinnych kolonii. Więcej się ich ukraińscy schutzmanni nie czepiali. W końcu 1942 r., jak pamiętam, ukraińscy policjanci, gdy tylko odwiedzali nasze strony, mówili między sobą: „Ile trzeba będzie beczek soli na mieszkańców Przebraża, Chołopin i Jaźwin?”. Nie bardzo to wtedy rozumieliśmy. Tylko starsi sugerowali, ze Ukraińcy chcą nas wszystkich porąbać, umieścić w beczkach i nasolić. Sól, jak i pozostałe podstawowe artykuły żywnościowe, takie jak cukier i nafta, były dla większości Polaków całkowicie niedostępne. Za przyłapanie z naftą groziła kara śmierci.

Terror wzmagał się z dnia na dzień. Nie pozostało nic innego, jak za wszelką cenę zdobyć broń, by przynajmniej tanio życia nie sprzedać. Było to jednak zadanie trudne i niebezpieczne. Ale i w tych czasach nie brak było jaśniejszych chwil. Pamiętam, jak pewnego

razu na dworzec w Kiwercach wjechał pociąg, wiozący mienie z terenów Zawiązku Radzieckiego. Jakież było zdumienie przechodniów, kiedy na boku jednego z wagonów ujrzeli duży napis:

Pisze Stalin do Hitlera
Będzie Polska jak cholera.

Latem 1942 r., podczas penetrowania przez policję ukraińską okolicznych lasów, zatrzymano pod zarzutem posiadania broni mojego brata Gabriela oraz mojego kuzyna Mirosława Łozińskiego. U niego w domu na strychu istotnie była przechowywana broń. Chłopcy szli do domu Łozińskich z podniesionym czołem, twardo twierdząc, że nie posiadali broni. Schutzmannów, jak mi opowiadał brat, zdezorientowała ich postawa. Niektórzy zaczęli mówić, że idą do Łozińskich na darmo, bo tam na pewno broni nie znajdą. Brat Mirosława, Mikołaj, a mój kuzyn, widząc schutzmannów, zamierzał chwycić karabin i uciec z nim w pobliskie zarośla i ostrzeliwać się, ale nie zdążył. Uderzony kilkakrotnie kolbą pistoletu w głowę, padł jak długi. Sytuację opanowała moja ciocia, a matka Mirosława, która powiedziała, że w domu nie ma żadnej broni, a jak schutzmanni chcą szukać, to niech zrewidują dom. Jeden z schutzmannów, pewnie ich dowódca, oświadczył:

— Oni Ne durny joho w domu derżaty.

— Zabrali Mirosława i Gabriela i poprowadzili do lasu. Dla wszystkich stało się jasne, że idą ich rozwalić! W głębi lasu, jak wspominał Gabriel, policjanci zaczęli przesłuchiwać ich jeszcze raz. Wkładali głowy chłopaków w widlaste gałęzie drzew i bili. Odprowadzali ich też pojedynczo na stronę, obiecywali zwolnienie i mówili:

— Przyznaj się, bo tamten mówił, że to ty właśnie masz karabin.

Chłopcy czuli spływającą po twarzy i plecach krew, ale trzymali się mocno! Ukraińcy, widząc opór chłopców, wściekali się coraz bardziej.

— Sikorski wam nie pomoże! — krzyczeli.

Jeden młodszy wiekiem schutzmann, widząc zmasakrowane twarze i ciała chłopców, przygotowując kije do bicia, wyszukiwał co słabsze, które łatwiej łamały się na grzbietach. Komendant schutzmannów, który to zauważył, ostro go wyzywał, a pozostałym rozkazał wyszukiwać grube kije. Chłopcom zaś kazał kopać rękami grób pod wykrotem sosny. Gdy ci wygrzebali dół, kazali im do niego wejść i odwrócić głowy. Chłopcy nie wykonali jednak polecenia i śmiało patrzyli im w oczy.

— Chaj dywlatsja Lachy, jak budem strylaty.

W międzyczasie pozostali zaczęli zasypywać ich piaskiem. Kiedy na wierzchu pozostały tylko ich głowy, schutzmanni odbezpieczyli broń i zadali pytanie:

— Pryznajetes, czy nie?

Chłopcy dalej milczeli. Schutzmanni jednak nie wystrzelili. Usłyszeli w zaroślach jakieś głosy i odeszli. Bali się po prostu, że strzałami ściągną sobie na kark partyzantów. Chłopcy przeżyli.

Nie wszyscy jednak mieli tyle szczęścia. W sąsiedniej wsi, Hermanówce, schutzmanni wyciągnęli z domu młodego chłopaka, Józefa Zaliwskiego. Miał on im tylko pokazać drogę i nigdy już do domu nie wrócił. Po jakimś czasie znaleziono w lesie zwłoki, w których rozpoznano uprowadzonego. Były tak zmasakrowane, że zidentyfikowano go po resztkach odzieży.

Latem 1942 r. ukraińscy schutzmanni pod nadzorem Niemców wymordowali Żydów z Zofiówki, zwanych przez nich Trochenbradem. Najpierw Żydów zapędzono do getta i z niego wywożono ich w dwustuosobowych grupach do lasów koło Boremla, odległych o 3 km i tu ich rozstrzeliwano nad dołami, które wcześniej wykopali. Większość Żydów, na czele z rabinem, poddali się oprawcom, nie

stawiając oporu. Rozebrali się do naga i na skraju dołu czekali na kule. W sumie ukraińscy policjanci w lasach jaromelskich zamordowali około cztery i pół tysiąca Żydów. Nie wszyscy dali się jednak prowadzić na rzeź jak barany. Część zdołała uciec i tułała się po okolicy.

Wycieńczeni głodem i chorobami Żydzi zaczęli nawiedzać polskie gospodarstwa. Nie wychodzili z nich nigdy z pustymi rękami. Takie gospodynie, jak Józefa Łozińska, Magdalena Suchodolska, Franciszka Rosińska i inne stale wspomagały tych nieszczęśliwych ludzi. Stanisław Świtał wziął na wychowanie żydowską dziewczynkę, nadając jej na imię Wiesława, a na nazwisko Woźnicka. Nauczyli ją jednocześnie pacierza. Pamiętam, że po raz pierwszy zobaczyłem ją na Boże Narodzenie w 1942 r. Tańczyła wokół choinki i śpiewała skoczne kolędy. Wspominając swoje dzieciństwo, w pewnym momencie zapytałem:

— Jak się nazywasz?

— Jestem Wiesława Woźnicka — odpowiedziała rezolutnie. Zaraz też dodała, że mieszka u cioci i wujka, bo jej rodzice zginęli podczas bombardowania.

Świtalowie kochali ją jak rodzone dziecko, tym bardziej, że własnych dzieci nie mieli. Dziewczynka byłą naprawdę piękna i Świtalowie stale drżeli o jej i swój los. Za ukrywanie Żydów groziła przecież kara śmierci. W ciągłej obawie żyli też Tadeusz Oliwa, jego siostra Józefa, Piotr Ludwikowski, Alojzy Ludwikowski, Dionizy Łoziński, Aleksander Rosiński i Mikołaj Bednarski, którzy zamieszkiwali bezpośrednio w pobliżu lasu, w którym ukrywała się grupa Żydów, którą stale wspomagali. Wszyscy starali się maksymalnie zachowywać środki ostrożności. Nawet dzieciom rodzice nie mówili, kim są ludzie, którzy nocami po zmroku zachodzili do ich chat. Sam pamiętam wypadek, który na zawsze utkwił mi w pamięci.

Pewnego razu późnym wieczorem wszedłem do swojego domu i ku swemu zdziwieniu ujrzałem młodą dziewczynę mdlejącą na podłogę. Ubrana w łachmany, patrzyła na mnie nieufnym wzrokiem. Przy niej przykucnęła moja matka i skrapiała jej twarz wodą. Była to młoda Żydówka, Kiejła Bulman, córka Awruna, samotnie ukrywająca się w lesie. Była głodna i schorowana. Gdy odzyskała przytomność, matka ją ogarnęła, nakarmiła i dała chleba na drogę, wskazując jednocześnie miejsce, w którym ukrywają się Żydzi. Ta wkrótce do nich dołączyła. Kiejła kilkakrotnie odwiedzała nasz dom, ale później przestała przychodzić. Wkrótce dotarła do nas wiadomość, że zmarła w leśnym bunkrze na zapalenie płuc. Moja matka mocno przeżyła tę wiadomość. Po pewnym czasie późnym wieczorem znów ktoś zapukał do drzwi. Ojciec zapytał:

— Kto tam?

Głos zza drzwi odpowiedział:

— Przyjacielu, otwórz, to ja Jośko.

Do izby weszło dwóch mężczyzn. Byli to Josef Bulmasz i jego syn Uszer. Odstawili karabiny, które otrzymali od Dionizego Łozińskiego i grzejąc się, cicho rozmawiali.

— Jak to dobrze tym, co są już w spokoju, albo tym, co mają ciche noce i chleb — powiedział Jośko. — A my nędzni tułacze. I was to czeka. Nie żal mi umierać, chciałbym jednak wiedzieć, czy dobry Bóg pozwoli, aby na świecie istniało takie barbarzyńskie prawo zabijania ludzi — dodał, ciągnąc dalej: — Mam ze sobą aniołka, jedyne dziecko, z którym uszedłem zagłady. Chciałbym przeżyć dla niego. Powiedz Telesfor, bracie — mówił do ojca — co będzie?

— Przyjacielu! — rzekł ojciec. — Jesteśmy na jednej drodze, będziemy dzielić wspólny los. Bądźcie cierpliwi i trwajcie. Ze świata przychodzą dobre wieści. Słyszałem w komunikacie radiowym u Świtala. Wszystko się odwróci, przyjdzie wolność.

— Oby Bóg dał – powiedział Uszer.

Zanim wyszli, matka nasypała im do torby kaszy, zapakowała ziemniaki oraz włożyła bochenek razowca. Przychodzili do nas jeszcze wiele razy, zanim zginęli od granatów ukraińskich policjantów, którzy odnaleźli ich bunkier w lesie.

„Wsi pijdemo na Lachiw”

— Po rozprawieniu się z Żydami policjanci ukraińscy niedwuznacznie dawali Polakom do zrozumienia, że teraz kolej na nich — wspomina Bogusław Rosiński. — W ciche ciepłe wieczory, kiedy się dobrze wsłuchało, można było uchwycić uchem z sąsiednich wsi ukraińskich piosenki, a wśród nich przyśpiewkę:

Po wsim świti stało zwisno.
Szczo żydowskie koło trysło,
A Teper kto tylki żyw
Wsi pij demo na Lachiw.

Wczesną wiosną 1943 r. w lasach ćwiczyły już oddziały „rezunów”. Wkrótce zaczęły się pierwsze mordy Polaków. Na powracających z kościoła mieszkańców wsi Dobra napadnięto i w bestialski sposób zamordowano 13 osób. Oprawcy podziurawili swoje ofiary sztyletami, a kobietom obcięli piersi. Wkrótce upowcy zamordowali kolejnych Polaków. Urządzili zasadzkę na mieszkańców Przebraża, którzy udali się do Czetwertni, odległej o 20 km, po ziemniaki. W ich łapy wpadło w sumie 17 osób. Dzięki jednemu z ocalałych z tego pogromu doskonale znany jest cały przebieg tej zbrodni. Upowcy zamknęli wszystkich w którymś z domów. Postawili pod nim dwóch wartowników i oświadczyli, że wszystkich zwolnią po wypełnieniu przez nich ważnego zadania. Mężczyźni zorientowali się w zamiarach

bandytów i postanowili zaatakować wartowników bierwionami drewna, które leżały koło pieca, przygotowanego do pieczenia chleba. Wtedy kobiety zaczęły płakać i powstrzymywać mężczyzn przed zaatakowaniem Ukraińców. Tłumaczyły, że są to znajomi ludzie, którzy na pewno wszystkich wypuszczą. Tymczasem banda wróciła, a jeden z bandytów, otwierając drzwi, powiedział: „Wychodźcie tylko po dwóch!". Jako pierwsi wyszli Dominik Kowalski i Adam Bergiel. Napastnicy rzucili się na nich, skrępowali ręce sznurami do tyłu, a na szyje założyli pętle. W tym czasie Franciszek Sinicki i Wójcicki oraz inni zdecydowali się na nierówną walkę, skacząc przez okna. Najmłodszy z Polaków, Czesław Kobylański, szamotał się z jednym z bandytów, usiłując wyrwać mu karabin. Uwolniwszy się od napastnika, upowiec odskoczył od drzwi i zaczął strzelać na oślep. Czesiek skrył się na strychu. Tam dopadł sznura do wieszania bielizny, zaczepił go na krokwi przy kominie, uwiązał się i czekał. Na dole pozostał jego ojciec. Kowalskiego i Bergla upowcy wprowadzili do stodoły i polecili im paść na twarz. Dominik Kowalski odmówił. Mordercy chcieli go zastraszyć lufami karabinów, ale ten śmierci się nie bał. Gdyby nie miał skrępowanych rąk, skoczyłby zbirom do gardła. Widział, jak młody chłopak pada na kolana przed bandytą i błaga o darowanie życia. Za chwilę leżał już na ziemi z rozpłataną głową. Obok stał ubrany w czarny mundur i oficerki dowódca tych bandziorów. Dopiero w 1972 r. dowiedziałem się, że był to Sachar Moździerski z Bodiaczewa. To on kierował tą ludobójczą zbrodnią.

Podczas gdy na klepisku stodoły konał Adam Bergiel, jeden z bandytów podszedł do Kowalskiego, chwycił go za owinięty wokół jego szyi sznur i ciął go w głowę pałaszem. Kowalski stracił przytomność i upadł. Bandyci mordowali też w chałupie, bojąc się, że zgromadzeni tam ludzie uciekną. Do mężczyzn strzelali, kobiety mordowali siekierami. Pomiędzy trupami leżał zalany krwią Adam

Krupiński. Żył i udawał trupa. Jak później opowiadał, oprawcy sprawdzali wszystkich pomordowanych, czy nie trzeba kogoś dorżnąć… Jeden z nich uderzył Krupińskiego kolbą karabinu w nogę. Ten zacisnął zęby i nie wydał jęku.

— Toho toże czort wziaw — powiedział upowiec i w chałupie zaległa cisza.

Po chwili bandyci zaczęli jeszcze liczyć pomordowanych, sprawdzając, czy ktoś im nie uciekł. Nie mogli się doliczyć jednej osoby. Czesław Kobylański siedział bowiem na strychu, uwieszony obok komina. Jeden z bandziorów wlazł na strych, ale Cześka nie zauważył. Po chwili upowcy wyszli, a w chałupie zaczęły się krzątać dwie ukraińskie kobiety, zajmujące się przygotowaniem do pieczenia chleba. Trupy leżące na podłodze i kałuże krwi nie przeszkadzały im zupełnie. Ten przerażający widok był im zupełnie obojętny. Bandyci poszli i w tym czasie Kowalski, widać, nieuderzony z dostateczną siłą, wydostał się ze stodoły i ciężko ranny ruszył w kierunku Przebraża.

Uciekł także ze strychu chałupy Czesiek Kobylański, choć przeżył na nim jeszcze ciężkie chwile. W pewnym momencie na strych weszły dwie ukraińskie kobiety, zajęte pieczeniem chleba i zaczęły ściągać ze sznurów lnianą przędzę. Jedna z kobiet dotknęła jego nóg. Natychmiast podniosła rwetes. Obie Ukrainki rzuciły się do ucieczki, krzycząc do Kobylińskiego: „Ne wtykaj, ne wtykaj!”. Ten jednak ani myślał korzystać z ich rady, tylko natychmiast rzucił się do ucieczki.

Za nim zerwał się Adam Krupiński. Ukraińskie kobiety pobiegły do swoich towarzyszy powiadomić ich, że nie zarżnęli jednego ze świadków zbrodni, ale ich chyba nie znalazły. Kowalski błąkał się całą noc. O świcie nie władał już częścią ciała. Nie tracił przytomności, lecz nie mógł już mówić. W pewnym momencie, jak sam później wspominał, myślał tylko, żeby szybciej umrzeć. Nagle natknął się na małżeństwo ukraińskie, idące do stodoły. Kobieta zapytała go:

— Kto ty? Skąd?

Kowalski nie potrafił wymówić ani słowa. Mężczyzna obszukał go i znalazł dokumenty. Teraz już wiedzieli, że jest z Przebraża. Kobieta zaczęła płakać. Zabrali go do domu. Kobieta przyniosła jakiś posiłek, lecz Kowalski nie był w stanie otworzyć ust. Zrobiła mu wtedy opatrunek z płótna. Małżonkowie nie wiedzieli, co robić dalej. Przyszli do nich dwaj sąsiedzi i doradzali im, żeby rannego zawieźć do sołtysa. Kobieta się jednak na to nie zgadzała, twierdząc, że go tam zabiją!

Wreszcie zdecydowano, że Cześka trzeba odwieźć do pobliskiej wsi, gdzie tamtejsi mieszkańcy otoczyli opieką jedną polską rodzinę. Gospodarz wyłożył wóz słomą i umieścił w nim rannego. Pomagała mu grupa kobiet, które płakały, sądząc, że Polak nie przeżyje. Jedna przyniosła wiśniowej nalewki i podała choremu, mówiąc: „Jeśli nie zwróci, to będzie żył". Były to ostatnie słowa, które zapamiętał Kowalski. Potem zemdlał.

Najpierw odwieziono go do wsi Wincentówka, a stamtąd Ukrainiec o przezwisku „Własˮ przywiózł go wraz z matką Czesława Kobylańskiego do Przebraża. Nie wszyscy Ukraińcy byli zbrodniarzami. Zdarzali się też tacy, którzy ryzykując życie, ratowali Polaków przed swymi ziomkami. Kowalski przeżył. Życie uratował mu dr Henryk Kałużyński, który dokonał mu w prymitywnych warunkach operacji czaszki.

Tymczasem do nas docierały wieści o kolejnych morderstwach, popełnionych przez Ukraińców na Polakach. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że wkrótce może dojść do ostatecznego starcia, w którym Ukraińcy spróbują wyrżnąć wszystkich Polaków. Z pastwiska nie wróciły dzieci Dorosza i Znamirowskiego. W sąsiedniej wiosce Majdan Jeziorski bandyci zakłuli widłami Józefa Kownackiego, a jego matkę, staruszkę, i sześcioletniego synka Hermusia wrzucili do ognia.

Gdy pośpieszono z odsieczą, było już za późno. Obok pogorzeliska leżały tylko dziecinne buciki.

Szybko zaczęły ginąć pobliskie wsie. Spłonęły wioski Czerniż, Sełyszcze, Haraimówka i inne. Do Jaźwin docierały niedobitki rodzin Grzywińskich, Drzewieckich, Żołędziowskich i Jasińskich. Niektórzy czekali na śmierć. Większość mieszkańców Jaźwin postanowiło się bronić. Przywódcą wioski stał się inżynier Stanisław Świtał. Utrzymywał on od dawna kontakty ze strukturami Polskiego Państwa Podziemnego i krążącą po okolicy partyzantką radziecką. Od września 1939 r. jako jedyny w okolicy posiadał radio, którego przychodziła słuchać do niego starszyzna wioskowa, do której należał także mój ojciec Telesfor. Ściągnął on do wioski kilka karabinów, panowie wygrzebali też z ukrycia kilka strzelb myśliwskich.

Świtał zwołał naradę mężczyzn, na której powołano placówkę samoobrony. Ustalono hasła i zaczęto pełnić posterunki, kopać okopy, budować bunkry. Jaźwiny zostały wkomponowane w system obrony Przebraża, gdzie gromadzili się uciekinierzy z mordowanych przez Ukraińców polskich wiosek. Z tworzonego systemu obronnego Jaźwiny były najbardziej narażone na niebezpieczeństwo napadu ze strony UPA. Leżały bowiem na przedpolu Przebraża, oddalone od niego o 2 km, stykając się jedynie wąskim przesmykiem pomiędzy lasami „Hołosu", „Nadiełu" i czternastego kwartału z Chołopinami.

Od strony południowej i południowo-wschodniej Jaźwinom uderzenie nie groziło. „Hołos" stanowił bowiem gęstą knieję, trudną do przebycia, praktycznie niedostępną. Od strony wschodniej i północno-wschodniej najkrótsza droga do Przebraża wiodła właśnie przez Jaźwiny i Chołopiny. Można było przewidywać, że główne natarcie upowców na Przebraże pójdzie właśnie tędy. Gdy Przebraże gorączkowo szykowało się do obrony, na przełomie wiosny i lata wokół Jaźwin panowała cisza. Dni płynęły powoli, wołyńska przyroda

starała się szaleć, ubarwiając kwieciem każdy zakątek. Szło ciepłe lato, na polach wysypywały się zboża, kwieciły się rozległe łąki. Starzy ludzie mówili, że będą obfite zbiory, bo głos przepiórki odbija się echem. W nasze serca wstępowała nadzieja, że może UPA zostawi nas w spokoju i nie zaatakuje.

Wszyscy intensywnie zajmowali się swoimi obowiązkami. Mężczyźni naprawiali zabudowania, kobiety przędły len i konopie na bieliznę i pościel. Od świtu do nocy huczały żarna, w których mełło się zboże na chleb. Cisza ta nie trwała jednak zbyt długo. Okazała się typową ciszą przed burzą. Pewnego czerwcowego ranka jaźwiński zwiad doniósł, że uzbrojona grupa na czarno ubranych ludzi, rozsypana w tyralierę, zbliża się od wschodu do Jaźwin. Natychmiast wzmocniono posterunki od strony uroczyska „Hałas", a także na styku „Sumnego Lasku" oraz boru „Krymka". Tędy bowiem biegł trakt od strony wsi Józefin, a dalej od miasteczka Zofiówka. Postanowiono nie zdradzać pozycji, aż banda nie zbliży się na dogodną odległość.

Upowcy posuwali się ostrożnie, z bronią gotową do strzału. Widać ich było jak na dłoni. Nagle zapadli się w zaroślach. W naszych szeregach zapanowało zdenerwowanie. Naraz bandyci wyłonili się w bezpośredniej bliskości. Na przedzie jednej z grup biegło dwóch bandytów z zapalonymi pochodniami, którymi zamierzali podpalić zabudowania Jaźwin. Biegli w kierunku pierwszego domostwa Dionizego Lisowskiego, ale nie dobiegli. Pierwszego trzymał na muszce Mikołaj Suchodolski. Padł strzał i bandyta wywinął koziołka. Drugi, biegnący z tyłu, gwałtownie zawrócił, wołając: „Wtykajte, Lachy idu!". Po chwili i on leżał na ziemi. Natychmiast wywołała się gwałtowna strzelanina. Bandyci, usiłując zabierać zabitych i rannych, wycofali się w popłochu, ścigani naszym ogniem. Nie spodziewali się żadnego oporu i tego, że zostaną powitani ogniem. Uciekali, gdzie pieprz rośnie, zostawiając za sobą płonące kopki siana.

Wszyscy się jednak spodziewali, że następny atak upowców może być potężniejszy. Czujność została wzmożona. W nocy z trzeciego na czwartego lipca, jak zwykle na odcinku „Nadieł" aż po uroczysko „Hołos", czuwały nasze warty, rozstawione co 150 metrów. Z powodu braku obsady pełnili je młodzi szesnasto- i siedemnastoletni chłopcy. Na styku „Sumnego Lasku" i „Krymki" stanął Gabriel Rosiński. Dalsze posterunki zajęli Mirosław Łoziński, Hermanegild i Julian Bednarscy, Mikołaj Łoziński, Witold Suchodolski i inni. Od strony Józefina dolatywały odgłosy kopyt końskich, jakieś ukraińskie śpiewy. Co jakiś czas błyskały też jakieś ognie. Widoczność była niezła. Wyraźnie majaczyły w oddali drzewa. Nagle z kierunku Majdanu Jezierskiego nadbiegło ogarnięte panicznym lękiem stado saren. Kiedy sarny przeskakiwały parów, wartownicy zauważyli ścigającego ich owczarka alzackiego. Wiedzieliśmy, że upowcy posiadają takie psy do wykrywania nocnych posterunków. Niewątpliwie zbliżał się upowski zwiad, mający za zadanie schwytanie „języka" lub likwidację naszych posterunków. Wartownicy natychmiast zajęli dogodne pozycje obronne. W pewnym momencie z pobliskiego boru rozległ się głos niby sowy, któremu odpowiadał podobny, lecz wydawany w innym miejscu. Były to typowe sygnały używane przez upowców. Wszyscy mocniej ścisnęli broń. W pewnym momencie od strony „Krymki" Gabriel Rosiński usłyszał ściszone kroki i coś jakby skowyt psa Nagle zza mgły tuż przed nim wyłoniła się jakaś postać. Gabriel od razu posłał w jej stronę serię z automatu. Chciał puścić jeszcze jedną serię, ale automat mu się zaciął. W lufie utkwił niewypał. Gabriel chwycił wtedy bagnet i cofnął się do parowu.

Tymczasem w środku naszej linii obronnej wywiązała się gwałtowna strzelanina. Kilku bandytów podeszło bardzo blisko naszych pozycji, ale nasz celny ogień zmusił ich do ucieczki. Zaskoczona banda wycofała się w pośpiechu. Słychać było tylko dolatujące okrzyki, oddalające się wozy i głuchy szczęk żelastwa.

Wkrótce przybyli nam na pomoc chłopcy z placówki Chołopiny, wśród nich Zygmunt Sinicki i Zygfryd Rosiński, którzy przytaszczyli ze sobą karabin maszynowy. Wszyscy mieli dobre humory.

Po północy upowcy pokazali, co potrafią. Łuny zalały całe niebo. Płonęły wsie Dermanka, Dobra Huta, Balarka, Wólka Kotowska, Marianówka, Józefin, Majdan Jeziorski, Zofiówka, Paniów, Myków i wiele innych. Tej nocy znikły z powierzchni ziemi wszystkie okoliczne wsie, a rozproszone niedobitki mieszkańców, które uszły z życiem, o świcie 4 lipca 1943 r. dotarły do Jaźwin, Chołopin i Przebraża. Od ich relacji włosy jeżyły się na głowie.

Upowscy zwyrodnialcy w bestialski sposób zamordowali kilkuset Polaków, mieszkających w spalonych wsiach, którzy niefrasobliwie zostali w domach. Upowcy zabili także kilkoro Ukraińców, którzy przechowywali u siebie polskie rodziny. W Horodyszczu zamordowano i spalono chłopa Filemona Sznyta. Niektórzy uciekinierzy, nie bacząc na niebezpieczeństwo, udali się na zgliszcza swych domostw, aby pochować zamordowanych. To, co zobaczyli, zapamiętali do końca życia.

Na zgliszczach wyły psy

— Upowski terror po nocy z 3 na 4 lipca znacznie się nasilił — wspomina Bogusław Rosiński. — Kierownictwo naszej placówki samoobrony postanowiło nawiązać bliższą łączność z partyzantką radziecką. Odtąd kawalerzyści zwiadowcy bywali częstymi gośćmi w Jaźwinach. Przejeżdżał też tędy as sowieckiego wywiadu, Kuzniecow. Pamiętam, jak pewnego dnia powiadomiono ludność, aby zachowywała spokój, gdyż będzie przejeżdżał samochód wiozący pewne osobistości w niemieckich mundurach. Byłem o kilka kroków od przejeżdżającego samochodu.

Kuzniecow uśmiechał się i pozdrawiał gapiących się i żywo dyskutujących ludzi. Samochód jechał do Hermanówki, gdzie mieścił się sztab sowieckich partyzantów. Autentyczni Niemcy rzadko zaglądali do Jaźwin. Drogi do niej prowadzące były trudno dostępne dla niemieckich samochodów i nie chcieli się oni tu zapuszczać. Na pewno też zakładali, że w ostępach leśnych partyzanci mają swoje bazy, z którymi spotkać się nie chcieli. Dowódcy partyzantki sowieckiej często bywali w Jaźwinach, a z Przebraża kierownictwo samoobrony na rozmowy u Stanisława Świtala. Gdy przyjeżdżali kawalerzyści sowieccy, to na skraju wsi wystawiali czujki, dzięki którym ta mogła czuć się bezpieczna.

Pewnego razu jednak do naszej kolonii przyjechali Niemcy i omal nie spotkali się z radzieckimi kawalerzystami, którzy odbierali okucia z kuźni, mieszczącej się u Mikołaja Bednarskiego. Na szczęście partyzanci w porę dostrzegli Niemców i pod osłoną budynku wycofali się do lasu. Jaźwiny, co trzeba podkreślić, były kolonią bardzo solidarną i dyskretną. Mieszkała u nas Niemka, córka kolonisty, Adama Ryla, która wyszła za mąż za Polaka. Tymczasem, mimo że małżeństwo było volksdeutschami i znało wiele spraw dziejących się w Przebrażu, jak i w kolonii Jaźwiny, nie donieśli o niczym Niemcom. Ci jednak nie byli głupi i coś podejrzewali.

Pewnego dnia zjawił się w Jaźwinach niemiecki inspektor obwodu, Kiwerce Jeske. W którymś momencie zauważył trzech jeźdźców, pędzących jak błyskawica w stronę lasu. Chwycił od jednego z żołnierzy automat i chciał w ich stronę puścić serię, ale został powstrzymany przez sołtysa Franciszka Ludwikowskiego, który zaczął mu tłumaczyć, że są to miejscowi chłopi, penetrujący teren w poszukiwaniu band. Odłożył broń, ale swoje pewnie pomyślał, bo jego wizyta nie obyła się bez następstw.

Kilka dni później nad Jaźwiny nadleciał „Storch” i zaczął ostrzeliwać wieś. Byłem świadkiem nalotu i omal nie padłem jego ofiarą.

Niemiecki pocisk przebił mi szynel. Nim ludzie zdążyli zbiec do zaimprowizowanych schronów, paliły się już zabudowania gospodarcze Albina Suchodolskiego i Piotra Bednarskiego. W wyniku nalotu padło kilka sztuk inwentarza. Pamiętam owalną twarz strzelca pokładowego. Samolot latał tak nisko, że pod podmuchem powietrza „kładły się" trawy. Strzelał do każdego napotkanego przedmiotu. Podziurawił wszystkie jaźwińskie budynki. Krążył nad wsią bardzo długo. Krył się za lasami, po czym wylatywał znienacka i lecąc tuż nad ziemią, walił z karabinów maszynowych. Dopiero wieczorem leciał w kierunku Łucka.

Następnego dnia mieszkańcy Jaźwin spodziewali się większego nalotu. Wieś opustoszała, ludzie kryli się w lasach. Samoloty niemieckie, owszem, zjawiły się, ale wsi nie bombardowały. Przeleciały tylko nad nami, udając się w niewiadomym kierunku. Niemieckie oddziały też się zapuszczały w naszą okolicę. Jeden z nich dokonał ataku na Hermanówkę, gdzie stacjonował sztab radzieckiego ugrupowania. Atak ten był ewidentnie skutkiem czyjejś zbrodni, bo Niemcy działali bardzo precyzyjnie. Wiedzieli, w których domach ukrywali się partyzanci. Dali się oni niestety zaskoczyć. Część z nich zginęła, ale kilku zdołało się przebić przez obławę. W odwecie Niemcy rozstrzelali 13 mieszkańców Hermanówki i podpalili wszystkie zabudowania kolonii. Szybko wyjechali, wycofując się w kierunku Łucka, po drodze z Rafałówki zabrali, niby w charakterze przewodnika, Stefana Guglasa. Był on członkiem konspiracji i Niemcy go po kilku dniach rozstrzelali.

Gdy obserwatorzy działań Niemców poinformowali o tym załogi samoobrony w Jaźwinach, Chołopinach i Przebrażu, Stanisław Koprowski poderwał wszystkich kawalerzystów, by ścigać Niemców i odbić przynajmniej Stefana Guglasa. Kawalerzyści byli zmobilizowani i gotowi do działania. Kierownictwo Przebraża zabroniło jednak pościgu. Mógłby on stworzyć zagrożenie dla całej

społeczności. W grę wchodziło przecież życie tysięcy uciekinierów z mordowanych polskich wsi. Kierownictwo Przebraża zawsze działało bardzo rozważnie. Potrafiło też wykorzystać różnorakie okoliczności dla pozyskiwania danych wywiadowczych.

„Wtyczkami" u Niemców byli m.in. młodzi chłopcy, którzy z polecenia Niemców mieli zająć się obroną folwarków. Do jednej z grup ochrony majątków zostałem wytypowany właśnie ja. Z Chołopin — Antoni Ludwikowski oraz bracia Wolakowie. Zostaliśmy przydzieleni do ochrony majątku w Korszowie w okolicach Łucka. Przebywało w nim wielu Polaków, którym udało się ujść przed upowską rzezią. Sąsiadujące majątki, Berezie i Podberezie, również znajdowały się pod ochroną. W Korszowie było dwóch Niemców, inwalidów wojennych, którzy stanowili zarząd majątku. Siedzieli ciągle w zamknięciu i rzadko wychodzili na zewnątrz. Pomieszczenie, w którym przebywali, było całe obłożone workami z piaskiem. Niemcy pod ręką trzymali granaty, by w razie czego odeprzeć nimi atak Ukraińców. Dla nas było to na rękę, bo mogliśmy poruszać się po majątku, gromadzić amunicję i broń, i przemycać ją dla naszych placówek.

Pewnego razu w lipcu 1943 r. Dionizy Łoziński, w asyście naszego kolegi Józefa Lipińskiego, postanowili zawieźć amunicję dla samoobrony w Przebrażu. Jechali samochodem z majątku. Nagle zostali zatrzymani przez grupę Ukraińców. Lipiński, nie namyślając się, palnął jednemu w łeb, kładąc go na miejscu. Drugiego też trafił, ale zaraz sam dostał i padł martwy. W zamieszaniu Łozińskiemu udało się zbiec. Gdy dotarła do nas wiadomość o śmierci Lipińskiego, postanowiliśmy wziąć odwet i uderzyć na posterunek ukraińskich schutzmanów w Nieświczu. W ataku wzięły udział dwie grupy z Korszowa i Berezia, dowodzone przez Tadeusza Kowalskiego i sierżanta Srokosza. Udało się nam zaskoczyć placówkę

schutzmanów, podpalić ją, zabić kilku członków jej obsady i odskoczyć. Wróciliśmy bez strat.

Następnego dnia przyjechało kilka aut z wojskiem niemieckim. Samoloty przeczesywały lasy i przyległe tereny. Krążyły one nad nimi oczywiście nadaremnie. Sprawców napadu na posterunek schutzmanów nie wykryto. 20 lipca 1943 r. odbyło się spotkanie dowództwa AK Okręgu Wołyńskiego z przedstawicielami naszych grup. Byłem w obstawie naszej grupy. Załadowaliśmy amunicję, granaty i przed świtem ruszyliśmy w kierunku Łucka. W wąskiej uliczce dalekiego przedmieścia wyszedł nam naprzeciw barczysty, krótko ostrzyżony mężczyzna. Był to Adam Wierzyński, członek kierownictwa AK. Zainteresowani, oddalili się na bok i prowadzili poufne rozmowy. Przekazaliśmy następnie Wierzyńskiemu, a raczej jego amunicję oraz granaty, i wróciliśmy do Korszowa.

W połowie lata 1943 r. terror upowski zbliżał się ku szczytowi. W powiecie łuckim, równieńskim i horochowskim płonęły resztki polskich domostw, a ich mieszkańcami upowcy napełniali głębokie studnie. Dzieci i starców żywcem wrzucali do ognia. Nocami ryczało zagubione w polach bydło, na zgliszczach wyły psy. Pustoszała ziemia. Po lasach błąkali się na wpół przytomni ludzie, ginąc z głodu i chorób. Pewna kobieta, po wymordowaniu jej rodziny, zdołała uciec z niemowlęciem. Podczas tułaczki po lasach nie opuszczał jej wilk, dybiąc na nią z pewnej odległości. Nie mając już siły do dźwigania niemowlęcia, uwiła gniazdo w krzaku leszczynowym, złożyła w nim niemowlę, a sama poszła przed siebie, z nadzieją spotkania jakiejś ludzkiej istoty. Tknięta przeczuciem, po chwili jednak zawróciła. Jakaż była jej rozpacz, gdy w gnieździe nie zastała niemowlęcia, a zobaczyła tylko strzępy jego odzieży! Rozpaczliwy jej lament usłyszeli inni ludzie, ukrywający się w lesie i przybiegli, ale na wszelką pomoc było już za późno.

Wsie ukraińskie wokół Łucka zaczęły pustoszeć. Zostawali w nich tylko starcy, kobiety i dzieci. Młodzi szli do UPA, by uczestniczyć w dorzynaniu Lachów. Śpiewane przez nich pieśni nie pozostawiały co do tego żadnych wątpliwości. Jeden z jej tekstów brzmiał:

Smertne pole pochołone Lachiw,
Bandera nas w bij powede.
Beryte zbroju, chto tilki żyw
I stańte nym sońce wzojde
Zełęnyj haj skupajet nam rosoj mundury
Woroża pula nas Ne weźme
Wpered, wpered, holubci siny
Laszoju krow chaj tepły doszcz zmywe.

Patrolowaliśmy pobliskie wsie, aby móc śledzić ruchy banderowców. Pewnego razu oddziałek nasz wracał z patrolu. Gdy weszliśmy na falujące zbożem wzgórze, naraz z dwóch stron dostaliśmy ogień z erkaemów. Tadeusz Górecki i Józef Mączek padli od razu, skoszeni ich ogniem. Po chwili na ziemi leżał trzeci kolega. Pozostali podjęli nierówną walkę. Po chwili padł też Mieczysław Wolak. Ciężko dysząc, zdołał jeszcze wyszeptać:

— Uciekajcie, trzymajcie się do ostatka!

Czesław Krupiński i Anastazy Kopij jako pierwsi dobiegli do rzeczki. Rzucili się wpław do wody. Wyskoczywszy z wody, Krupiński dopadł pasącego się na łące konia i pognał na pomoc. Kopij ukrył się w pobliskich zaroślach. Ja z Ludwikowskim schowaliśmy się za filarami mostku, czekaliśmy na upowców, by ich przywitać ogniem karabinów.

W naszych placówkach natychmiast ogłoszono alarm, to samo w Bereziu i Podbereziu. Gdy zjawili się nasi, upowcy usiłowali sforsować mostek, ale zatrzymani ogniem, wycofali się w stronę

folwarku. Z prawego skrzydła dwóch konnych Ukraińców, którzy usiłowali przedostać się do bandy. Ludwikowski zdjął z konia jednego, a ja drugiego. Kilkakrotnie upowcy zrywali się do kontrataku. Wywiązał się zacięty bój. Wrzeszcząc „hurra", podnosili się do natarcia. Rażeni celnym ogniem, padali na pole.

Po jakimś czasie uciekli, zostawiając za sobą kilkunastu zabitych. Po południu rozpoczęliśmy poszukiwania ciał naszych kolegów. Znaleźliśmy trzy zmasakrowane zwłoki. Upowcy pastwili się nad poległymi. Ciała Mirosława Wolaka nie było na placu boju. Co się z nim stało, nie wiadomo. Te, do których dotarliśmy, pochowaliśmy na cmentarzu w Bereziu. Oddaliśmy im oczywiście honory wojskowe.

W końcu lipca 1943 r. zaczęliśmy otrzymywać informacje, że zbliża się front sowiecki i Niemcy lada dzień rzucą się do ucieczki. Ci zarządzający majątkiem chodzili coraz bardziej przygnębieni. Pewnego dnia znaleźliśmy ukryte przez Niemców w polu mundury. Jeden z Niemców, który pochodził ze Śląska, pakował się i szykował do ucieczki. Zwołaliśmy zebranie naszej grupy i też postanowiliśmy wiać. Wykradliśmy z magazynu broń oraz amunicję i w początkach sierpnia 1943 r. wróciliśmy do rodzinnych wsi.

Tu rozpocząłem służbę zwiadowczą w oddziałach samoobrony. Jednego razu otrzymaliśmy zadanie od Stanisława Świtala rozpoznania sytuacji na zapleczu wyludnionych wsi Balarka i Hermanówka, aż do linii samoobrony wsi Rafałówka. Śwital otrzymał informację, że w rejonie tym koncentrują się banderowskie siły. Samoobroną w Rafałówce dowodził Apolinary Oliwa, pseudonim „Lis". Była to dobrze uzbrojona i zorganizowana placówka.

Po dotarciu w okolice Kotowa usłyszeliśmy pianie kogutów. W niedalekim lesie widać było przebłyski ognisk i kręcące się postacie. Ruszyliśmy ostrożnie do przodu. Erkaemista, przyciskając do siebie erkaem, tłumił szczęk dysku. Idąc, niespodziewanie wleźliśmy w jakieś bagno. Wysokie szuwary utrudniały nam

poruszanie się w nocy. Zrobiliśmy jeszcze kilka kroków, gdy usłyszeliśmy wezwanie:

— Stij! Chto ide! Kłyczka!

Po chwili padły strzały, a w ślad za nimi czerwona rakieta rozświetliła niebo. Zdawało się, że spada nam na głowy. Trwaliśmy nieruchomo, gotowi do strzału. W obozie upowskim zarządzono alarm. Słyszeliśmy ich głosy! Byliśmy bez wyjścia. Nie mogliśmy się wycofać, gdyż każdy szelest mógł ściągnąć na nas lawinę ognia. Jedyną szansą był atak. Daliśmy ognia, zaskakując przeciwników. Nasz erkaemista i posiadacze automatów wywalili całe magazynki. Usłyszeliśmy jęki, krzyki i tętent koni. Odskoczyliśmy w tył. Dopadliśmy rowu, który na szczęście zesłała nam Opatrzność. Tu mogliśmy uzupełnić magazynki.

Banderowcy ruszyli oczywiście za nami. Powitaliśmy ich ogniem i równocześnie wycofywaliśmy się wzdłuż płotu. Szczęśliwie dotarliśmy do Hermanówki, nie ponosząc strat. Tylko Sładkowskiemu kula urwała obcas od buta. Później już bez przeszkód zameldowaliśmy się u Świtala w Jaźwinach. Ten natychmiast zarządził pogotowie. Następnego dnia do Świtala przybyło trzech wysłanników od sowieckiego oddziału Prokopiuka. Poinformowali go, że w nocy jakaś grupa zaatakowała obóz upowców pod Kotowem, zadając im ciężkie straty. Gdy Śwital się pochwalił, że to jego ludzie, oświadczyli:

— Wot riebiata! Mołodcy!

Meldunki o koncentracji sił upowskich stale do nas napływały. Z końcem sierpnia pewnego wieczoru wokół systemu obronnego Przebraża rozbłysły rakiety. Śwital kazał mi natychmiast wsiąść na konia i pognać do Chołopin z meldunkiem, by 4 kompania natychmiast wysłała patrol w stronę Majdanu Jeziorskiego, gdyż z tego kierunku na Przebraże może iść natarcie UPA. Gdy wróciłem, Śwital natychmiast kazał mi iść na linię obrony, gdzie posterunki już

zostały podwojone. Świtał sam przyszedł na linię, by skontrolować gotowość posterunków. Po jakimś czasie otrzymaliśmy informację od zwiadu 4 kompanii, że od strony Jaromla widać wzmożone ruchy UPA. Pomimo ostrego nakazu zachowania zimnej krwi, informacja ta wywołała wśród mieszkańców Jaźwin popłoch. Ludność zaczęła ładować dobytek na wozy. O świcie wokół Przebraża rozległy się strzały. Zrozumieliśmy, że UPA przystąpiła do generalnego ataku.

„Cofać się nie ma gdzie”

— Na wieść o rozpoczęciu totalnego ataku UPA na ośrodek samoobrony w Przebrażu wszyscy ruszyli na stanowiska. Żołnierze jaźwińskiej placówki, Witold i Czesław Sładkowscy, Witold Suchodolski, Hermanegild i Stanisław Bednarski, Mikołaj Suchodolski, Aleksander Rosiński, Alojzy Ludwikowski, Tadeusz Oliwa, Zdzisław Rafalid, Dionizy Łoziński i wielu innych zajęli stanowiska na linii od boru „Krymka” aż po uroczysko „Hołos”. Na upowców nie trzeba było długo czekać. Od strony spalonej wsi Józefin pojawiła się grupa ludzi ubranych na czarno. Było ich około dwudziestu. Po chwili weszli między kopki siana i zniknęli nam z oczu.

W tym czasie z tej samej strony zaczął iść ku nam człowiek z kosą na ramieniu. Wzięliśmy go na cel, ale gdy podszedł bliżej, okazało się, że jest to Kazimierz Wolak, który wyszedł o świcie, żeby ukraść nieco trawy na siano na opuszczonych łąkach. Gdy podszedł do nas, poinformował, że natknął się na grupę upowców, ale ci albo go nie zauważyli, albo chcieli upozorować, że są partyzantami.

Upowcy zbliżyli się na około 300 metrów i zalegli w kotlinie. Nie mieliśmy rozkazu strzelania, więc tylko obserwowaliśmy przedszkole. Weszliśmy na dach opuszczonego domu Adama Ryla, znajdującego się na granicy naszych linii obronnych, skąd mieliśmy możność

prowadzenia lepszej obserwacji. Po chwili zobaczyliśmy upowski patrol, który szedł wprost na zabudowania jaźwińskie. Za nim, w pewnej odległości, posuwała się grupa licząca jakieś kilkaset ludzi. Uzbrojeni byli w broń palną, ale także w siekiery i widły. Cała ta grupa czołgała się, licząc na zaskoczenie. Zdjęliśmy z przedpola nasze czaty, które sprawowali Nikodem Łaskarzewski i Donat Mikołaj Łoziński. Wysłaliśmy zaraz meldunek do sztabu z prośbą o podjęcie decyzji.

Natychmiast na pozycje przybył sam Świtał. Kazał nadal czekać na znak. Od razu daliśmy salwę. Chwilę później na całej linii rozgorzała walka na śmierć i życie. Ludność Jaźwin zaczęła się szykować do ewakuacji do centrum Przebraża. Na linii wiedzieliśmy, że cofać się nie ma gdzie, czeka nas zwycięstwo albo przegrana. W ludzi wstąpił jakiś zapał, zniknęła zupełnie obawa przed śmiercią. Wiadomo było, że jest to walka decydująca, toteż byliśmy zdecydowani na wszystko — w obronie naszych rodzinnych gniazd, które były tuż za naszymi plecami.

Bój się wzmagał. Mój najmłodszy brat Zbyszek przyniósł mi w jakimś czerepie wody i powiedział, że mama płacze, bo pewnie wszyscy zginiemy… Kobiety w obozie przestały jednak jakoś rozpaczać i padłszy na kolana, zaczęły odmawiać „Pod Twoją obronę…”. W pewnym momencie w szeregach napastników nastąpiło zamieszanie. Świtał natychmiast poderwał wszystkich do kontrnatarcia. Upowcy, mimo że mieli miażdżącą przewagę, zaczęli się cofać. Szybko się okazało, że nie tylko przed nami. Z prawego skrzydła zaatakowała ich też kawaleria sowieckiej partyzantki, która w galopie wsiadła im na karki. Ogień jej CKM-ów, ustawionych na taczankach, czynił w upowskich szeregach duże spustoszenie. Ci usiłowali się cofnąć i połączyć z głównymi siłami, znajdującymi się na przedpolach Krymki od strony leśniczówki Smacznego, ale tu ich

powitał zmasowany ogień 4 kompanii i oddziału partyzanckiego „Drzazgi”.

Otoczeni ze wszystkich stron upowcy miotali się w potwornym strachu, usiłując znaleźć lukę w zaciskającym się pierścieniu. Z lewej strony wysunął się oddział przebraskiej konnicy Stanisława Koprowskiego, który przybył dokończyć krwawe żniwa. W pewnym momencie nastała zupełna cisza. Ruszyliśmy do przodu, żeby obejrzeć pobojowisko. Leżały tam setki upowców. Zasłali oni swoimi ciałami łąki i pola Majdana Jezierskiego i Józefina. Leżeli tak gęsto, jak snopki podczas żniw, przeważnie na wznak z otwartymi oczami, patrząc w letnie, bezchmurne niebo. Wśród nich był również mój znajomy Petro, z którym nieraz spotykałem się w dzieciństwie.

Ludzie z Jaźwin szli zobaczyć, jak wyglądają te potwory, które szły ich wymordować. Byli tacy jak wszyscy. Tylko na twarzach zastygła ich śmiertelna bladość, a niedomknięte oczy świadczyły o tym, jak ciężko umierać, nawet od kuli. Zbliżała się noc. Wystawiono warty, przypuszczając, że upowskie niedobitki będą chciały wykraść zabitych. Ci jednak nie przyszli. Następnego dnia pogrzebano zabitych. Pomagali w tym Ukraińcy z innych wsi, niebiorących udziału w napadzie na Przebraże… Dowództwo placówki celowo postanowiło ich ściągnąć, żeby zobaczyli, jak kończy się bohaterstwo tych, którzy jeszcze mieliby jeszcze na to ochotę…

Wieść o naszym zwycięstwie poszła bardzo daleko. Bandyci jeszcze bardziej wyolbrzymiali potęgę naszego uzbrojenia, co łamało i tak dostatecznie nadwątlonego ich ducha. Przy zabitym upowskim dowódcy znaleziono mapy i plany uderzenia. Po wybiciu przez szturmową sotnię naszej pierwszej linii o godzinie 14 miał się rozpocząć szturm na ostatnie nasze pozycje obronne. Do wieczora wszystkie placówki wchodzące w skład samoobrony Przebraża miały przestać istnieć. Opowiadała nam później żona Michała Demczuka — Ukraińca, który uczestniczył w obronie Przebraża, ona zaś podczas

odwiedzin swojej rodziny została zatrzymana przez upowców i osadzona w piwnicy w Jaromlu, a potem w Horodyszu, a po zwolnieniu była świadkiem przygotowań do głównego uderzenia na Przebraże. Mówiła, że upowcy organizowali dla ludności ukraińskiej wiece i odczyty, na których nakłaniali ludność ukraińską do masowego udziału w wyprawie. Kto żyw, miał brać widły i siekiery i maszerować riezat Lachwi!

Samogon lał się strumieniami, upowcy jeszcze przed atakiem oblewali swoje zwycięstwo. Kiedy w Horodyszczu i Jaromlu oczekiwano radosnej wieści o zwycięstwie, zdyszani upowcy, którzy uszli z życiem, wołali: „Dobryi ludy, naszych rozbyto! Wtykajte, chowajteś, bo Lachi idut". Wszystkie okoliczne ukraińskie wsie szybko zostały ewakuowane, a wraz z ich mieszkańcami Maria Demczuk. Przebrana za staruszkę, zdołała wraz z dzieckiem przedostać się do Przebraża, gdzie przebywał jej mąż. Starsi Ukraińcy z poszczególnych wsi opowiadali, że byli przeciwni zamiarom rozbicia Przebraża, a po klęsce, jakiej doznali, z politowaniem kiwali głowami.

Upowscy rozbitkowie wycofali się na północ, w rejon Kamienia Koszyrskiego i Sarn, zapadając w lasach. Nasze patrole zapuszczały się teraz do odległych miejscowości, staczając niekiedy nawet mniejsze potyczki. Dowództwo samoobrony w Przebrażu, po odparciu ostatniego ataku UPA, postanowiło wzmocnić naszą placówkę. Została otoczona drutem kolczastym. Dołączyli do niej też żołnierze z innych placówek. Dni płynęły coraz spokojniej, choć nie były pozbawione trudności.

W obozie w Przebrażu mieszkało ponad 20 tys. ludzi. Odczuwano brak odzieży, żywności i innych artykułów pierwszej potrzeby. Konny młyn, zbudowany w Jaźwinach przez Józefa Wolaka, pracował niemal bez przerwy. Po zastosowaniu sit z tkaniny spadochronowej i gazy otrzymywano w nim mąkę niezłej jakości. Korzystała z niej

ludność i partyzanci. Powstałe olejarnie dostarczały oleju roślinnego dla celów spożywczych i jako paliwo do lamp. Warsztaty tkackie tworzyły wzorzyste kilimy na łóżka i płótna na pościel, odzież i bieliznę. Zamiast cukru używano melasy z buraków cukrowych. Z kory drzew uzyskiwano barwniki do tkanin i garbniki. Wyprawiano różnego rodzaju skóry. Miejscowa ludność odstąpiła miejsca pod zabudowę ziemianek oraz ziemię pod uprawy rolne uciekinierom. W domu Cybulskich zorganizowano siedmioklasową szkołę podstawową. Kierownik szkoły, Stanisław Bochniewicz, prowadził piękny chór, który swym śpiewem niejednokrotnie wyciskał łzy z oczu, budził radość i nadzieję.

15 listopada 1943 r. posterunek polskiej policji w Kiwercach złożył w domu Piotra Łoszuka przysięgę wierności i przeszedł do konspiracji. Przysięgę od policjantów odebrał porucznik AK, Dobrowolski. W styczniu 1944 r. rozpoczęliśmy akcję zrywania urządzeń alarmowych i łączności między terenową służbą okupacyjną a miastami. Front był coraz bliżej i lada dzień mogli wkroczyć do nas Sowieci. W końcu stycznia 1944 r., rankiem, nasz patrol zauważył idącą od strony Hermanówki dużą kolumnę, forsującą konno i pieszo olbrzymie rozlewiska i kierował się w stronę Jaźwin. Natychmiast ogłoszono alarm. Strzelcy zajęli pozycje obronne. Po chwili od zbliżającej się grupy oderwał się kawalerzysta i samotnie skierował się w naszą stronę. Gdy zbliżył się, zobaczyliśmy, że na czapce miał czerwoną gwiazdę. Gdy zbliżył się do naszych pozycji, zawołał:

— Nu, nie bojties! Uże swoboda.

Ludzie patrzyli z niedowierzaniem. Wkrótce jednak wszyscy zobaczyli idące na zachód oddziały radzieckie. Na początku marca stopniały śniegi, wody z hukiem spływały z lasów i mokradeł, tworząc potężne rozlewiska. Z czarnej wołyńskiej ziemi wyłaniały się zgliszcza i popioły, sterczały upiorne kikuty kominów. Wojska

sowieckie zatrzymały się na rzece Styr. Niemcy stawiali zażarty opór. Ludność bała się ich powrotu. Armia Czerwona przełamała jednak niemiecką linię i ruszyła na zachód. Ludzie odetchnęli. Tylne sowieckie oddziały wybijały resztki upowskich band.

Wkrótce na Wołyniu rozpoczęła się powszechna mobilizacja. 10 marca 1944 r. odbywała się w Jaźwinach ostatnia zabawa. Wynajęto harmonistę, zeszły się odświętnie ubrane, ale blade dziewczęta i mężatki, i stroskani mężczyźni idący na wojnę. Zagrano pożegnalny walc, któremu zawtórował głośny płacz kobiet. Wszyscy wymienili ostatnie uściski i pocałunki. Ciepła marcowa noc bulgotała spływającymi wodami. Szumiał pieśnią rodzinny las, w którym pohukiwały marcowe sowy.

Ta noc była dla niejednego z nas ostatnią nocą spędzoną pod rodzinną strzechą, przy domowym palenisku. Czekała nas nowa droga i nowa przyszłość. Następnego dnia w prowizorycznej kaplicy w szkole odbyła się spowiedź wielkanocna. Przed konfesjonałem ustawiła się długa kolejka mężczyzn. Posuwała się szybko. Kapelan wojskowy, ks. Dydek, wiele nie wymagał.

Następnie odjechaliśmy do punktu zbornego w Kiwercach. Tu przeszliśmy badania lekarskie. Najgorsze było to, że lekarzami były kobiety. Niejeden, zanim się rozebrał, solennie zapewniał, że jest zdrów jak ryba i że chce walczyć z wrogiem. Komisja była jednak nieubłagana. W poczekalni rekruci śpiewali polskie pieśni wojskowe. Zanim dojechaliśmy do Sum, niemieckie samoloty zbombardowały nasz transport w Darnicy i w Chwastowie. Po przeszkoleniu w obozie w Sumach skierowano nas na front.

Lista obrońców Przebraża

Lista obrońców Przebraża, zebrana przez śp. podpułkownika Mirosława Łozińskiego, który brał udział w obronie tej miejscowości, udostępniona autorowi.

Ludwik Malinowski „Lew” — komendant Przebraża od założenia placówki
Franciszek Malinowski — dowódca 1 kompanii
Stanisław Malinowski s. Ludwika — partyzant
Roman Malinowski s. Ludwika — partyzant
Ludomir Janicki — członek Rady
Zenobiusz Janicki „Wiktor” — partyzant
Leonard Janicki „Cygan” — partyzant
Tadeusz Janicki — partyzant
Julian Słodkowski „Juluś” — partyzant
Czesław Koksanowicz „Koks” — partyzant
Kacper Suchodolski — partyzant
Władysław Suchodolski — partyzant
Marian Słodkowski — partyzant
Emeryk Korzeniowski „Dzielny” — partyzant
Wacław Bielecki — partyzant
Stanisław Bielecki „Zając” — partyzant
Dominik Bielecki „Biela” — partyzant
Władysław Tutaj „Legun” — partyzant
Alfred Rozmysłowicz „Śpiewak” — partyzant
Tadeusz Markowski „Marek” — partyzant
Stefan Markowski — partyzant
Piotr Domalewski — partyzant
Jan Domalewski „Dola” — partyzant
Marian Lipiński „Łyko” — partyzant
Piotr Tołkaniuk „Ukrainiec” — partyzant
Jan Kopij „Dróżnik” — partyzant
Władysław Grzybek „Listonosz” — partyzant
Ryszard Michalak „Kołek” — partyzant

Bronisław Galla „Woleński” — partyzant
Tadeusz Galla „Tadysz” — partyzant
Mieczysław Galla „Kumuna” — partyzant
Adam Bergiel — zamordowany przez UPA w Czetwertni
Jan Mozgowski — partyzant
Aleksander Mozgowski — partyzant
Marian Brykowski — partyzant
Eugeniusz Brykowski — partyzant
Polikarp Bergiel „Karp” — partyzant
Tadeusz Bergiel — partyzant
Franciszek Bergiel — partyzant
Stanisław Bergiel — partyzant
Józef Korzeniowski „Holc” — partyzant
Narcyz Korzeniowski „Narek” — partyzant
Adam Galla — partyzant
Jan Galla „Junek” — partyzant
Ludwik Borecki — partyzant
Antoni Borecki — partyzant
Franciszek Galla — partyzant
Józef Galla — partyzant
Kazimierz Galla — partyzant
Stanisław Martynowicz — partyzant
Bronisław Martynowicz „Bronek” — partyzant
Edmund Martynowicz „Kruk” — partyzant
Stanisław Trybulski — dowódca drużyny
Baltazar Galla — partyzant
Władysław Galla — partyzant
Stanisław Sinicki — partyzant
Bolesław Sinicki — partyzant
Florian Sinicki — partyzant
Anastazy Galla „Szaja” — partyzant
Feliks Galla — partyzant
Władysław Bojkowski — partyzant
Narcyz Bojkowski „Jaszczuryca” — partyzant
Stanisław Bojkowski „Bojko” — partyzant
Zygfryd Osiński „Zyga” — partyzant
Józef Żytkiewicz — partyzant
Franciszek Żytkiewicz „Franek” — zastępca Ośrodka Przebraże

Ryszard Żytkiewicz — partyzant
Marceli Żytkiewicz — dowódca 2 kompanii Wydranka
Jacek Moroz — partyzant
K. Drzewiecki — partyzant
Władysław Korzeniowski — partyzant
Eugeniusz Korzeniowski — partyzant
Franciszek Korzeniowski — partyzant
Roman Korzenowski — partyzant
Marian Galla „Marianek” — partyzant
Zygmunt Galla — partyzant
Stanisław Galla — partyzant
Władysław Korzeniowski „Dudek” — partyzant
Stanisław Korzeniowski „Car” — partyzant
Albin Korzeniowski — partyzant
Kazimierz Korzeniowski „Kózka” — partyzant
Kazimierz Korzeniowski „Życzych” — partyzant
Stanisław Korzeniowski — partyzant
Stanisław Rosianowski — partyzant
Henryk Rosianowski — partyzant
Marian Adamowicz — partyzant
Stanisław Adamowicz — partyzant
Stanisław Wilczyński — partyzant
Marian Drzewiecki — partyzant
Bogdan Drzewiecki — partyzant
Dominik Kownacki — partyzant
Franciszek Kownacki — partyzant
Adam Kownacki — partyzant
Wacław Przywarski — partyzant
Józef Kamiński — partyzant
Franciszek Słodkowski — partyzant
Tadeusz Słodkowski — partyzant
Kazimierz Wachowski „Miotła” — partyzant
Stanisław Wachowski — partyzant
Dominik Galla „Wojtek” — partyzant
Stanisław Galla — partyzant
Władysław Galla — partyzant
Jan Prokopowicz „Prokop” — partyzant
Antoni Martynowicz — partyzant

Stanisław Herman „Tata” — partyzant
Emeryk Herman — partyzant
Jan Lewczuk — partyzant
Stanisław Paszkowski — partyzant
Zenon Paszkowski — partyzant
Józef Paszkowski — partyzant
Edek Paszkowski — partyzant
Albin Galla — partyzant
Józef Sinicki „Józefek” — partyzant
Felo Korzeniowski „Felek” — partyzant
Czesław Herman — partyzant
Stanisław Sinicki „Marian” — partyzant
Piotr Jakubowski — partyzant
Bronisław Jakubowski — partyzant
Władysław Kamiński — partyzant
Julian Słowikowski — partyzant
Franciszek Wójcicki — zamordowany w Czetwertni
Jan Wójcicki — partyzant
Robert Ostrowski „Weterynarz” — partyzant
Antoni Ostrowski „Antek” — partyzant
Zenona Kamiński — partyzant
Zygmunt Kamiński — partyzant
Rupert Kamiński — zabity przez UPA 5.07.1943 r. w Zagajniku
Stanisław Marcinkiewicz „Paw” — partyzant
Paweł Kiciński — zabity przez UPA 31.07.1943 r. w Przebrażu
Albin Kamiński — zabity 31.07.1943 r.
Józef Wachowski — zabity 31.07.1943 r. — UPA
Henryk Olszewski „Groźny” — partyzant
Dionizy Bergiel „Diechtiarow” — partyzant
Stanisław Bosak „Mura” — partyzant
Jan Ostrowski „Jasiunio” — partyzant
Stanisław Ostrowski „Łapiduch” — partyzant
Józef Ostrowski „Strażak” — partyzant
Józef Ostrowski „Biskup” — partyzant
Antoni Bojkowski — partyzant
Czesław Hajt — zginął na froncie
Jan Kunicki — zabity w 1944 r. przez NKWD w Przebrażu
Jan Dawidowicz „Bałanga” — partyzant

Bronisław Dawidowicz — zabity w maju 1943 r. przez UPA w Jeziorze
Bronisław Dawidowicz II — partyzant
Michał Słowikowski — zginął na froncie
Jan Słowikowski — partyzant
Joachim Kamiński — partyzant
Władysław Słowikowski — partyzant
Kazimierz Kamiński — partyzant
Cyprian Herman — partyzant
Stanisław Herman — partyzant
Tadeusz Mielnik — dowódca 3 kompanii Zagajnik
Witold Sinicki „Witek” — partyzant
Tadeusz Sinicki — partyzant
Albin Herman „Albinek” — partyzant
Władysław Herman „Ojciec” — partyzant
Franciszek Herman „Rumuniec” — partyzant
Jakub Herman — partyzant
Aleksander Herman — partyzant
Zygmunt Nesterowicz — I Komendant Przebraża
Stanisław Nesterowicz — partyzant
Józef Sinicki — partyzant
Adolf Hildebrant „Dolko” — partyzant
Tadeusz Hildebrant — partyzant
Władysław Borecki — partyzant
Tadeusz Wysocki — partyzant
Władysław Wysocki — partyzant
Józef Włodarkiewicz — partyzant
Bronisław Włodarkiewicz — partyzant
Marian Włodarkiewicz — partyzant
Jan Skrzypczak — partyzant
Michał Skrzypczak — partyzant
Wacław Korzeniowski „Wac” — partyzant
Tomasz Brykowski — partyzant
Michał Hajt — partyzant
Henryk Hajt — partyzant
Mieczysław Kamiński — partyzant
Dionizy Kamiński „Dyziak” — partyzant
Jan Galla „Kusy” — partyzant
Marian Galla „Szaps” — partyzant

Tadeusz Galla — partyzant
Antoni Wachowski „Ślepy” — partyzant
Stanisław Wachowski „Wiewiórka” — partyzant
Wacław Wachowski „Wacuk” — zginął na froncie
Witaliusz Wachowski — partyzant
Józef Bergiel — partyzant
Franciszek Bergiel — partyzant
Jan Bergiel — partyzant
Władysław Bryczek „Odważny” — partyzant
Marian Sinicki — czł. Rady Przebraża — partyzant
Tadeusz Sinicki — partyzant
Edmund Sinicki — partyzant
Józef Olszewski — partyzant
Stanisław Olszewski „Baćko” — zabity przez UPA w Skarbieszowicach w 1950 r.
Aleksander Olszewski „Garbaty” — partyzant
Kazimierz Olszewski „Motorek” — zbrojmistrz samoobrony w Przebrażu
Kazimierz Herman „Szwydki” — partyzant
Stanisław Herman — partyzant
Cyryl Herman „Skrzypek” — partyzant
Dominik Herman „Baraban” — partyzant
Cyryl Kowalski„Kosa” — partyzant
Dominik Kowalski — uratował się z rąk UPA w Czetwertni w 1943 r.
Dionizy Kowalski „Dyzma” — partyzant
Stanisław Kowalski „Długi” — partyzant
Marceli Kowalski — partyzant
Roman Wasilewski — partyzant
Albert Wasilewski „Orzech” — zastępca dowódcy Obrony Przebraża
Dionizy Olszewski — partyzant
Stefan Olszewski „Fasolka” — partyzant
Stanisław Bochniewicz — członek kier. samoobrony
Bronisław Cybulski „Senior” — partyzant
Stanisław Cybulski — partyzant
Henryk Cybulski „Harry” — dowódca wojskowy Obrony Przebraża
Józef Cybulski — członek Inspektoratu „Osnowa” w Łucku
Władysław Cybulski — dowódca 4 kompanii — do chwili ranienia przez UPA
w Siekierzycach w 1943 r.
Tadeusz Cybulski „Munek” — partyzant
Stanisław Krupiński „Muzyk” — partyzant

Jan Galla „Matrosza” — partyzant
Stanisław Galla „Sztyje” — partyzant
Piotr Suchodolski — partyzant
Mikołaj Suchodolski — partyzant
Jan Janicki „Śmiały” — partyzant
Czesław Kobylański „Sosna” — partyzant
Kazimierz Lejman — zabity przez UPA w lipcu 1943 r. w Siekierzycach
J. Tomczyk — partyzant
Piotr Lejman „Ojciec” — partyzant
Łukasz Drobisz — partyzant
Stanisław Drobisz — partyzant
Józef Drobisz — partyzant
Adolf Drobisz „Dolko” — partyzant
Longin Łozowicki — partyzant
M. Łozowicki — partyzant
Józef Kolano — partyzant
Jerzy Sztychmiller — partyzant
Wiktor Szkuta — partyzant
Stanisław Szkuta — partyzant
Wł. Pruszyński — partyzant
Jan Galla „Gallison” — partyzant
Edward Galla „Szpiglarz” — partyzant
Alfons Malinowski „Sołtys” — partyzant
Jan Słodkowski „Kutyk” — partyzant
Mikołaj Bielecki „Kola” — partyzant
Władysław Słodkowski „Pontonier” — partyzant
Kazimierz Słodkowski — partyzant
Antoni Konefał — partyzant
Dominik Konefał — członek Rady Obrony Przebraża
Tadeusz Marciniak — partyzant
K. Kownacki — partyzant
M. Romanowski „Blondyn” — partyzant
Cyprian Szpryngel „Sosna” — partyzant
Bronisław Kościukiewicz „Ułan” — partyzant
Marian Bojkowski „Maniek” — zamordowany w kwietniu 1943 r. w Czetwertni
Stanisław Aleksandrowicz „Wójt” — partyzant
T. Aleksandrowicz „Felczer” — partyzant
Władysław Bojkowski „Braciszek” — partyzant

Adam Bergiel — zamordowany w kwietniu 1943 r. w Czetwertni
Marcin Błażyński — partyzant
J. Sułek — partyzant
Jan Krasicki — partyzant
Henryk Kałużyński „Lekarz” — lek. part. samoobrony Przebraże
Jan Błażejczyk „Felczer”– prac. Szpitala Przebraże
J. Wallas „Nauczyciel” — zabity pod Kiwercami
Ks. Stanisław Szczypta — kapelan Part. Samoobrony Przebraże
Ks. Dydak „Wikary” — partyzant
M. Nowak — lek. part. samoobrony
Bogdan Jukowski — partyzant
Marceli Wolak — partyzant
Antoni Chodorowski „Chochisa” — partyzant
Szczepan Drzewiecki „Zagończyk” — partyzant
Antoni Żołędziowski — partyzant
Wawrzyniec Krzyżanowski — partyzant
Jan Żołędziowski — partyzant
Stanisław Wierzbiński „Wójt” — partyzant
Jan Szkuta — partyzant
Antoni Krupski — partyzant
Władysław Krupski — partyzant
Jan Krupski — partyzant
Jan Brykowski „Zdziebko” — partyzant
Roman Polewiak — partyzant
Stefan Wrona — partyzant
Mikołaj Biernacki „Kola” — partyzant
Franciszek Kołesko — partyzant
Edward Kołesko — partyzant
Wiktor Podczaszyński — partyzant
Jan Tomaruk „Goliad” — partyzant
Józef Korolczuk — partyzant
Kazimierz Korolczuk — partyzant
Bolesław Malinowski „Marynarz” — partyzant
Bronisław Seredyński „Włoch” — partyzant
Klemens Seredyński — partyzant
Bolesław Habrych — partyzant
Czesław Śmigielski — partyzant
Jan Konowaluk — partyzant

Witalik Popławski — partyzant
Władysław Konwaluk — partyzant
Tadeusz Konwaluk — partyzant
Józef Skirzewski „Dziun” — partyzant
Witali Olszewski „Skrzetuski” — partyzant
Stanisław Bojkowski „Kowaluk” — partyzant
Tadeusz Słodkowski „Igor” — partyzant
Stefan Brykowski „Stary” — partyzant
Kazimierz Wierzbiński „Myśliwy” — czł. Rady Part. Przebraże
Antoni Wierzbiński „Antek” — partyzant
Antoni Markowski „Krzywonos” — partyzant
Bronisław Drobisz „Michałków” — partyzant
Mieczysław Drobisz — partyzant
Tadeusz Olkiewicz — partyzant
Konstanty Olkiewicz „Kostek” — partyzant
Witold Olkiewicz — partyzant
Józef Kowalski „Wesoły” — partyzant
Lutek Zimny — zamordowany w Czetwertni w kwietniu 1943 r. przez bandy UPA
Cezary Bojkowski „Cezarek” — partyzant
Piotr Skirzewski „Skirusz” — partyzant
Leonard Sewruk „Rękawica” — partyzant
Adam Ciemnoczołowski „Malutki” — partyzant
Jan Niewiadomski — partyzant
Antoni Kobylański — zamordowany w Czetwertni w kwietniu 1943 r. przez UPA
Czesław Bergiel „Kulawy” — partyzant
Stefan Janczak „Sowa” — partyzant
Antoni Olszewski „Gruby” — partyzant
Jan Olszewski — partyzant
Franciszek Kownacki „Kraj” — partyzant
P. Drzewiecki — partyzant
Antoni Jabłoński „Harmonista” — partyzant
B. Jabłoński — partyzant
Mieczysław Kamiński „Porucznik” — partyzant
Władysław Sprawka „Omelaniec” — partyzant
P. Oliwa „Palton” — partyzant
Jan Szymaczewski — partyzant
Mikołaj Grzywiński „Drogomistrz” — partyzant
Piotr Grzywiński „Łucki”

Grzegorz Malinowski „Grisza” — partyzant
Antoni Kunicki „Goliat” — partyzant
Kajetan Kamiński — partyzant
Narcyz Kamiński — partyzant
Jan Jóźwikiewicz „Szlachcic” — partyzant
Franciszek Krzaczkowski „Fryzjer” — partyzant
Lucjan Kowalski „Luc” — partyzant
Tadeusz Korzeniowski „Albińczak” — partyzant
Jan Kownacki — partyzant
Władysław Kamiński „Władeczek” — partyzant
Jan Żołędziowski — partyzant
J. Lisowski — partyzant
Polikarp Bernacki — partyzant
Jan Kownacki „Gonciarz” — partyzant
Kazimierz Lipiński „Kot” — partyzant
Albin Kownacki „Krymka” — partyzant
Paweł Wolański — partyzant
A. Bartosiewicz — partyzant
Florian Skarżyński „Florek” — partyzant
S. Krzaczkowski „Werba” — partyzant
Skarżyński II „Marianówka” — partyzant
Stanisław Paszkowski-Żaszcze — partyzant
Flora Kowalska — kucharka 2 kompanii
Filip Romanowski „Pisarz” — partyzant
Nikodem Łaskarzewski „Stolarz” — partyzant
J. Godziński „Chmielówka” — partyzant
Antoni Korzeniowski „Machorka” — partyzant
Kazimierz Moździerski „Muzyk” — partyzant
Joachim Moździerski „Sapek” — partyzant
Bronisław Machacki „Bronek” — partyzant
Dionizy Machacki „Dyzio” — partyzant
Konstanty Olszewski „Kostek” — partyzant
Mieczysław Wolak-Horodyczyn — partyzant
Kutyza (ojciec) — partyzant
Kutyza (syn) — partyzant
Piotr Gładziński — partyzant
Tadeusz Olszewski — partyzant
Pietrow (maszynista) — partyzant

Bogdan Gubała „Strug” — poległ w czasie akcji Sławatycze
Stefan Guglas „Przewodnik” — rozstrzelany w Łucku
Józef Wojtalik — partyzant
Roman Wolak „Luzak” — ranny od UPA, zmarł
Czesław Wolak „Tybinka” — partyzant
Mirosław Wolak „Mirek” — zginął zamordowany przez UPA
Zygmunt Wolak „Olos” — partyzant
Tadeusz Wójnicki „Grom” — dowódca 4 kompanii Chołopiny
Dionizy Łoziński „Skarpa” — czł. kier. samoobrony
Stanisław Bednarski „Myśliwy” — partyzant
Hermanegild Bednarski „Orkan” — partyzant
Julian Bednarski „Coca” — partyzant
Bogusław Rosiński „Poeta” — partyzant
Gabriel Rosiński „Klon” — partyzant
Telesfor Rosiński „Git” — partyzant
Mikołaj Bednarski „Mikolcio” — partyzant
Stanisław Świtał „Radomski” — dowódca placówki Jaźwiny
Albin Suchodolski „Abrum” — partyzant
Witold Suchodolski „Giewont” — partyzant
Zdzisław Rafalik „Sosna” — partyzant
Aleksander Wolak „Olek” — partyzant
Piotr Bednarski „Broda” — partyzant
Mirosław Łoziński „Kos Jarema” — 4 kompania
Mikołaj Łoziński „Nocny” — konny zwiad
Anastazy Łoziński „Nastaś” — konny zwiad
Antoni Bernacki „Kozub” — konny zwiad
Stanisław Bernacki „Stach” — konny zwiad
Bronisław Bernacki „Broniaczek” — konny zwiad
Piotr Ludwikowski „Ludwik” — konny zwiad
Stanisław Konefał-Dermanka — konny zwiad
Mieczysław Konefał — zginął w czasie bombardowania Przebraża
Tadeusz Oliwa — pomagał Żydom
Cyryl Oliwa „Cyruś” — pomagał Żydom
Bronisław Ostrowski „Żem” — partyzant
Zygfryd Rosiński „Staryków” — partyzant
Rafał Rosiński — partyzant
Honorat Rosiński „Sklepowy” — partyzant
Alfons Rosiński „Bratek” — partyzant

Aleksander Rosiński „Staryk” — partyzant
Bonifacy Rosiński „Bunek” — partyzant
Edmund Rosiński „Edek” — partyzant
Alojzy Ludwikowski „Lejzor” — partyzant
Antoni Ludwikowski „Osika” — partyzant
Romek Ludwikowski — partyzant
Franciszek Ludwikowski — członek kier. part. samoobrony
Kazimierz Ludwikowski „Kazik” — członek kier. part. samoobrony
Stanisław Ludwikowski „Gitara” — członek kier. part. samoobrony
Tadeusz Ludwikowski — członek kier. part. samoobrony
Władysław Sinicki „Władziunio” — członek kier. samoobrony
Karol Sinicki „Spokojny” — członek kier. samoobrony
Zygmunt Sinicki „Kula” — członek kier. samoobrony
Zenon Sinicki — zamordowany przez UPA w kwietniu 1943 r. w Czerwertni
Kacper Korzeniowski„Kłusownik” — zamordowany przez UPA w kwietniu 1943 r. w Czerwertni
Mieczysław Korzeniowski „Kępa” — zamordowany przez UPA w kwietniu 1943 r. w Czerwertni
Antoni Galla „Bolszewik” — zamordowany przez UPA w kwietniu 1943 r. w Czerwertni
Stanisław Galla „Mazurek” — zginął od granatu
Zygmunt Kowalski „Kukułka” — zginą od granatu
Czesław Słodkowski „Czesław” — zginął od granatu
Tadeusz Słodkowski „Hynin” — zginął od granatu
Gerard Rosiński „Gero” — zginął na wojnie
Kazimierz Wolak „Majdan” — zginął na wojnie
Dominik Korzeniowski „Panas” — zginął na wojnie
Kazimierz Jukowski „Pasek” — zginął na wojnie
Wincenty Szpryngiel „Wicek” — zginął na wojnie
Tadeusz Rychter „Taniek” — zginął na wolnie
Piotr Krasicki „Taśma” — zginął na wojnie
Fedor Sacharuk „Jaszczurzyca” — zginął z ręki okupanta
Karol Wysz „Herman” — partyzant
Stanisław Koprowski „Wachmistrz” — dowódca zwiadu konnego
Józef Grad „Dynamo” — partyzant
Michał Demczuk „Misza” — partyzant
Henryk Słodkowski „Ksiądz” — konspiracja Kiwerce
Franciszek Poniatowski „Leśnik” — członek kier. samoobrony

Jan Smaczny „Chołoń” — partyzant
Józef Ostrowski „Podlaski” — partyzant
Jan Krasnowolski — partyzant
Szczepan Kamiński — partyzant

Nie wszystkich obrońców partyzanckiej samoobrony w Przebrażu udało się ująć w wykazie. Wpłynął na to okres, jaki dzieli nas od tego czasu i zawodność ludzkiej pamięci. Biorąc pod uwagę, że nie stworzono w czasie okupacji wykazów żołnierzy, liczba uczestników została w przybliżeniu ustalona na podstawie przeprowadzonych rozmów z dowódcami i świadkami tamtych wydarzeń oraz znajomością mieszkańców Przebraża.

Powtarzające się nazwiska i imiona nie należą do tych samych osób, lecz zarówno mieszkańców Przebraża, jak i przyległych kolonii oraz uciekinierów przed zagładą banderowską z innych miejscowości — uczestników samoobrony.

Mirosław Łoziński

Chatka Piłsudskiego w Kołkach nad Styrem. Tutaj, w trakcie walk z armią carską, podczas I wojny światowej zatrzymał się brygadier Józef Piłsudski, stojący na czele Legionów.

Ta sama chatka Piłsudskiego w Kołkach w czasach, gdy urządzono w niej muzeum.

Kościół w Kołkach, pow. Łuck, parafia Kołki. W lipcu 1943 r. wysadzony i spalony.

Ul. Mickiewicza w Kołkach nad Styrem

Wkroczenie wojsk sowieckich na Wołyń, 1939 r. Powitanie Sowietów przez Ukraińców i Żydów, Kołki, pow. łucki.

Wkroczenie wojsk niemieckich 5 lipca 1941 r. Niemcy obsypani kwiatami przez mieszkańców Kołków narodowości ukraińskiej. Fotografia wykonana na tle posterunku ukraińskiej milicji. Widoczne są flagi: niemiecka i ukraińska.

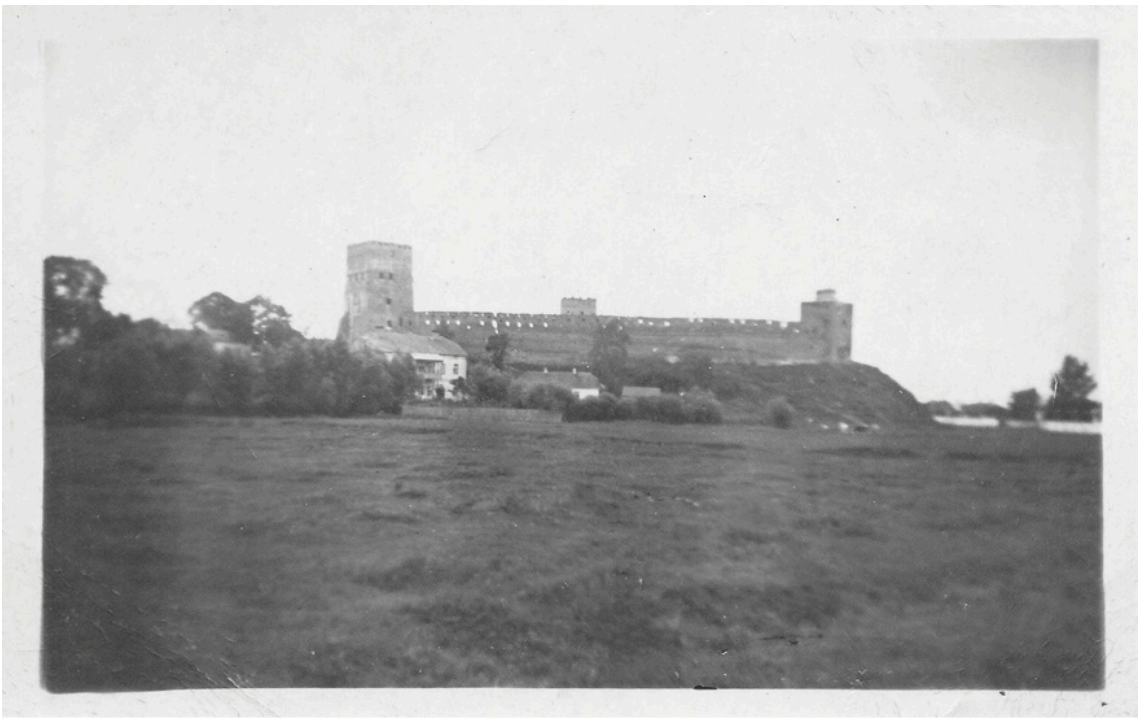

Zamek Dymitra Lubarta, księcia litewskiego z dynastii Giedyminowiczów, wzniesiony w Łucku w 1325 r.

Płonący dom w ukraińskiej wsi Damaszów

Legionista, sierżant Wojska Polskiego, komendant cywilnej obrony Przebraża,
Ludwik Malinowski

Uciekinierzy szukający schronienia w Przebrażu

Samoobrona Przebraża. Fragment odcinka obrony.

Pamiątka życia partyzanckiego. Grupa uczestników samoobrony Przebraża.
W pierwszym rzędzie, wśród leżących, Ludwik Malinowski (z brodą).

Jeden z partyzantów, świeżo wyleczony z ran odniesionych w Trościańcu, silnej bazie UPA, atakowanej przez oddziały polskie z Przebraża.

Ukrywający się Ludwik Malinowski

Dowództwo samoobrony Przebraża. U dołu od lewej: Albert Wasilewski, Ludwik Malinowski, Henryk Cybulski.

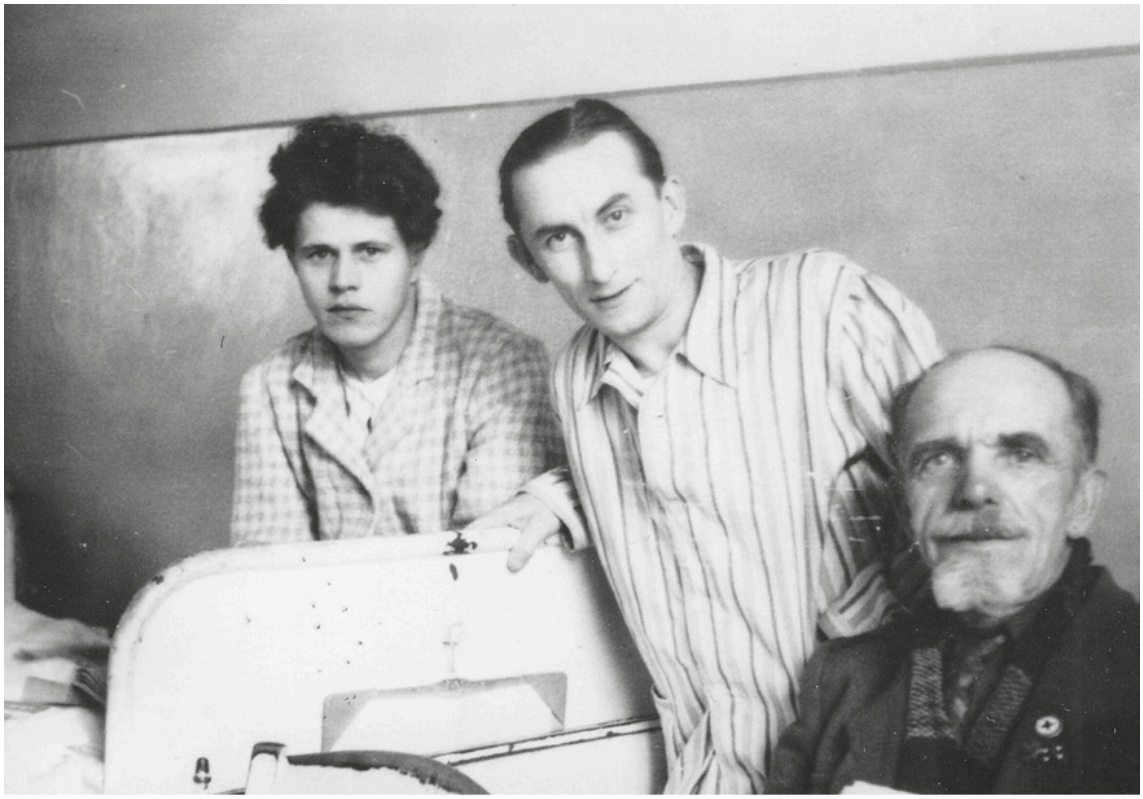

Ludwik Malinowski w odwiedzinach u rannych żołnierzy samoobrony Przebraża. Kobieta na zdjęciu jest Rosjanką, która pielęgnowała Malinowskiego, podstępnie aresztowanego i pobitego przez ukraińską policję w Łucku.

Kapitan, a później major Tadeusz Sztumberk-Rychter, dowódca 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK

Stanisław Świtoń – dowódca placówki w Jaźwinach

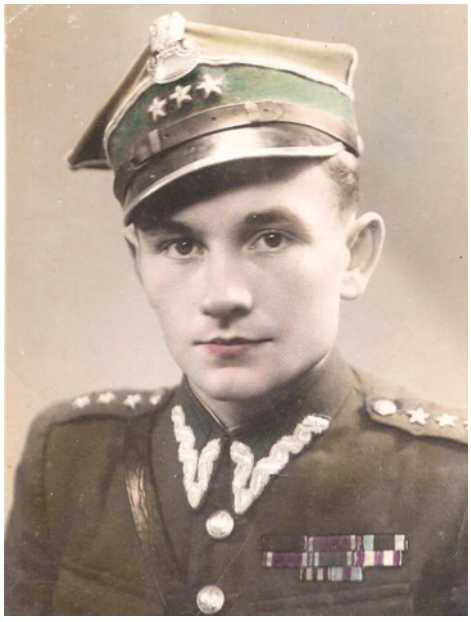

Mirosław Łoziński jako porucznik WOP w 1948 r.

Rodzina pana Mirosława Łozińskiego, zdjęcie z początku lat trzydziestych

Ojciec Mirosława Łozińskiego w Chołopinach

Mirosław Łoziński — pierwszy z lewej

Dom Łozińskich w Chołopinach

Mirosław Łoziński na urlopie w domu

Mirosław Łoziński na cmentarzu w Przebrażu w czasach sowieckich

Mirosław Łoziński na cmentarzu w Przebrażu w czasach sowieckich, lata sześćdziesiąte.

Cmentarz w Przebrażu po oczyszczeniu, ale jeszcze przed renowacją.

4 kompania samoobrony w Przebrażu. W środku, w rogatywce, jej dowódca, Władysław Cybulski.

Jeden z bunkrów w linii obrony Przebraża

Banderowcy ujęci podczas ataku na Przebraże

Stanisław Koprowski i Józef Muszyński z 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK.
Stanisław Koprowski był dowódcą oddziału konnego Przebraża.

Pamiątka 4 plutonu strzelców w Chołopinach, 10 października 1943 r.

Żołnierki z 27 WDP, wcielone do Pierwszego Samodzielnego Batalionu Kobiecego WP (historia Wacławy Borucińskiej)

Pamiątka życia partyzanckiego, 1943 r. Po zwycięstwie w Żurawiczach.

Po zwycięskiej wyprawie do Żurawicz, 2 października 1943 r. Była to duża wieś, w której mieścił się garnizon oraz szkoła oficerów UPA, gdzie gromadzono także bydło zrabowane z polskich wsi.

ЗЕМЛЯКИ.
27 MAJA 1944 R NA TYCH POLACH I W WODACH PRYPECI
PODCZAS PROBY PRZEKROCZENIA NA RZECE LINII FRONTU ZGINĘŁO
PONAD 200 POLSKICH ŻOŁNIERZY PARTYZANTÓW
Z 27 WOŁYŃSKIEJ DYWIZJI PIECHOTY ARMII KRAJOWEJ.
TEN KRZYŻ JEST UPAMIĘTNIENIEM TYCH WYDARZEŃ
I SYMBOLEM NASZEJ WDZIĘCZNOŚCI I PAMIĘCI.
01. II. 2001R.
RODACY.

Tablica nad Prypecią, przeprawa. 27 maja 1944 r.

Prypeć, krzyż. To tutaj zginęło dwustu żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK.
Wrzesień 2008 r.

Rymacze, cmentarz wojenny. 25 września 2008 r.

Przebraże, nieoficjalne poświęcenie cmentarza wojennego. Lipiec 2006 r.

Fragment cmentarza katolickiego w Przebrażu. Widoczny pochylony krzyż na grobie ppor. Jana Rerutko „Drzazgi”, dowódcy oddziału partyzanckiego „Łuna” stacjonującego w Haninie, w rejonie Przebraża. Wraz z nim w mogile spoczywają lekarz Stanisław Steciuk „Piąty” oraz woźnica Jan Linek „Słoń”, zamordowani równie podstępnie przez sowieckich partyzantów pod dowództwem Prokopiuka.

Uczestnicy poświęcenia tablicy pamiątkowej w Niemodlinie przeznaczonej żołnierzom 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty

Zasmyki, cmentarz 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Maj 1993 r.

Cmentarz we Włodzimierzu Wołyńskim — pomnik i groby księży pomordowanych w latach 1942–43 przez Ukraińców. W tekście na tablicy umieszczonej na pomniku napisano oględnie: „którzy zginęli”.

Zabudowania dawnej Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii Lekkiej, obecnie koszary

Nowa plebania kościoła św. Anny. W starej mieści się archiwum.

Przed plebanią: pani Anna, nasza przewodniczka, jedna z nielicznych parafianek, brat Jan (oraz moja żona i siostra).

Odnowiony kościół św. Anny

W 250 rocznicę kościoła Św. Anny,
w dziesiątą rocznicę odrodzenia parafii
we Włodzimierzu Wołyńskim,
za pontyfikatu papieża Jana Pawła II,
kiedy metropolitą we Lwowie był Kardynał Marian Jaworski,
ordynariuszem Diecezji Łuckiej Bp Markijan Trofimiak,
proboszczem zaś O. Leszek Koszlaga O.Carm.
tablicę tę ku pamięci potomnym poświęciliśmy.
Dnia 12 listopada, Roku Pańskiego 2002

Tablice pamiątkowe wewnątrz kościoła św. Anny

Dawny kościół garnizonowy, teraz cerkiew prawosławna w Łucku

Budowa kościoła w Nowowołyńsku

Obchody 60-lecia mordów na Wołyniu. 13 lipca 2003 r.

Obrońcy Przebraża w mundurach oficerskich